

TOM CCXXXVI

SERYA 8

De. II 1-

ROK 60

ZESZYT 707

**BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.**

MARZEC.

1900.

TOM I. — ZESZYT 3.

WARSZAWA.

Adres Redakcyi: ulica Warecka № 14.

1900.

TREŚĆ ZESZYTU.

	Str.
I. RZUT OKA NA USTAWĘ Z ROKU 1807,—przez Henryka Konica	395
II. WALKA W AFRYCE POŁUDNIOWEJ. Uwagi i wnioski teoretyczne, — przez Jana Blocha	417
III. RICK I ROCK, powieść (dalszy ciąg), — przez Wincentego Kosiakiewicza	436
IV. BEZ WĘGLA, — przez S. Kramsztyka	469
V. SŁOWACKI I PRELEKCYE MICKIEWICZA, — przez Henryka Boguskiego	487
VI. KRONIKA PARYSKA, —przez Sewerynę Duchieńską	505
VII. PRZEMYSŁ W KRÓLESTWIE POLSKIM. III. PRZETWORRY ZWIERZĘCE. IV. PRZEMYSŁ CHEMICZNY. V. PRZETWORY KRUSZCOWE i ZIEMNE. VI. CAŁY PRZEMYSŁ,—przez Stanisława Koszutkiego	528
VIII. KRÓL MISTRAL (poezja), — przez Maryę Konopnicką	550
IX. PIŚMIENICTWO. Stanisław Grabski: „O Fryderyku Skarbku i o metodologii w ekonomii politycznej“, —przez Henryka Radziszewskiego	555
X. JÓZEF KENIG. Wspomnienie pośmiertne, — przez Maryana Gawalewicza	561
XI. KRONIKA MIESIĘCZNA. Echa karnawału. — Sanatorium dla suchotników niezamężnych.—Jak mieszka ludność uboga w Warszawie? — Konkurs i jeszcze konkurs. — Literatura dla młodzieży.—Jubileusz Kazimierza Kaszewskiego.—Towarzystwo przyjaciół sztuk pięknych. — Muzyka dzwonów .	568
XII. WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE	582



De. I. 1.

RZUT OKA na ustawę z roku 1807.

Epoka Księstwa Warszawskiego, jak to już na innem miejscu ¹⁾ usiłowaliśmy wykazać, należy do najmniej zbadanych i najmniej znanych. Mówiliśmy i powtarzamy, że epoka ta jest tak niewiele opracowaną dla tego, że stosunkowo niedawno istnienie swe zakończyła. A była ona wysoce ciekawą i, co podkreślamy, pouczającą.

Napoleon, który nawet imienia Polaków i Polski urzędownie wymówić nie chciał, czy nie mógł, zawiera po zwycięskiej wojnie przeciwko Rosssyi i Prusom traktat w Tylży i powołuje do życia nowy niezależny organizm polityczny, któremu nadaje dziwaczną nazwę Księstwa Warszawskiego. Do władzy powołuje Polaków, tworzy na razie Kommissyę Rządzącą z b. marszałkiem sejmu czteroletniego, Stanisławem Małachowskim, na czele, a następnie oddaje rządy kraju w ręce wyznaczonego przez naród następcy Poniatowskiego, króla saskiego, Fryderyka Augusta. I oto otworzyło się dla społeczeństwa szerokie pole do pracy twórczej i praktycznej. Mówimy

¹⁾ Kartka z dziejów oświaty w Polsce. Wydział oświecenia publicznego za czasów Księstwa Warszawskiego. Kraków, 1895.

twórczej, bo jeśli, jak to zaraz zobaczymy, konstytucya Księstwa tylko zasadnicze nakreśliła kontury, to całą dziedzinę wewnętrzną organizacyi pozostawiono na razie odłogiem. Należało tedy przystąpić do budowy organicznej państewka, wypadło prawami, rozporządzeniami i dekretemi nakreślić granice, oraz ramy dla pracy wewnętrznej. A ta ostatnia zapowiadała się jeszcze poważniej. Kraj objęto po rządach germanizacyjnych, częściowo pruskich, częściowo zaś austryackich. Trzeba tedy było wszędzie rodzime szczepić plonki, usuwać obce, wrogie krajowi naleciałości, i zastępować je własnymi, z ojczystego pnia czerpanymi instytucjami. Była to zatem praca ogromna, ryzykowna, dla której potrzeba-by szeregu lat mozolów i starań, lat spokoju, skupienia i ekonomicznego dobrobytu. Tymczasem Nemezis dziejowa chciała inaczej. Nakreślono społeczeństwu wszystkiego lat siedem, bo od roku 1806, a właściwie 1807 do roku 1813, a może nawet 1812, gdy na razie zawiązanie konfederacyi generalnej codzienną pracę przerwać musiało, a następnie utworzenie w roku 1813 Rady Tymczasowej Najwyższej Księstwa Warszawskiego pod zwierzchnictwem Rosyi było zapowiedzią zniknięcia niezależnego państwa. A dalej, ustawiczne odgłosy trąb wojennych, rozlegające się pobudki, wzywające do walki za kraj, a przedewszystkiem za Napoleona, były codziennymi towarzyszami pracy państwowej.

Jeśli obok tego uprzytomnić sobie zdolamy ciężkie warunki ekonomiczne, wywołane przygniatającą opieką wielkiego cesarza, ogromne podatki i oflary, których uginający się pod ich brzemieniem kraj ustawicznie dostarczać musiał, jeśli zważymy, że mimo zapewnionej samoistności politycznej, faktycznie Księstwo Warszawskie pozostawało w zależności od swego opiekuna, i może mniemanego dobroczyńcy, to niewątpliwie dojdziemy do przekonania, że były to warunki ponad miarę ciężkie, że ujęcie steru państwa wśród takich okoliczności i takich czasów należało do zadań, przerastających miarę już nie nowo do życia powołanego organizmu, lecz nawet takich społeczeństw, których życie państwowe jest ciąglem i nieprzerwanem.

Tak tedy społeczeństwo ówczesne zdać miało egzamin ze swej umiejętności rządzenia w warunkach niezwykłych. W braku całego potrzebnego materiału, niepodobna z czystem sumieniem odpowiedzieć, jak wypadł ten egzamin. Ukryte w archiwach dokumenty, gdy na jaw się wydostaną, zdolają zapewne rzucić światło prawdziwe na doniosłe to pytanie.

Lecz już dziś, choć częściowo, historia jest w możności wystawić świadectwo, pełne pochlebnych wyrazów dla ówczesnego pokole-

nia. Już teraz z całą stanowczością zaznaczyć się godzi. że bez względu na huk i szczeł oręża. nędzę ogólną i powszechny upadek ekonomiczny, nie tracono ducha i pracowano usilnie i sumiennie. Szeregi dekretów, praw i rozporządzeń, są dowodem, że usiłowano ustawodawczą wykonać robotę, a akta. papiery rozmaitych instytucyi, przegląd wewnętrznego ich życia przekonać musi, że usiłowano odpowiedzieć godności zadania. Nie trzeba jednak zapominać o jednym. Monarcha, któremu Napoleon oddał nowy kraik, był szczerze jemu oddany.

Przytoczyć tu warto piękne słowa, wypowiedziane przez Fryderyka w dniu 30 kwietnia 1808 roku w dekreście, sankcyonującym utworzenie Towarzystwa Przyjaciół Nauk ¹⁾:

„Cokolwiek do pomnożenia światła w narodach, pieczołowitości naszej powierzonych, i do rozkrzewienia nauk pożytecznych dopomagać, jakimkolwiek sposobem może, nigdy nie zdało się dalekiem od baczzenia i najwyższego wsparcia naszego. A kiedy do tego przystępuje jeszcze nadanie poloru wyborniejszego i obfitości zupełniejszej językowi, w krajach, panowaniu naszemu podlegających. użytemu, temu językowi, który w całym życia naszego ciągu nie był Nam nigdy obojętnym, powinnością naszą być rozumiemy. całą zupełnością władzy naszej do tego się przyłożyć, aby tak szlachetne zamiary skutku nie były pozbawione, ale, owszem, pilnie utrzymane i troskliwie były ku doskonałości przywiedzione“...

W takich warunkach poczętemu państwu, takim obdarzonemu monarchą, nadano ustawę konstytucyjną dnia 22 lipca 1807 roku, którą zapowiedział artykuł piąty traktatu, w Tylży zawartego. Wiadomo, że kursuje o niej opowieść, zapisana w pamiętnikach Koźmiana, powtórzona przez Skarbka, iż owa ustawa została na kolanie skreśloną, czy naprędce pod dyktandem Napoleona napisaną. Tak, czy inaczej powstała, stanowiła ona tę zewnętrzną szatę, która miała nadać krajowi charakter, która miała świadczyć, że było to państwo, obdarzone samoistną ustawą, słowem, konstytucyjną w duchu pojęć, przez wielką rewolucję ogłoszonych. Zobaczmy, jak się ta ustawa w istocie przedstawiała, i czy ze stanowiska prawno-publicznego odpowiadała ona tym zadaniom, jakim ustawy podobne sprostać mają i powinny.

Ustawa, opatrzona podpisem Napoleona, oraz członków Komisji Rządzącej, składa się z dwumastu artykułów. Z nich Tytuł I-szy nie posiada żadnego nagłówka, a następne traktują o „rządzie“,

¹⁾ Archiwum b. Kommissyi Skarbu.

o ministrach i radzie stanu, o sejmie głównym, o senacie, o izbie pelskiej, o sejmikach i zgromadzeniach gminnych, o podziale kraju i administracyi, o porządku sądowym, o sile zbrojnej, oraz o urządzeniach ogólnych, i wreszcie o urządzeniach przemijających. Już samo wyliczenie tytułów przekonywa, że, wzorem wszystkich znanych nam konstytucyi, mieszczą się w ustawie konstytucyjnej Księstwa podstawowe tylko rozporządzenia, to jest te, które dotyczą ustroju władz centralnych, oraz stanowią kanwę, na której następnie wysnute być winny postanowienia, dotyczące wszystkich władz podrzędnych, wewnątrz kraju działających.

Na Tytuł I składają się cztery artykuły: Religia katolicka, apostołska, rzymska, jest religią stanu. Wszelka cześć religijna jest wolna i publiczna. Księstwo Warszawskie podzielone będzie na sześć dyecezyi; będzie w niem jedno arcybiskupstwo i pięć biskupstw. Wreszcie ostatni z tych artykułów głosi: znosi się niewola, wszyscy obywatele są równi przed obliczem prawa; stan osób zostaje pod opieką trybunałów.

Z tych czterech artykułów dwa telną duchem nowożytnym, są prostym odgłosem hasel rewolucyjnych: wygłoszenie tolerancyi religijnej obok zapewnienia katolicyzmowi dominującego znaczenia, oraz, co jeszcze donioślejsze, zniesienie niewoli, były to zasady, wprost z Francyi zapożyczone. Zniesienie niewoli osobistej miało na celu przeistoczenie stosunków poddaństwa, w jakim chłopci pozostawali. Szło tu o nadanie im wolności osobistej i zrównanie włościan przed obliczem prawa. Lecz, jak słusznie zaznaczył autor „Dziejów narodu polskiego“ ¹⁾, wygłoszenie wolności osobistej nie rozstrzygnęło sprawy włościańskiej. Była to tylko wolność osobista, która z kwestyą własności ziemskiej nic wspólnego nie miała. Niechętni nam pisarze podnoszą ten szczegół i odejmują z tego powodu wszelkie znaczenie konstytucyi Księstwa. Zdaje nam się wszakże, że tak bezwzględnie całej tej kwestyi traktować niepodobna. Aby ocenić doniosłość tego nowego hasła, przez konstytucyę wygłoszonego, godzi się uprzytomnić sobie, że nawet ustawa majowa zapowiedziała dopiero w przyszłości bliższe zajęcie się włościanami. To też konstytucya Księstwa stanowi pod tym względem postęp ogromnej doniosłości. Z niewolników uczyniła obywateli; ludziom, których życie niemal zawisło od szlachty i duchowieństwa, przyrzekła opiekę sądów. Zapewne z dziejowego stanowiska wygłoszenie samej zasady teoretycznej nie może budzić wnas zachwytu. Lecz jeśli na chwilę postawimy się w położeniu ludzi, dla których

¹⁾ Część IV, str. 42

chłop był człowiekiem niższego gatunku, istotą, niezasługującą na nadanie mu praw obywatelskich, to, oczywiście, zdołamy pojąć całą doniosłość tych kilku wyrazów, które wydają nam się pięknymi, pozbawionymi treści i znaczenia, frazesami. A jednak ten trzywyrazowy frazes był znamiennym, oznaczał przeistoczenie się pojęć społecznych, przejęcie się nowymi ideami, wsiąknięcie w krew ówczesnego społeczeństwa takich właśnie zasad, które mogły i musiały wywołać w kolei czasu obdarowanie chłopów własnością ziemską.

Lecz wygłoszenie zasady o powszechnej wolności osobistej, oraz zagwarantowanie swobody religijnej, nie wyczerpuje tych wszystkich postanowień ogólnych, które każda konstytucya zawiera. A pod tym względem ustawa Księstwa daleką była od swoich poprzedniczek i rówieśniczek; mamy tu na względzie dawniejsze, oraz współczesne konstytucye francuskie. Prawie wszystkie one gwarantowały nietykalność majątkową i osobistą, oraz swobodę słowa. O jednym i drugim konstytucya z roku 1807 ani słówkiem nie wspomniała. Brak nam danych do należytego wyświeatlenia tego faktu; nie możemy powiedzieć, czy stało się to rozmyślnie, czy też pominięcie ważnych tych hasel przypisać należy sposobowi powstania samej ustawy. Zdaje się wszakże, że prędzej brak ten tłómaczyć trzeba intencjami redaktorów konstytucyi. Były to czasy ustawicznych wojen, a w takich warunkach hasło nietykalności majątkowej i osobistej wydawać się musi czczym frazesem tylko, którego na seryo brać niepodobna. A zapewne niechęć nadania zupełnej i nieograniczonej swobody nie była obcą tym, którzy myśleli o organizacyi nowego państewka. Tyle co do przepisów ogólnych, mieszczących się w Tytule I.

Pod nagłówkiem „O rządzie“, nadanym Tytułowi II-mu, mieszczą się przepisy, tyczące się władzy królewskiej. Przedewszystkiem artykuł piąty stanowi, że korona książęca warszawska jest dziedziczną w osobie króla, jego potomków, dziedziców i następców, podług porządku następstwa, istniejącego w domu saskim.

Z kolei konstytucya orzeka, że rząd jest w osobie króla, który sprawuje władzę wykonawczą i posiada początkowanie praw, że może zdać na wice-króla część swojej władzy, że zamiast wice-króla zamianować może prezesa rady ministrów, że zwołuje, odracza i wyznacza dzień sejmu głównego, sejmiki, czyli zgromadzenia powiatowe i zgromadzenia gminne, że, dalej, prezyduje w senacie, o ile to uzna za właściwe (art. 6 — 9). Dalej konstytucya stanowi, że członków senatu mianuje król, że marszałka izby zatwierdza monarcha, że król każdej chwili może nowych senatorów mianować. Lecz co najważniejsza, to, że w myśl artykułu 86 ustawę konstytucyjną może dopełniać tyl-

ko król w drodze rozporządzeń przez siebie wydawanych, a uprzednio w radzie ministrów, radą stanu zwanej, roztrząsanych.

Jak widać z zestawienia przepisów, monarcha, bez względu na istnienie reprezentacji narodowej, posiadał władzę ogromną, w zasadzie mało skrepowaną formami parlamentarnymi. On jeden posiadał początkowanie praw, nikt inny z projektem występować nie mógł, a to jedno znakomicie redukowało stanowisko izb, a głównie sejmu.

To też przejrzenie akt i papierów z epoki Księstwa dosadnie przekonywa, jak wielką była władza Fryderyka. Tak na przykład: dnia 30 października 1807 roku wydaje dekret, niedrukowany nawet w Dzienniku ¹⁾ praw, nadający znaczne przywileje generalom francuskim, obdarowanym donacyami przez Napoleona.

Oto, jak powiada książę, po zasięgnięciu intencji cesarza do wytłómaczenia prawideł, stanowiących prawa donataryuszów i ciężary krajowe, jakie oni znosić mają... postanowił zawiesić ściąganie podatku ziemiańskiego (l'impôt foncier), wszystkich kontrybucyi i rekwizycyi, zwolnił od zapłaty papieru stemplowego. Mieści się w tym dekrete zwolnienie od podatków, którego w zasadzie monarcha konstytucyjny postanowić nie może. Z kolei zacytować warto: a dekret z dnia 26 grudnia 1807 roku, również nie zamieszczony w Dzienniku praw, upoważniający ministra skarbu do zaciągnięcia pożyczki w ilości 3 milionów złotych; b) dekret z tegoż dnia, także nieogłoszony w zbiorze urzędowym, zobowiązujący wszystkich mieszkańców Księstwa, którzy opłacają podatek 24-go grosza, aby po miesiącu styczniowej wnieśli z góry ratę, płatną w czerwcu roku 1808, a to w dwóch ratach: 15 lutego i 15 marca 1808 roku.

Ciekawem jest również ze stanowiska prawnego - państwowego rozporządzenie do Rady ministrów z dnia 29 stycznia 1808 roku, zakomunikowane jej przez ministra stanu. Brezję. Ma ono na względzie uzupełnienie znanej już nam ustawy co do generałów francuskich, i obowiązuje wszystkie władze krajowe do uprzedniego traktowania rzeczonych donataryuszów. Między innymi zaś, poleca monarcha, aby z dóbr, tymże generalom francuskim nadanych, ani podatek 24-go grosza, ani żadne liwerunki nie były wymagane za czas, upłyniony od wprowadzenia ich w possessyę, aż do czasu terażniejszego notyfikacyi decyzji Najjaśniejszego Cesarza, i podług niej ustawy Najjaśniejszego Króla, aby ustawa królewska względem dóbr, generalom francuskim darowanych, pod dniem dzisiejszym wydana, Radzie przesyłająca

¹⁾ Wszystkie powołane tu dekrety przytaczamy na podstawie akt archiwalnych b. Kommissyi Skarbu.

się, ani do Dziennika Praw, ani do gazet podawaną, ani w nich zamieszczoną nie była.

Z kolei zanotować warto, że bez uprzedniej approbaty sejmu, dekret z dnia 29 kwietnia 1808 roku uchwalił loteryę klasyczną dla Księstwa. I ten również rozkaz, w Dzienniku Praw pominięty, polecił oddanie loteryi w dzierżawę przedsiębiorcy podług planu, który rada stanu uprzednio zatwierdzić miała.

Za sprzeczny również z zasadą ustroju konstytucyjnego wogóle uchodzić musi dekret z dnia 20 kwietnia 1808 roku w przedmiocie organizacyi ministerów, choć jeszcze dekret księcia z dnia 14 grudnia 1807 roku zapowiedział wydanie takiej organizacyi, jako uzupełnienie Tytułu XI, artykułu 86 ustawy konstytucyjnej.

Jak dbałym był Fryderyk o swoją władzę monarszą, dowodzi tego naprzykład dekret z dnia 21 lipca 1808 roku, w którym dał nappomnienie radzie stanu za to, że bez uprzedniej jego approbaty zarządziła przymusową pożyczkę od kupców i obywateli na hypotekę dóbr narodowych.

Charakterystyczną jest wszakże adnotacya na tym dekreście, przez ministra skarbu uczyniona, że tenże poufnie komunikował o tem ministrowi sekretarzowi stanu, a rezolucyę przychylną, z Dreżna otrzymaną, zakomunikował radzie stanu.

Ciekawym jest także dekret z dnia 17 października 1808, w myśl którego Fryderyk, wbrew naczelnej zasadzie konstytucyjnej o równości praw, ograniczył żydów w korzystaniu z praw politycznych.

Dekret ten składał się dwóch artykułów. Pierwszy z nich głosi, iż mieszkańców, w Księstwie naszym Warszawskiem osiadłych, wyznających religię Mojżesza, zawieszamy w używaniu praw politycznych, na przyszłość służyć im mających, do lat dziewięciu, w nadziei, że przez ten czas zniszczą odróżniające ich tak bardzo od innych mieszkańców znamiona. Drugi zaś artykuł powiada, że „powyższe prawidło wstrzymywać nas nie będzie jednak od dozwoleńia szczególnym osobom tego wyznania, aby przed upłynieniem czasu wyżej oznaczonego używały praw politycznych, skoro na tę wysoką naszą łaskę zasłużą, dopełniając warunków, jakie im w osobnem urządzeniu, tyjącącem się wyznających religię Mojżesza, rozkażemy“.

Jak daleko władza księcia sięgała, świadczy dalej między innymi dekret z d. 16 grudnia 1808 r., który wprost bez parlamentu wyznaczył coroczny etat dla ministeryum spraw zagranicznych w ilości złp. 200,000. Dalej dekretem z dnia 20 marca 1809 r. zwolniono rzemieślników lub rolników cudzoziemców, osiadających w Księstwie, na przeciąg lat sześciu od wszelkich ciężarów i opłat. Nie wspomina my tu nawet o rozporządzeniach monarszych, znoszących bez przy-

zwolenia parlamentu cło, bądź przywozowe, bądź wywozowe od pojedynczych towarów, czy fabrykatów. Lecz co wydawać się musi dziwnem ze stanowiska prawnego, to np. powołanie do życia zupełnie nowych instytucji państwowych, bez wysłuchania opinii kraju. Tu należy utworzenie głównej izby obrachunkowej, na zasadzie dekretu z dnia 14 grudnia 1808 r., drukowanego w dzienniku praw, oraz także powołanie do życia Dyrekcji edukacji narodowej, w myśl rozporządzenia z dnia 17 grudnia 1810 r.

Widzimy tedy, że faktycznie władza monarsza, Fryderykowi służąca, była bardzo rozległą. Przytoczyliśmy głównie rozporządzenia księcia z dziedziny praw tak zwanych skarbowych, gdyż na tem polu podług teorii prawa państwowego reprezentacja ludu powinna mieć głos stanowczy. Tymczasem właśnie w tej sferze Fryderyk gospodaruje ze swoimi ministrami zupełnie samoistnie, nie oglądając się zgoła na to, co izba poselska, lub nawet wprost od niego zależny senat powiedzą; a dla czego tak słaby był wpływ parlamentu, odpowiedzi na to szukać należy w ustroju owej reprezentacji. Niebawem zobaczymy jak szczupłe były ramy, w których tej ostatniej wolno się było obracać.

Tytuł III konstytucyi, zwykle w ustawach tego rodzaju jeden z najważniejszych, opiewał o ministrach, oraz o radzie stanu.

Skład ministeryum był według art. 11 następujący: minister sprawiedliwości, minister wewnętrzny i czci religijnych (czyli po dzisiejszemu, minister spraw wewnętrznych i wyznań), minister wojny, minister przychodów i skarbu, minister policji i minister sekretarz stanu. Na wstępie zaraz zwraca na siebie uwagę okoliczność, że wśród tek ministeryalnych brak teki spraw zewnętrznych, oraz oświaty. Co do pierwszego, to fakt ten znajduje usprawiedliwienie w tem, że saski minister spraw zewnętrznych pełnił jednocześnie obowiązki takiegoż ministra Księstwa Warszawskiego; w ustawie konstytucyjnej brak właściwego przepisu, lecz, faktycznie, tak się rzeczy miały. Takim ministrem był w r. 1808 hr. Bose, a tem się tłómaczy okoliczność, że wskutek raportu tegoż z d. 9 grudnia 1808 roku, Fryderyk, jak już wspominaliśmy, zatwierdził coroczny etat na potrzeby tegoż ministeryum w sumie 200,000 złp. rocznie. A i ten wydatek, który nam się obecnie wydaje śmiesznie małym, współcześni uważali za zbyt wygórowany.

Jeden z młodych posłów na sejm, Godlewski Józef, z Maryampolskiego, znany pod nazwą trybuna ludowego, świetny i cięty krytyk rządu, tak ten wydatek w jednej ze swoich mów krytykował: „wydatek na interesa zewnętrzne, czy i gdzie i na co się czyni? bynajmniej nie jest dotąd wiadomo. Owszem, jak mówią, Najjaśniejszy

Pan zastępuje. Żebyśmy zaś złp. 200,000 wydatków na to mieli, będąc z Saksonią pod jednym królem i nie składając oddzielnego państwa, wnosić niepodobna. Cóż mamy z naszych interesów zewnętrznych dla kraju dobrego? Handel z Rosyją całkiem zamknięty, z Prusami dla ustanowionego, pod dniem 15 września roku bieżącego, przez króla pruskiego wielkiego cła, także przecięty. Wprowadzać do nas wszystko wolno, a nam do drugich albo nie zgola, albo za wielką opłatą. Z naszemi paszportami do Rosyi jechać nie możemy, a im do nas wolno. Jakież więc mamy czy mieć możemy interesa zewnętrzne i na co wspomniany wydatek?“

Ten sąd, może zbyt surowy, może nie uwzględniający ówczesnego położenia kraju, przekonywa w każdym razie, że ministeryum spraw zewnętrznych właściwie do władz krajowych nie należało. Prawnie urzędowało ono poza granicami kraju, a jako takie słusznie w konstytucyi miejsca nie znalazło; reprezentantów osobnych Księstwo nie posiadało. Słowem cała ta dziedzina leżała poza attrybucyą Rady ministrów, do której zresztą minister spraw zagranicznych wcale nie należał.

Już zaznaczyliśmy, że w gronie ministrów nie spotykamy osobnego ministra oświaty. Lecz było to zjawiskiem w całej Europie powszechnem. Natomiast, co podkreślić przedewszystkiem należy, to wyższość w tej mierze Księstwa przed innemi ówczesnemi państwami, Jakoż jeszcze kommissya edukacyjna była najpierwszą w całej Europie instytucyą centralną, do spraw oświecenia publicznego przeznaczoną. Z dumą to podnieść możemy, iż Izba edukacyjna, utworzona przez kommissyę rządzącą, a więc przed nadaniem konstytucyi przez Napoleona, odziedziczyła po swojej sławnej poprzedniczce te cechy wyróżniające, które czyniły z niej faktycznie ministeryum oświaty w dzisiejszem pojęciu tego słowa.

Ministrowie składają, bądź radę ministrów, bądź radę stanu.

Radzie ministrów przewodniczy prezes ministrów, Radzie stanu zaś król, wice-król lub prezes, specjalnie w tym celu mianowany.

Wice-król przez cały czas istnienia Księstwa nie był przez księcia mianowany, stąd też przepis o wice-królu stał się martwą literą. Do attrybucyi rady stanu miało należeć:

- 1) Roztrząsanie, układanie i stanowienie projektów do praw lub urzędzeń administracyi publicznej, a to na przedstawienie poszczególnych ministrów.
- 2) Rozpoznawanie sporów jusysdykcyjnych między władzami administracyjnymi a sądami.
- 3) Rozstrząsanie sporów administracyjnych.
- 4) Oddawanie pod sąd urzędników administracyi publicznej.

Wszystkie postanowienia rady stanu, tudzież projekty do praw, przez radę przyjęte, ulegały zatwierdzeniu księcia.

Jak już nadmieniliśmy, na mocy dekretu z dnia 20 kwietnia 1808 roku, uzupełnioną została luka ustawy konstytucyjnej w przedmiocie organizacyi ministerów. Nazywamy brak ten luką może niewłaściwie, gdyż wogóle konstytucye specjalnych postanowień, co do atrybucyi poszczególnych ministrów, nie zawierają. Nie będziemy tu rozbiegali wszystkich artykułów dość obszernego dekretu, w tym przedmiocie wydanego. Poprzestaniemy tylko na scharakteryzowaniu tych jego ustępów, które nam pomogą do wyświecenia ducha ustawy konstytucyjnej. Wygłoszona przez tę ostatnią odpowiedzialność ministrów zrozumianą została w ten sposób, że byli oni stosownie do art. 19 dekretu odpowiedzialni a) za ustawy i urzędy przez nich podpisane, a przeciwne konstytucyi lub krajowi szkodliwe; b) za wydane przez nich rozkazy szczególne, a przeciwne konstytucyi, prawom i urządzeniom lub krajowi szkodliwe; c) za niewykonanie praw i urzędów administracyi publicznej. W tych trzech wypadkach służyła skarga na każdego ministra do rady stanu, która o wyniesionej skardze winna księciu zdać raport, o ile uzna tę skargę za ważną; książę, miał wówczas sąd. Rada stanu miała również prawo inicjatywy w tej mierze bez uprzedniej skargi osoby interesowanej.

Tak pojęta odpowiedzialność stanowiła zwykłą odpowiedzialność urzędnika za czyny z władzą jego związane. Nie była to odpowiedzialność łączna ministrów wobec reprezentacyi narodowej, w duchu pojęć konstytucyjnych. O solidarnem też działaniu ministrów w tem znaczeniu mowy nie było.

Każdy z ministrów działał osobiście i osobiście też odpowiadał za swoje czynności. Zresztą i ta odpowiedzialność, o której dekret z r. 1808 wspomina, była bardzo względna i mocno ograniczona. Z treści jego wynika, że te tylko „zaskarżenia imienne przedstawione będą księciu, które przez radę za ważne uznane będą. Od niej tedy zależało nadać dalszy bieg skardze zamiesionej na ministra.

Nie wiemy, czy zdarzało się, że skargi, na ministrów podawane, faktycznie wcale do monarchy nie dochodziły, czy często rada im żadnego nie przypisywała znaczenia; lecz, bądź co bądź, ze stanowiska prawnego godzi się zaznaczyć, iż sprawa osobistej nawet odpowiedzialności ministrów opierała się na bardzo kruchej podstawie.

Ze wszystkich ministerów, wzorem innych krajów, najrozleglejsze atrybucye posiadało ministerium spraw wewnętrznych. Nie różniły się one też zgoła od ogólnie przyjętych w tej mierze zwyczajów. Dodatkową tylko funkcją, którą posiadali zresztą ówcześni ministrowie spraw wewnętrznych we Francyi i w Prusach, była, jake-

śmy nadmienili, piecza nad oświatą publiczną, a w tej mierze art. 40 dekretu z roku 1808 takie zawierał postanowienia:

Do wydziału ministra spraw wewnętrznych należy oświecenie publiczne.

Dyrekcya edukacyi, ustanowić się mająca, pod jego naczelnym jest dozorem.

A dalej należy do niego: Rozszerzenie literatury i sztuk pięknych, wprowadzenie do kraju ludzi uczonych, artystów i ich wsparcie, towarzystwa uczone, biblioteki i tym podobne zakłady. Zakładanie pras i księgarni, zachęcanie do wynalazków nowych lub do ich wydoskonalenia, zachowanie wolności druku w obrebach się przepisać mających, cenzura wszelkich dzieł prócz gazet i dzieł peryodycznych w materji politycznej. Zakładanie i urządzanie teatrów, oraz wszelkich uroczystości publicznych.

Był nadto minister wewnętrzny, jak wiemy, ministrem wyznań. W tym charakterze do niego między innymi należało zabezpieczenie wolności obrządków duchowych i zapobieżenie wszelkim nadużyciom, a także dozór nad zachowaniem się księży, tak politycznem, jak cywilnem, nad zgromadzeniami religijnymi, szczególnie nad zgromadzeniami braci i sióstr miłosiernych.

Ciekawym był jeszcze ustrój dwóch ministerjów: policyi, oraz sekretaryatu stanu.

Minister policyi miał na celu wykonywanie praw i urzędzeń, ściągających się do zapobiegania wypadkom szkodliwym i bezprawiom, tudzież czuwanie nad bezpieczeństwem i porządkiem publicznym. Do niego dalej należały:

- a) Czujna i ciągła bacność, porządek potoczny i pierwsze kroki, zabezpieczające wolność, własność, spokojność i wygodę.
- b) Dozór, ażeby władze nie przyznawały, nieprzywłaszczały sobie urzędzeń i publikacyi powszechnych.
- c) Zaprowadzenie i utrzymywanie listy, w której każdy mieszkaniec „udowadnia swój sposób utrzymania się“.
- d) Cenzura gazet i pism peryodycznych w przedmiotach politycznych.
- e) Bacność na osoby nieznanne lub podejrzane, przebywające w Księstwie, szczególnie w stolicy.
- f) Zapobieganie wszelkim zgorzleniom publicznym.
- g) Śledzenie, aresztowanie i oddawanie do robót publicznych włóczęgów wszelkiego gatunku i żebraków, i wydalanie obcych włóczęgów z kraju, dozór nad służącymi, dozór policyjny nad więźniami wszelkiego rodzaju.

h) Dozór nad wszelkimi schadzkami ludu, a w szczególności nad teatrami, oberżami i wszelkimi domami i drogami publicznymi.

i) Dozór nad wykonywaniem urzędzeń, zapobiegających wypadkom ognia, w szczególności dozór nad studniami i porządkami ogniowemi.

k) Dozór nad zdrowotnością, jako to: nad aptekami, zmyślonymi doktorami i nad wszelkimi sposobami, zapobiegającymi szerzeniu się chorób zaraźliwych, nad czystością, a szczególnie w miastach, nad cmentarzami, nad utrzymaniem w porządku dróg, mostów, bruków, nad oświetleniem ulic, nad domami grożącymi ruiną, nad bezpieczeństwem dróg publicznych, nad zapobieganiem kłótniom, bitwom i pojedynkom, nad sprzedażą prochu i trucizny, nad noszeniem broni.

l) Dozór nad wykonywaniem urzędzeń zapobiegających wszelkiemu oszustwu, a w szczególności nad wszelkimi miarami i wagami, nad taksami chleba, mięsa i innych pierwszych potrzeb, nad weksłami, zapobieganie przedmiastowym przekupom, zapobieganie grom hazardowym, dozór przeciwko fałszowaniu monety i przeciwko psuciu budowli, drzew i wszelkich ozdób publicznych, bacność na rozpieczętowanie listów i zmyślenie ich pieczęci.

m) Śledzenie występku, zabezpieczające pierwsze kroki,

n) Użycie gwardyi narodowej dla utrzymania porządku.

Przytoczony regestr czynności, wchodzących w zakres ministerjum policyi, obejmuje wszystko to, co zwykle pod miano policyi w najobszerniejszem tego słowa znaczeniu teoria podciąga. Widzimy tu zapewnioną interwencyę do wszystkich dziedzin życia społecznego, opiekę nad najrozmaitszemi jego objawami. Zwraca tu tylko na siebie uwagę włożony na ministra policyi obowiązek zabezpieczenia wolności osobistej i własności mienia. Konstytucya Księstwa, jakżeśmy to wytknęli, tych ostatnich zasad podstawowych każdego państwa prawnorządowego nie wygłosiła. Natomiast obowiązek ten włożyła na ministra policyi. Jest to pewnego rodzaju prawnopolityczna ironia, która zapewne wbrew woli autorów omawianego dekretu przebiega się w powyższych kilku wyrazach.

Nie tu miejsce zastanawiać się bliżej nad praktyczną działalnością ministerjum policyi. Możemy tylko zauważyć, co zresztą już gdzieindziej podnieśliśmy ¹⁾, że ówczesny minister policyi, a był nim

¹⁾ „Rolnictwo i handel za czasów Księstwa Warszawskiego“ (Warszawa 1881 r.

Aleksander Potocki, bardzo szeroko zakres swojej działalności obejmował.

Mieszał się on do taks na chleb i mąkę, i do wekslarzy, i do cenzury, i do higieny i t. d., słowem korzystał z nadanych sobie praw w sposób bardzo rozległy. To też wczytywanie się w te najrozmaitsze urzędnienia sprawia wrażenie, iż opieka państwa za czasów Księstwa posuwała się bardzo daleko. Ciągłe staje przed oczyma chęć antytezy z niedawną przeszłością polityczną. Widać niezależnie od wszelkich wpływów wewnętrznych i niezależnie od przykładów francuskich, chciano silny rząd ugruntować, chciano silną rozciągnąć kontrolę nad społeczeństwem, aby w ten sposób przekonać, że, mimo wszystko, Polacy umieją administrację kraju na mocnych ugruntować podstawach.

Ostatnim z szeregu ministrów był minister sekretarz stanu. Rola jego polegała na pośredniczeniu między wszystkimi pozostałymi ministrami a księciem.

„Jest on... przy boku naszym i na czele kancelaryi naszej królewskiej, do wszelkich interesów Księstwa naszego Warszawskiego—opiewa art. 70 dekretu z r. 1808.—Jemu jest powierzona pieczęć nasza gabinetowa. On odbiera wszelkie od rady stanu lub od ministrów odezwy i raporty do Księcia. Każde takowe pismo otworzyć powinien i nam je przedstawić; jeżeli jednak pismo takowe miało-by na kopercie wyraz do rąk własnych królewskich, otworzyć go wtedy nie może i nietknięte nam je oddać powinien. Wreszcie wszelkie prawa, reskrypty kontrasygnuje, oryginały w archiwum zachowuje, a zgodność kopii pod osobistą odpowiedzialnością poświadcza.“

Jak już nadmieniliśmy, projekty do praw przygotowywała wyłącznie rada stanu i tylko jej przedstawienia mogły być przez sejm decydowane. Poza tem, jak jeszcze zresztą zobaczymy, nikomu z żadnym projektem nie wolno było występować. To też ta attribucya rady stanu posiadała wyjątkową doniosłość i wymagała dokładnego skrytalizowania. W d. 16 grudnia 1808 r. wydanym został dekret, mający na celu bliższe omówienie ważnej tej funkcji.

Przedewszystkiem Fryderyk zalecił radzie stanu, aby projektami, mającemi wejść na stół obrad do izby poselskiej, zajmowała się przed wszelkimi innymi sprawami z wyjątkiem przedmiotów ostatecznej nagłości.

Ciekawe są przytem „monita“, że się tak wyrazimy, jakie książę radzie stanu, co do rozmaitych projektów, dawał. I tak, co do projektów opodatkowania: „Rada nasza stanu niech wynajdywać będzie sposoby zapełnienia deficytu przychodu spodziewanego, w porównaniu

z wydatkami, jakowych konstytucya i nieodbite administracyi potrzeby wymagają, szczególniej zatrudni się, aby w wybieranych na to sposobach dać pierwszeństwo najmniej kraj ciężącym i najmniej obywatelom odrazy sprawiającym.“

Z kolei, co się tyczy projektów, zmierzających do zmian w prawie cywilnem, rada stanu winna mieć na względzie, że „każda odmiana w prawie postanowionem powinna mieć przyczynę koniecznego i nagłego wymagania, a przynajmniej być dowiedzioną jawnym użytkiem; że każda cząstkowa praw odmiana wymaga dojrzałego roztrząśnienia nad skutkiem odmiany, rozciągającym się na całkowity zbiór prawa; że nakoniec w kodeksie niedawno co nadanym Księstwu przez jego wielkiego twórcę, jakiegokolwiek poruszenie zdawało-by się za śmiałe, gdy zaledwo dostateczny był czas przez doświadczenie rozpoznania jego pożytków.“

W przedmiocie wreszcie projektów, uwzględniających prawo kryminalne, dekret zwraca uwagę, że „do ułożenia kodeksu kryminalnego dla Księstwa należy zabrać się z tym namysłem, jakiego wymaga przedmiot, od którego życie i wolność obywateli mają zażyć“.

Wedle tedy zasadniczych przepisów konstytucyi projekty do nowych praw roztrząsały ostatecznie izby. Przyjrzyjmy się tedy ustrojowi parlamentarnemu Księstwa w świetle konstytucyi.

Parlament nosił w Księstwie nazwę sejmu głównego, składał się zaś on z dwóch izb: z izby pierwszej czyli izby senatorskiej, i z drugiej izby, czyli poselskiej. Sejm zgromadza się co dwa lata w Warszawie, a to w czasie oznaczonym w akcie zwołującym sejm.

Czas trwania sejmu nie dłużej ma się ciągnąć, jak dni 15.

Konstytucya w tych wyrazach określa atrybucye sejmu: „Do niego, to jest sejmu, właściwie należy naradzanie się względem prawa podatkowego, czyli przychodów skarbowych, względem praw, dotyczących się odmian, które uczynić wypada bądź w prawodawstwie cywilnem, bądź w prawodawstwie kryminalnem, bądź też w systemacie menniczym“. Wreszcie nadmienić wypada, na co zresztą zwracaliśmy już uwagę, że wszystkie projekty do praw, przygotowywane w radzie stanu, przesyłano głównemu sejmowi na rozkaz króla, że uchwalała je izba poselska tajnem głosowaniem i większością głosów, poczem podawano je do sankcyi senatu.

Te ogólne przepisy o stanowisku sejmu już na pierwszy rzut oka przekonywują o krótkotrwałości sejmu, oraz o bardzo szczupłym zakresie działania, jaki z góry nakreślono. Zdaje się, że przy takim załatwieniu tej sprawy nie obcą była redaktorom konstytucyi chęć zer-

wania z tradycją dawnych wszechwładnych sejmów, oraz dążenie do utworzenia silnej władzy wykonawczej, której-by parlament zbyt nie ograniczał. Jakkolwiekbyż wszakże ze stanowiska teorii konstytucjonalizmu nie może się ostać samo ograniczenie władzy prawodawczej do kilku tylko, ważnych co prawda, lecz zawsze niewielu dziedzin życia społecznego.

Skarbowość, prawodawstwo cywilne i kryminalne, oraz systemat menniczy, oto w krótkości przedmioty, które oddane zostały parlamentowi. Dziwnem też wydawać się musi wyłączenie całej dziedziny ustroju administracyi wewnętrznej, oraz tych wszystkich praw, które dążą do możliwego urzeczywistnienia opieki państwa w życiu. To też prawo tłumaczy nam na razie nieusprawiedliwiony fakt, iż całe szeregi dekretów w kwestyach najpoważniejszej natury wydawał monarcha z pominięciem parlamentu. Lecz co szczególniejsza, to ta okoliczność, że nawet w dziedzinie skarbowości władza parlamentu ograniczona była tylko do uchwalania etatu dochodów państwa, czyli, że cała dziedzina wydatków, jedna z najważniejszych w ustroju każdego państwa, władzy parlamentu zgoła nie podlegała. A przecież tu właśnie, w świetle pojęć konstytucyjnych, odbywa się właściwa kontrola reprezentacyi narodowej. Tu właśnie otwartem jest pole do wykonywania rzeczywistego i prawdziwego nadzoru, do powołania ministerjum przed forum parlamentu, celem zdania sprawy z działalności władzy wykonawczej. Odebranie parlamentowi władzy interwencyi do rozchodów państwa, to właściwie sprowadzenie całego parlamentaryzmu do bardzo podrzędnego stanowiska. A do tego przyczyniło się zresztą samo wewnętrzne urządzenie izby poselskiej. Lecz nie dość na tem. Już widzieliśmy, że nawet w tym szczupłym zakresie, jaki sejmowi głównemu pozostawiono, Fryderyk nie zawsze liczył się z wolą reprezentantów ludu. Wiemy, że monarcha wydawał dekryty, zmierzające do zwolnienia całej grupy ludności od podatków, że samowolnie zarządzał wcześniejsze ich ściąganie, że nawet niekiedy wstrzymywał pobór niektórych opłat. Słowem, faktycznie, konstytucyę, i tak krępującą działalność prawodawczą parlamentu, ograniczano na każdym kroku jeszcze bardziej. Jedno tylko w tej mierze mogło być pociechą dla rządzonych, że dekryty, podpisywane przez Fryderyka w Dreźnie, redagowała rada stanu w Warszawie, rada stanu, która liczyła w swem gronie Stanisławów Potockich, Badenich, Woroniczów i innych. Kończąc z przeglądem ogólnych postanowień o sejmie, podkreślić należy, że już w samej konstytucyi zapewniono większości głosów przewagę, że więc, idąc w ślad za konstytucyą majową, odrazu zerwano z tradycją *liberum veto*.

Już wspomnieliśmy, że sejm główny składał się z dwóch izb: z senatu i z izby poselskiej.

Senat złożony był tylko z samych członków, przez króla mianowanych. W szczególności do składu senatu należało osiemnastu członków, to jest sześciu biskupów, sześciu wojewodów i sześciu kasztelanów. Wszystkich, jak rzekliśmy, mianował król; co do biskupów, to prekonizacya (instytucyja) należała do stolicy świętej. W senacie prezyduje jeden z senatorów, mianowanych przez króla. Urząd senatora był dożywotni. Senat nadaje sankcyę prawu, uchwalonemu przez izbę poselską. Senat odmówić może potwierdzenia w wypadkach następujących: 1) jeżeli prawo uchwalone nie było w zastosowaniu do formalności, przewidzianych przez konstytucyę, lub jeśli obrady przerwane zostały skutkiem jakiegoś nagłego gwałtu; 2) jeśli senatowi wiadomo, że prawo nie było przyjęte większością głosów; 3) jeśli senat uznaje, że prawo zagraża bezpieczeństwu kraju, albo też jest przeciwne przepisom ustawy konstytucyjnej.

Jeśli z wyłuszczonej powodów senat odmawia sankcyi prawu, przez izbę uchwalonemu, to jednocześnie, na zasadzie uchwały specjalnej, wyłuszczającej powody takiej odmowy, upoważnia króla do uchylecia uchwały poselskiej.

W wypadku odrzucenia uchwały z powodu pogwałcenia przez izbę przepisów formalnych, król, po wysłuchaniu rady stanu, mocen jest nakazać odesłanie projektu do prawa do izby poselskiej i zalecić jej aby nową powzięła uchwałę, z zachowaniem wszystkich obowiązujących przepisów. Jeśli-by izba poselska do tego się nie zastosowała i nową wydała uchwałę z pogwałceniem zasadniczych formalności, wówczas fakt istnienia takiego nieładu, bądź w porządku zgromadzenia, bądź w formalnościach, obradom przepisanych, powoduje rozpuszczenie izby i nakazanie nowych wyborów przez króla.

W wypadku rozwiązania izby poselskiej, prawo, dotyczące się przychodów skarbowych, przedłużone zostaje na rok jeden, a prawa cywilne, lub kryminalne, zachowują nadal moc swoją bez żadnej zmiany.

Gdy senat odmówił sankcyi prawu, może również król mianować nowych senatorów i odesłać potem prawo do senatu. Wolno mu w ten sposób zwiększać skład liczebny senatu do trzydziestu członków, w szczególności, nie licząc sześciu biskupów, do dwunastu wojewodów, oraz dwunastu kasztelanów. Skoro wszakże król z tego prawa korzysta, to nowe wakanse wśród wojewodów i kasztelanów nie będą uzupełnione, dopóki skład senatu nie wróci do normy pierwotnej.

Nakoniec zauważyć należy, że król mógł nakazać ogłoszenie prawa i bez sankcyi senatu, jeśli to za właściwe uzna. Z chwilą ogłoszenia prawo stawało się natychmiast obowiązującym.

Jak widzieliśmy, to z ducha konstytucyi wypływa, że senatowi służyła raczej władza nadzorcza. Miał on pilnować formy, nie treści winien był baczyć na zachowanie przez izbę poselską formalności, wymaganych przy uchwalaniu prawa. Oczywiście, że możność oceniania, czy prawo nie grozi bezpieczeństwu, lub nie sprzeciwia się konstytucyi, nadawała senatowi bardzo obszerną władzę. Przepisy, dotyczące się zachowania porządku i formalności przy uchwalaniu projektów do praw, stanowią łatwo zrozumiałą oddźwięk minionej przeszłości, gdy sejmowanie w Polsce nie odbywało się wzorowo. To też dlatego-to na senat włożono obowiązek przestrzegania zewnętrznego trybu przy wydawaniu uchwał przez izbę poselską.

Dla uzupełnienia obrazu parlamentaryzmu w Księstwie, pozostaje nam się zapoznać z organizacją izby poselskiej, która z natury rzeczy stanowić miała rdzeń ustroju reprezentacyjnego. Izba poselska składała się: 1) z sześćdziesięciu posłów, mianowanych na sejmikach, czyli zgromadzeniach szlachty każdego powiatu, licząc po jednym z powiatu; 2) z czterdziestu deputowanych od gmin. Co do pierwszych, obejmowała konstytucya ograniczenie, że wybór na posła wymagał wieku lat dwudziestu czterech. Deputowanym mógł być każdy członek zgromadzenia gminnego, a więc ten, kto ukończył dwadzieścia jeden lat wieku. Później zobaczymy, jakie klasy społeczne składały się na zgromadzenia gminne, powołujące deputowanych do izby. Tu nadmienimy tylko, że z liczby deputowanych — ośmiu wybierała Warszawa, a pozostałych reszta kraju, oraz że każde zgromadzenie gminne powinno było liczyć w swem gronie przynajmniej 600 obywateli, posiadających prawo wyborcze czynne.

Kadencya członków izby trwała przez lat dziewięć, a co trzy lata odnawiała się trzecia część ogólnej liczby członków, co w pierwszych dwóch latach kolejną losu odbywać się miało. Prócz członków z wyboru, członkowie rady stanu są z urzędu członkami izby. Poza tem izba żadnych innych członków w swem gronie nie liczyła.

Po przyłączeniu do Księstwa departamentów, tak zwanych austriackich, liczba członków sejmu odpowiednio zwiększoną została. Dekret z dnia 24 lutego 1810 roku, który rozciągnął ustawę konstytucyjną do nowych tych prowincyi, podniósł liczbę senatorów o dwunastu, a mianowicie: dodał czterech biskupów, czterech wojewodów i czterech kasztelanów. Prócz tego liczbę członków izby poselskiej uzupełniono w ten sposób, że cyfrę posłów z sześćdziesięciu zwiększo-

no do stu, a ogólną ilość deputowanych pomnożono o dwudziestu sześciu, to jest z czterdziestu podniesiono ją do sześćdziesięciu sześciu. Z tych nowych deputowanych przypadać miało na Kraków czterech.

Marszałka izby, przewodniczącego na posiedzeniach, mianuje ostatecznie król po dokonaniu wyborze kandydata przez członków izby z jej łona.

Izba spełnia właściwą czynność parlamentu, to jest uchwała projekty do praw, przedstawione jej przez radę stanu, poczem odsyła je do senatu, do sankeyi ostatecznej.

Celem rozbioru projektów prawodawczych, izba, względnie do trzech głównych sfer swej działalności, wybiera po otwarciu każdej kadencji sejmowej większością głosów, przez tajne kreskowanie, trzy kommissye, składające się każda z pięciu członków, to jest: kommissyę przychodów skarbowych, kommissyę prawodawstwa cywilnego i kommissyę prawodawstwa kryminalnego. Same obrady nad projektami prawodawczymi miały mało wspólnego z dyskusją w dzisiejszych parlamentach.

Przedewszystkiem po wypracowaniu projektu prawa, ulegającego w zasadzie decyzji izby, rada stanu komunikuje o tem właściwej kommissyi za pośrednictwem ministra właściwego wydziału.

Kommissya, po zapoznaniu się z projektem, w razie zamiaru poczynienia jakichbądź uwag, zbiera się u danego ministra. O ileby kommissya uwagi swoje ostatecznie zredagowała i żądała ich uwzględnienia w projekcie, w takim razie minister donosi o tem radzie stanu. Ta ostatnia z kolei, o ile zapragnie, władną jest zaprosić członków kommissyi do wspólnych narad nad projektem. Następnie już rada stanu sama ostatecznie redaguje projekt, i ten zostaje przesłanym, jako ostateczny, do izby. W dyskusyi nad projektem mogą brać udział tylko członkowie rady stanu, oraz właściwej kommissyi. Poza tem nikt zabierać głosu nie może. „Członkowie tylko rady stanu i członkowie kommissyi poselskiej—głosi art. 46—mają prawo mówienia w izbie bądź w przypadku zgodności rady i kommissyi względem projektu do prawa, końcem dobitniejszego wystawienia pożytków jego, bądź w przypadku rozróżnienia zdań, końcem jawniejszego okazania, lub zbijania nieprzyzwoitości onegoż. Zaden inny członek nie może zabierać głosu względem projektu do prawa“... Co więcej, konstytucya wyraźnie opiewa, że członkowie kommissyi przemawiać mogą za, lub przeciw projektowi. Natomiast członkowie rady stanu mogą stawać tylko w obronie projektu.

Obradami kieruje marszałek, który mocen jest własną władzą dyskusyę zamknąć i zarządzić głosowanie. „Izba kreskuje sekretnie,—dodaje artykuł 48,—i stanowi prostą większością kresek“. Takí był porządek uchwalania praw. Nie potrzeba chyba nadmieniać, że konstytucjonalizm nietylko w dzisiejszem tego słowa znaczeniu, lecz nawet z końca XVIII wieku, nie może się zgodzić na cały ten system, przyjęty przez ówczesnych prawodawców. Zapewne, że uchwały mogły zapadać prędko, że dyskusyi nie podobna było przewlekać, lecz chyba wobec takiego porządku rzeczy o reprezentacyi interesów ludu trudno było mówić. Kilku mówcom wolno było głos zabierać, a wszyscy inni tylko za pomocą tajnego głosowania mogli dać wyraz swojej opinii. Mimochodem zaznaczymy, że dyaryusze sejmowe z epoki Księstwa dotąd drukiem ogłoszone nie zostały. Trudno więc zdać sobie sprawę w zupełności, jak wyglądała w rzeczywistości dyskusya w pełnej izbie. Częściowo wszakże można sobie wyrobić sąd o tem na podstawie zachowanych głosów posła maryampolskiego z roku 1809, a głównie z roku 1811. Te ostatnie wydane zostały w oddzielnej, bardzo obszernej książce. Na innem miejscu wspominaliśmy już o autorze tych głosów, Józefie Godlewskim, zwanym trybunem ludowym¹⁾. Obecnie zaznaczymy tylko, że był on członkiem kommissyi przychodów skarbowych, że, jako przeważnie opponent projektów prawodawczych, zabierał niejednokrotnie głos i krytykował wszechstronnie działalność rządu. A co na szczególne wyróżnienie zasługuje, to ta okoliczność, że Godlewski, wzorem dzisiejszych mówców parlamentarnych, korzystał z dyskusyi nad skarbowością, aby niemal o całej polityce rządowej przemawiać. Miał zaś on rolę o wiele trudniejszą dla tego, że, jak wiemy, tylko kwestya dochodów ulegała jurydykcyi parlamentu. Mimo to rozbierał on budżet w całości i poszczególne pozycye namiętnej poddawał krytyce. Co więcej, wdawał się w krytykę całej działalności ministerium. Głosy Godlewskiego, z powodu ogłoszenia ich w osobnej książce, oburzyły przeciwko autorowi przeważną część społeczeństwa. Zarzucano mu brak patriotyizmu, dowodzono, że publicznie wystawia słabe strony kraju. Wyraz oburzeniu temu dał między innymi Koźmian w swoich pamiętnikach, a Skarbek z lekka go potraktował.

Widzimy tedy, że bez względu na bardzo słabą władzę parlamentu, nawet w tak trudnych warunkach, usiłowano nad niemi zapa-

1) Trybun ludowy za czasów Księstwa. „Prawda“. Książka zbiorowa dla uczczenia Aleksandra Świętochowskiego.

nować, oraz nadać choć częściowo takie stanowisko izbie, jakie w zasadzie swej zajmować ona powinna.

Dla wytworzenia sobie dokładnego pojęcia o parlamentarystyce za czasów Księstwa, należy jeszcze zastanowić się nad systemem wyboru członków izby.

Jakośmy nadmienili, ów ostatni dzielił się na dwie kategorie: na posłów, oraz na deputowanych. Pierwszych wybierały sejmiki, czyli zgromadzenia powiatowe, drugich zaś zgromadzenia gminne.

Sejmiki składały się ze szlachty, zamieszkałej w powiecie. Oprócz posłów, sejmiki te wybierały kandydatów do rad departamentowych i powiatowych, tudzież do sądu pokoju.

W obawie zapewne przed zbyt wielką spójnią sejmików, konstytucya zastrzega, że sejmiki podzielone są na dziesięć oddziałów, że każdy oddział składa się z powiatów, przedzielonych jednym, lub kilku powiatami, oraz że dwa oddziały nie mogą być jednocześnie zwołane. Zgromadzenia gminne prócz posłów wyznaczały jeszcze podwójną liczbę kandydatów do rad municypalnych. Na zgromadzeniach gminnych mieli prawo głosu:

- 1) Każdy obywatel właściciel nieszlacheic.
- 2) Każdy rękodzielnik, oraz przełożony nad czeladzią warsztatową; każdy kupiec, posiadający własny swój kapitał w sklepie, lub w magazynie wartości 10,000 złotych polskich.
- 3) Wszyscy plebani i wikaryusze.
- 4) Każdy artysta i obywatel, znany z talentów, wiadomości, lub usług, oddanych bądź handlowi, bądź kunsztowi.
- 5) Każdy podoficer i żołnierz, który będzie ranny, lub też który po odbyciu kilku kampanii otrzymał uwolnienie ze służby.
- 6) Każdy podoficer i żołnierz, pozostający w służbie czynnej, który za dobre sprawowanie otrzymał odznaczenie honorowe.
- 7) Oficerowie wszelkiego stopnia, podoficerowie i żołnierze, pozostający w służbie czynnej i w tym charakterze pełniący obowiązki w załodze, konsystującej w miejscu posiedzeń zgromadzenia, nie mogą korzystać z czynnego prawa wyborczego. Listy poszczególnych grup tych wyborców układane są odmiennie.

I tak listę właścicieli sporządza municypalność, a zaświadcza ją poborcy podatkowi.

Listę plebanów i wikaryuszów układa prefekt a potwierdza ministeryum spraw wewnętrznych.

Listę oficerów, podoficerów i żołnierzy układa prefekt, i poświęca minister wojny.

Wreszcie listę rzemieślników, kupców oraz obywateli znakomitych, formuje prefekt, zatwierdza corocznie senat; przytem, obywate-

lom, mającym prawo do korzystania z prawa wyborczego, wolno było bezpośrednio zwracać się do senatu z dowodami wspierającymi ich żądanie. Nadto senat, z urzędu, w każdym wypadku mógł nakazać zmianę lub uzupełnienie listy rzeczonych wyborców.

Na wzór sejmików istniało również ograniczenie co do terminu zwoływania zgromadzeń gminnych.

Jednocześnie w całym powiecie zebrania nie mogły się odbywać, lecz obowiązkowo zachodzić musiała ośmiodniowa przerwa między zebraniem dwu zgromadzeń. W Warszawie tylko wolno było, aby współrzędnie dwa odbywały się zebrania.

Wreszcie konstytucya zawierała stanowcze postanowienie co do charakteru i treści obrad, zarówno sejmików, jak i zgromadzeń gminnych. Żadne rozstrząsanie jakiegokolwiek bądź natury, żadne uchwalanie próśb lub przełożeń nie będzie miało miejsca na sejmikach i zgromadzeniach gminnych. Trudnić się tylko powinno wyborem bądź deputowanych, bądź kandydatów, których liczba, jak się rzekło wyżej, poprzedniczo jest oznaczona przez listy okólne zwołujące. Taki jest tekst art. 63 Ustawy.

Przytoczone zasady czynnego prawa wyborczego dalekie są oczywiście od haseł, którym dzisiejsze głosowanie powszechne holduje. Lecz zdaje mi się, że może pod tym względem konstytucya Księstwa na najmniejsze zasługuje zarzuty. Zważyć tu bowiem trzeba, że w zgromadzeniach gminnych brali udział nie tylko właściciele realności, lecz rzemieślnicy, kupey, a wreszcie, co szczególnie podkreślić wypada, osoby, znane z talentów i zdolności osobistych, oraz zasług na polu nauki, sztuk lub handlu. Było to, szczególnie w Polsce, niepospolitym postępem i dawało konstytucyi charakter względnie demokratyczny. Oto w głównych zarysach ustrój władz centralnych oraz parlamentarnych za czasów Księstwa. Jeśli do powyższego obrazu dodamy, że członkami rad departamentowych przy prefektach, rad powiatowych przy pod-prefektach, oraz rad municypalnych przy municypalnościach, byli mianowani przez króla z przedstawionych przez sejmiki i zgromadzenia gminne kandydatów, to będziemy mogli wytworzyć sobie pojęcie o tych ramach, jakie nakreśliła konstytucya nowemu państwu.

Było to państwo scentralizowane, z ograniczoną bardzo władzą parlamentu, a szerokimi atrybucjami monarchy, państwo, którego ściśle konstytucyjnem nazwać niepodobna. Nie przeprowadzono bowiem w niem głównej zasady, bez której prawdziwego państwa prawnorządowego nie masz, a nią jest zupełny rozdział władzy wykonawczej i prawodawczej. Widzieliśmy, że rada stanu z monarchą na czele wydawała pod formą dekretów całe szeregi praw, i widzieliśmy, że

parlament miał bardzo ograniczoną sferę działalności, że najważniejsze attribucye wyjęte były z pod jego kompetencyi. Widzieliśmy wreszcie, jak izba wyższa mogła być igraszką w rękę króla, jak wreszcie ten ostatni zatwierdzać mógł prawa, nie oglądając się na przyzwolenie senatu. A jednak konstytucya powstała w chwili, gdy jeszcze głośnie były wyrazy Rousseau nawołujące do zupełnego rozdziału władz, gdy piękne słowa, dzięki rewolucyi poczęte, rozbrzmiały powszechnie. Mimo jednak takich szat ciasnych i na modłę napoleońską uszytych, mimo więzów, krępujących ten drobny organizm państwowy, jak już na wstępie powiedzieliśmy, i jak kończąc powtórzyć musimy, mężowie owych czasów umieli pracować rzetelnie i poważnie. A była to, jak rzekliśmy, praca nielada. Trzeba było na gruncie narodowym holdować nowym idejom, wprowadzić państwo na tory nowożytnie w zaraniu XIX wieku, sprostać wielkim zadaniom, które nowożytnie państwo nakreśla. To też jeśli, powtarzamy, brak materiału do stanowczego osądzenia czynów działacza Księstwa, w każdym razie wiemy już dziś napewno, że potrafili ówczesni Polacy wlać treść prawdziwą w dwie wielkie dziedziny życia: oświaty publicznej i sprawiedliwości. Tu im konstytucya żadnych tam nie stawiała, a wpływ ich pracy, szczególnie w sferze prawa, do dzisiaj dnia pozostał w znakomitej swej części nietknięty.

HENRYK KOMIC.

Walka w Afryce południowej.

Uwagi i wnioski teoretyczne.

I.

Z przebiegu przeszłych działań wojennych wnioskować o prawdopodobnych zwycięstwach i możliwych ofiarach jest rzeczą nadzwyczaj trudną, bo wskazówki, jakie nam w tym względzie daje historya wojen, na niewiele mogą się obecnie przydać. Dziś należy brać pod ścisłą uwagę cały szereg dokonanych w ostatnich czasach zmian technicznych i ekonomicznych, które muszą wpłynąć na plany działań. Prócz tego, nie można też pomijać i politycznych przyczyn, które wywołały wojnę, a które także mogą w pewnej mierze oddziaływać na działania i plany wojenne stron walczących.

Nim jednak przystąpię do właściwego przedmiotu, zwrócę tu uwagę na następujące okoliczności:

Najprzód: Każda ze stron walczących dążyć będzie do zadania przeciwnikowi, o ile to możliwem się okaże, ciosu w samo serce. Przez słowo: serce, rozumiem tu takie ognisko sił nieprzyjacielskich, lub taką podstawę działań wojennych, że ovladnięcie temi punktami pozbawi przeciwnika możności dalszego prowadzenia wojny.

P o w t ó r e: Prawdziwa skuteczność planu działań polegać musi na tem, aby uczynić przeciwnika nie tylko niezdolnym do dalszego prowadzenia wojny, ale też i do wznowienia jej; rzecz więc jasna, że Boerowie dołożą wszelkich starań, aby uniknąć strat znaczniejszych, nawet w takim razie, gdy będą mogli zadać przeciwnikowi stosunkowo dotkliwsze od własnych klęski. Przypuścić można, że Boerowie uważać będą stratę jednego człowieka za zbyt wielką dla siebie, choćby ta ofiara spowodowała w szeregach angielskich stratę pięciu żołnierzy. Anglia bowiem, utraciwszy 50,000 ludzi, zabitych i rannych, pozostanie zawsze jeszcze wielkiem mocarstwem, jej siły nie zmniejszą się znacznie. Dla Boerów zaś ubytek 30,000 ludzi stał-by się klęską tak dotkliwą, że wprost pozbawił-by wojnę wszelkiego celu; te 30,000 ludzi przedstawia bowiem tyleż rodzin, reszta więc ludności stanowiła-by już taką mniejszość, iż musiała-by z natury rzeczy uleść zupełnie przewadze obcych zwycięzów. Ostrożność więc ze strony Boerów będzie większa, niż ze strony Anglików.

P o t r z e c i e: Długotrwałość wojny Boerowie uważać będą za korzystniejszą dla siebie, niż Anglicy, w przypuszczeniu, że mogą wyniknąć zatargi z innymi państwami, lub też wewnętrzne zawikłania, spowodowane przez Irlandczyków, Indian, Egipcyan i innych. Słowem, takie okoliczności, które zniewolą Anglię do zaniechania dalszej walki.

P o c z w a r t e: Przypuszczam, że obie strony posiadają jednakowe środki na utrzymanie wojsk, na zaspokojenie potrzeb budżetu i na przeżywanie ludności cywilnej, pozbawionej zarobku: przypuszczam, słowem, jednakową ich wytrzymałość ekonomiczną w czasie wojny. Pod tym względem istotnie siły obu stron prawie są równe: Wprawdzie Anglicy mają bez porównania więcej środków, ale natomiast ustroj państwowy Boerów jest prostszy, a gotowość do poświęceń większa, chociażby już z tej ważnej pobudki, że dla Anglii rezultat wojny nie stanowi tak, jak dla Boerów, kwestyi życia i śmierci, a to zarówno śmierci politycznej, jak i materialnej. Prawdopodobnie też Boerowie nie cofną się przed żadnymi ofiarami, dogodny zaś sposób znajdują w wypuszczeniu papierowych pieniędzy, zabezpieczonych na dochodach z kopalni.

Nawiasem tu zauważę, iż brak dokładnych map republiki południowo-amerykańskiej nie pozwala należycie ocenić tych licznych trudności naturalnych, jakie w działaniach wojennych napotykać musi przeciwnik atakujący, a z których właśnie korzystać może obrona. Już sam fakt, że dokładne mapy są jeszcze potrzebniejsze

dla działań zaczepnych, niż dla obrony, stanowi okoliczność względnie pomyślną dla Boerów.

Trudno jest bezwątpienia wyprowadzać jakiegobądź stanowcze wnioski co do przyszłych wypadków wojny, jedynie na zasadzie znajomości kraju i ludzi, poczerpniętej z drukowanych źródeł. Trudność staje się tem większą, że wchodzą tu w grę nowe czynniki, a mianowicie zastosowanie po raz pierwszy w praktyce wielu świeżych wojennych wynalazków. Do jakiego zaś stopnia zmienił się dziś sposób prowadzenia wojny wobec tych nowych warunków, usiłowałem to przedstawić w jednej z moich prac¹⁾, gdzie wskazane są przyczyny techniczne, wskutek których wojna transwaalska trwa więcej, niż cztery miesiące, a jednak rozwiązanie jej nie posunęło się ani na krok.

Jeśli jednak dane, jakie możemy zaczerpnąć z owych map, zbliżają się przynajmniej do prawdziwego stanu rzeczy, to okazuje się przedewszystkiem, że dróg gruntowych, po których-by ogromne obozy angielskie poruszać się mogły, tak jest mało w republikach Transwaalskiej i Orańskiej, iż nie sposób na nie liczyć. Jedyne środki komunikacji są tam trzy koleje, a mianowicie: a) z Mafekinga przez Johannesburg do Pretoryi, b) z Colesburga przez Bloemfontein do Pretoryi i c) z Natalu przez Newcastle do Johannesburga.

Rozpatrzmy naprzód pierwszą z tych kolei:

Na pierwszy już rzut oka uderza szczególny i niezdarzający się w krajach cywilizowanych kierunek dróg gruntowych, które nie tworzą tam komunikacji ubocznej, ale wprost przecinają koleje.

Z 440 mil angielskich kolei od granicy Transwaalu do Pretoryi, drogi główne posiadały trzy oddzielne linie o 83, 25 i 42 milach długości, a więc wogóle 153 mile, innych zaś dróg było w przybliżeniu 20 mil; na pozostałej przestrzeni drogi idą prostopadle do kolei, więc tem samem nie są przydatne do zaczepnych działań, lecz raczej wyglądają, jakby zbudowane były umyślnie w celu napaści na koleje.

W krajach europejskich, bogatych i zaludnionych, kawałki dróg, idące prostopadle do kolei, również mogły-by tworzyć pożyteczne ogniwa, lecz inaczej rzecz się ma w Afryce, mało zaludnionej i tak nieobfitej we wszelkie przedmioty, oprócz bydła, że rekwizycya, nie mówiąc już o jej niebezpieczeństwach podczas wojny partyzanckiej, nie może przynosić tam właściwych rezultatów.

A więc najnowsza zasada prowadzenia wojny środkami miejscowemi, zasada jedynie zresztą możliwa wobec dzisiej-

¹⁾ Pod tytułem: The Transwaal war and its Problems

szych ogromnych armii, nie znajduje zastosowania w rozpatrywanem przez nas zadaniu; wszelkie bowiem zapasy na zaspokojenie potrzeb wojska trzeba będzie dowozić. Ponieważ zaś czynić zadość temu jedynie może tam kolej, to przede wszystkim należy obliczyć jak najstaramiej, czy istnieje dostateczna zdolność przewozowa, czy znajdują się odpowiednie środki oraz ilość ruchomego taboru, aby mógł przewieźć wojska i dostarczyć im zarówno żywności, jak i wszelkich wojennych zapasów. Przytem trzeba uwzględnić różne nieuniknione przeszkody, jakie wynikną bezwątpienia, albo skutkiem zepsucia toru przez nieprzyjaciela, albo też z powodu bądź zetknięcia się i wykolejenia, bądź też zniszczenia narzędzi kolejowych, zapasów i t. p.

Przypuśćmy, że otrzymano zadawalniającą odpowiedź, jakkolwiek mam pod tym względem wątpliwości; w takim razie należy jeszcze obliczyć, ile zabierze czasu naprawa tego, co nieprzyjaciel, cofając się, zniszczył i popsuł, i w jaki sposób wykonywane będą dostawy; a dalej, czy będzie dość miejsca dla ładowania i manewrów na stacyach, i czy okaże się rzeczą możliwą urządzenie w bliskości stacyi dość silnych posterunków wojskowych, celem zabezpieczenia odpowiednich robót przy kolei.

Jako doświadczony specjalista w danym zawodzie, a mianowicie, jako budowniczy wielu tysięcy wiorst kolei żelaznych i prezes ich zarządów w ciągu lat czterdziestu, mniemam, że naprawa toru kolei w Transwaalu wymagałaby przynajmniej miesiąc, lub półtora miesiąca czasu, i to w takim razie, gdyby na tyłach armii wcześniej już zgromadzone były wszystkie konieczne materiały, przyrządy i dostateczna ilość robotników. Ponieważ jednak obecnie niewiele zapewne w tym kierunku uczyniono, wypadnie zatem rachować od półtora do dwóch i pół miesięcy.

Nie łatwo jest sobie wyobrazić, w jaki sposób można-by naprawić jedyną istniejącą linię w kraju, który cierpi na brak materiału, brak rąk roboczych i, co jest nie mniej ważnem, brak wody. W wielu wypadkach dostarczanie wody połączone będzie z ogromnemi trudnościami. A przecież jednocześnie odbywać się musi przewóz wojsk dla obrony robót i zaopatrzenie żołnierzy we wszystkie potrzeby. Czy da się wszystko wykonać niemal w obliczu nieprzyjaciela, tak czynnego, jak Boerowie, który starać się będzie stawiać przeszkody na każdym kroku? Sądzę, że jedyny środek, zapewniający możliwość naprawy takich uszkodzeń, polega na otoczeniu miejsc uszkodzonych strażą wojskową, poczem odpowiednia praca powinna być uskuteczniiona przez robotników, także na sposób wojenny zorganizowanych.

Ale jakże złożonej maszyny administracyjnej wymaga podobne zadanie!

Teraz wyobraźmy sobie, że kolej jest już gotowa. Jakie więc oddać może usługi? Koleje żelazne to środek bardzo nietrwały, bardzo wrażliwy i podatny zepsuciu.

Przy końcu wojny francusko-pruskiej, w celu zabezpieczenia tyłów armii niemieckiej, wyznaczono 145,712 ludzi z 5,945 końmi i 80 działami, chociaż niebezpieczeństwo groziło tylko ze strony „wolnych strzelców“, uzbrojonych w karabiny. trzydzieści razy słabsze, niż mauserowska broń Boerów.

General Klembowski mówi: „Jeden nabój dynamitu wystarczy, aby zepsuć kolej, i tym sposobem na czas dłuższy przerwać ruch prawidłowy na całej linii. Bezpośrednia obrona kolei i wszelkich jej urządzeń — trudne to niezmiernie zadanie. O trwałem zajęciu linii mowy być nie może, ponieważ wymagałoby to stosunkowo zbyt wielkiej liczby wojska; słabsze zaś oddziały nie zabezpieczą kolei i mogą być łatwo zniesione przez nieprzyjaciela. Historia wojen w zupełności potwierdza ten pogląd. Dawniej wszakże takie wypadki niszczenia mostów i kolei przez partyzantów zdarzały się wyjątkowo. w wojnie zaś transwaalskiej staną się one prawidłem ogólnem. Przypatrzmy się, o ile groźniejsze skutki musiało-by tam spowodować zniszczenie komunikacyi, mających służyć za podstawę całego planu działań.

Już od granicy Kaplandu kolej je są tam położone na znacznej wysokości. Stacje znajdują się tam na poziomie 4,000 stóp (granica Norwals-Pont), dalej widzimy Spring-Fontein Innation, blisko granicy (zaledwie 30 mil odległości) na poziomie 4,937 stóp. Droga dalej zniża się znowu do 4,100 stóp i mniej więcej na tymże poziomie utrzymuje się na przestrzeni 261 mil, idąc po wysokim płaskowzgórzu do Kromstadu (4,489 stóp). Dalej przecinaznowu góry i, już to wznosząc się, już to zniżając, dosięga przy stacji Zuurfontein stóp 5,457. Aby dać czytelnikowi pojęcie porównawcze o tych wysokościach, przypomnimy, iż tunel ś-go Gotarda leży prawie na tym samym poziomie.

Wzdłuż całej kolei wznoszą się coraz częściej z obu stron góry aż do Kromstadu. aż wreszcie przedstawiają prawie jednolite pasmo. Niema ani map dokładnych, ani pewnych szczegółów co do wysokości tych gór, ale o ich znaczeniu sądzić można z położenia rzek i strumieni. Grunt tam skalisty. Pytanie więc, o ile możliwe będą działania wojenne w takich warunkach geograficznych, gdy Boerowie dołożą wszystkich sił, aby kolej zniszczyć i nie dopuścić do jej odbudowania, lub do zachowania odbudowanej.

II.

Spróbujmy zbadać bliżej różne prawdopodobne sposoby napadu i obrony.

Boerowie podzielą się na drobne ruchome oddziały, które rozsypią się we wszystkie stony. Oddziałków podobnych utworzyć mogą bardzo wiele, gdyż są dzielnymi piechurami, każdy z dowódców zna wybornie warunki miejscowe i nie będzie musiał utrzymywać ścisłego porozumiewania z innymi partjami, zwłaszcza, gdy będzie chodziło tylko o niszczenie kolei i telegrafów, składów i magazynów, tudzież o tępienie częściowe sił nieprzyjacielskich. Takie ruchome oddziały Boerów nie potrzebują ani intendentów, ani obozów, ani taborów, ani magazynów; Boerowie przyzwyczajeni są spać pod gołym niebem, a żywności dostaną od mieszkańców za asygnacye. Dla zaopatrywania się w środki wojenne i materje wybuchowe urządzone będą składy w miejscowościach, dla Anglików niedostępnych. Przykłady podobnych działań partyzanckich znajdujemy w wojnach napoleońskich w Hiszpanii itp., a doświadczenie uczy, że, pomimo geniuszu naczelnego wodza i wysokich zalet generałów, jak i samych wojsk, Napoleon nie mógł podolać trudnościom zadania. Walka partyzancka w Hiszpanii przygotowała późniejsze klęski Napoleona, a potężni rossyjscy generałowie w 1812 roku: „głód“ i „mróz“, dopełnili dzieła zniszczenia. I w Afryce generał „głód“ zwyciężać będzie Anglików, a generał „mróz“ zostanie zastąpiony przez upały zwrotnikowe, przed którymi jeszcze trudniej jest bronić się, niż przed mrozem, i które wciąż łamać będą właściwą Anglikom energię i wytrwałość.

W jakim sposób zabezpieczyć się można od napaści takich oddziałów?

Linia broniona będzie oczywiście przez straż wojskową. Ale z iluż żołnierzy składać się ma taki posterunek? Uwzględniając zastępstwa konieczne dla wypoczynku, przypuścimy, że wypadnie użyć w tym celu 100 ludzi na jedną milę linii. A więc na obsadzenie kolei od granicy do Pretoryi trzeba będzie przeznaczyć około 44,000 żołnierzy.

A wtedy, otocprawdopodobnie nastąpi: jeżeli straż będzie chodziła po torze dla czuwania nad linią, w takim razie boków skradać się zaczną najlepsi strzelcy i wystrzelają strażników pojedynczo. Daw-

niej taki partyzant byłby natychmiast wysledzony, gdyż miejsce jego ukrycia wskazał-by dym wystrzału, ale teraz rzecz inna. Korrespondenci pism ustawicznie donoszą o niemożliwości zobaczenia wrogów. (Nie wątpię — pisze korrespondent „Daily Mail“ z d. 13 lutego r. b., że w naszym wojsku znajdują się tacy żołnierze, którzy nie oglądali ani razu Boera podczas bitwy; znam oficerów, którzy widzieli zaledwie jednego lub dwóch Boerów w jednej potyczce, a w innej pięciu lub sześciu najwyżej)“. Wyobraźcie sobie, jakie straty zrzędzić mogą w obozie angielskim zręczni strzelcy, zaczejani w miejscowościach nierównych i skalistych, wobec zupełnej niemożliwości poznania, skąd pochodzą strzały, niepozostawiające po sobie obłoków dymu.

Z mojego polecenia czynione były w Szwajcaryi próby strzelania kulami wielkości głów ludzkich, przyczem kule te napełniano dymem. Widoki tych doświadczeń, wykonane kynematograficznie, dają obraz pękania owych kul jedna po drugiej od celnych strzałów biegłego strzelca z odległości 300 metrów. Powodowani samym już instynktem zachowawczym, postawieni na straży plantu kolei niezawodnie zbudują sobie z ziemi lub kamieni zasłony, ale w takim razie nie będą w stanie bronić skutecznie drogi od tak zręcznych, jak Boerowie, strzelców. Boerowie będą zabijali patrole z ukrycia, będą niszczyli kolej dynamitem, lub też sprowadzą wykojenia, umieszczając pomiędzy szynami niewidzialne prawie przeszkody. Mogą oni urządzać miny, przykrywszy je ziemią, w taki sposób, że wybuch nastąpi od samego wstrząśnienia i spowoduje rozbitcie się przechodzącego pociągu.

Jeżeli straż składać się będzie z liczniejszych oddziałów wojska, napad nieprzyjacielski oczywiście stanie się trudniejszym, ale natomiast tem łatwiej będzie działać w wyżej opisany sposób na części linii niestrzeżonej.

Znana i stwierdzona jest ogólnie wielka nerwowość naszego pokolenia. Otóż wystawmy sobie angielskich żołnierzy, zmuszonych do pełnienia takiej służby pod gołym niebem, wśród upałów zwrotnikowych i wobec braku należytego żywienia. Czy długo potrafią zachować siłę nerwów? Dokonywanie ryzykownych czynów stanie się tylko istną zabawką, w porównaniu z ciągłym bohaterstwem i ciągłym poświęceniem, jakie tam będą konieczne. Zapewne, że gdyby nieprzyjaciel wylądował na brzeg Anglii i gdyby stąd wynikła nieodzowna potrzeba takiej właśnie służby, można było-by, jak sądzimy, z pewnością liczyć na niezłomną wytrwałość żołnierzy angielskich; ale czy zdobędą się na tyle zaparcia się i energii w wojnie transwaalskiej, wolno jest o tem wątpić, zwłaszcza, iż żołnierz pozostawać tu będzie bez dozoru. Oficerowie i pod-oficerowie, którzy-by chcieli osobiście czuwać nad należytem spełnianiem służby, narazili-by się na

niechybną zgnębę, gdyż ich-to przedewszystkiem brali-by na cel ukryci w zasadzkach Boerowie.

Przypuśćmy jednak, że wojska zdolają obronić kolej. Nasuwa się też inne znowuż niebezpieczeństwo. Boerowie zajmą pierwsze wzgórza i strzelać będą do pociągów. Nie podobna przecież opancerzać wszystkich pociągów, a zresztą nawet i ten środek, jak wiadomo, nie usuwa możności napadów, nieraz mających zupełne powodzenie.

Aby przeszkodzić ostrzeliwaniu pociągów, należało-by zająć znaczne przestrzenie, równoległe do linii, z obu stron. Ale Boerowie są tak znakomitymi piechurami, że łatwo zdolają przejść pomiędzy temi stanowiskami. Zajęcie bowiem całego obszaru wymagało-by setek tysięcy wojsk, których Anglia wystawić nie może. Należy więc szukać innych sposobów. Anglicy zmuszeni będą wysłać przeciw Boerom również oddziały partyzanckie, szeroko rozrzucone, które z największą ostrożnością muszą badać dokoła góry i wąwozy, aby nie natknąć się na ukrytego wroga. Ponieważ jednak wystarczy kilka minut dla zepsucia toru kolejowego, przywrócenie zaś komunikacji będzie wymagało niekiedy dwóch lub trzech miesięcy, w ostatecznym przeto rezultacie widziny, że kolej nie może oddać stanowczych usług w tego rodzaju wojnie.

Uczyńmy teraz w kilku słowach bilans takiej partyzantki, aby przekonać się, po której stronie spodziewana jest przewaga i czyje działania okazać się mogą skuteczniejszymi?

Przedewszystkiem rachuby na trochę liczniejszą artylerję upadają, niknie więc rzeczywista przewaga Anglików. Działa wogóle nie bardzo są przydatne w wojnie partyzanckiej, chociaż w każdym razie atakujący mieć będzie przewagę, o ile wcześniej zdoła ukryć i ustawić działa, oraz przygotować amunicję. Z drugiej strony jednak w obecnej wojnie partyzanckiej wiele względów zapewnia korzyści Boerom, mianowicie: ich ruchliwość, wytrzymałość, prosty sposób życia, znajomość kraju, bliższe stosunki z ludnością, umiejętność ukrywania się, nawet brak tego, co się nazywa dumą wojskową i nie pozwala uchylić się od walki, ich szczerzy patryotyzm, wreszcie możność powracania od czasu do czasu do domu, aby nabrać sił i zaczerpnąć zapasów itp. Natomiast Anglicy, pozbawieni poparcia, jakie daje artylerja, nawykli do tego, aby nimi kierowano, potrzebujący dobrego pożywienia, odzieży i mieszkania, przyzwyczajeni liczyć na siłę nacisku i bagnetu, znajdują się w całkiem odmiennych warunkach, a skutkiem tego podlegać będą uczuciu niepewności i przygnębienia. W wojnie partyzanckiej Boerowie nie przestaną ataczać wroga, stawać mu wszędzie na drodze, drażnić go i nękać ciągłemi potyczkami, znaczyć krwawemi śladami każdy krok przeciwnika. Nadto, stały ubytek lu-

dzi i doznawane trudności w zaopatrywaniu wojska we wszystkie potrzeby—ten naturalny skutek wojny partyzanckiej, zacznie być przypisywany nieudolności kierowników, lub nawet samolubstwu ich i złej woli. Nie należy zapominać, że w rzeczywistości kierownictwo ruchami partyzanckimi wymaga od oficerów wyższej wiedzy. A tymczasem wskutek strat w komplecie przygotowanych oficerów, większość pochodzić będzie z grona ochotników i milicyi. Napoleon powiedział zupełnie słusznie: „Na wojnie nie wystarcza sama sztuka wojenna; powinna ona łączyć się z umiejętnością znoszenia trudów i niedostatków.“ W danym razie Anglicy bodaj nie posiadają obu tych warunków w należytej mierze.

A z dniem każdym położenie armii angielskiej będzie się pogarszało. Do szeregów wchodzić będzie coraz to większa liczba rezerwistów, którzy okażą się niezdolnymi do dłuższych przemarszów, koniecznych dla obrony od Boerów i dla działań zaczepnych. Klauzewitz twierdzi, że zgubny wpływ marszów należy stawiać na równi z bitwami, jako czynnik podkopujący siły armii. Pomimo wszelkich możliwych ostrożności, skutkiem marszów ludzie giną tysiącami. Napoleon w 1812 roku, w ciągu 52-dniowego pochodu przez równiny rosyjskie, jeszcze w porze letniej, przebywszy 490 wiorst, stracił około 100,000 ludzi. Oto dlaczego pisarze wojenni przepowiadają, że straty, poniesione w bitwach, będą mniej znaczne, niż ubytek ludzi, spowodowany przez choroby i niezdolność do dalszych pochodów, ubytek, który wytwarza zarazem dla armii atakującej nowy balast w postaci przepelnionych szpitali¹⁾. Wojska angielskie zmuszone będą iść podczas upałów afrykańskich z ciężkim tornistrem na plecach i karabinem, bez wody, często po strasznym kurzu, i z tem uczuciem, że odłączyć się, pozostać w tyle, znaczy to samo, co zgotować sobie pewną śmierć. Ani Boerowie w wojnie partyzanckiej nie będą w możności brania Anglików do niewoli, ani Anglicy Boerów, przyszło-by bowiem wyznaczać osobne oddziały do konwojowania jeńców, taki zaś oddział napotkać-by mógł inne partyzanckie oddziały. I oto powtórzą się okropności, które towarzyszyły tego rodzaju walkom w Hiszpanii, na Kaukazie, w Czarnogórze i Bośni. Wojna nabiera z konieczności charakteru okrutnego, a pamiętajmy, że obojętne na ludzkie męczarnie słońce afrykańskie razić będzie bez przerwy palącemi promieniami znużonych żołnierzy, wywołując sporadyczne choroby i epidemie. Skreślony przez nas obraz wydać się może komuś przesadnym, zbyt ponurym. Istnieją jednak w tym względzie naucza-

1) Von der Goltz „Das Volk im Waffen“.

jące przykłady. Czem jest wojna partyzancka, prowadzona nawet w pomyślnych, nie anormalnych, afrykańskich warunkach, powiedzieć nam może długa, ciągnąca się przez lata, walka Hiszpanów z Francuzami, Turków z garścią Czarnogórców, Kaukaskich górali z potężną Rosyją i nakoniec Bośniaków z Austryją.

Zatrzymajmy się chwilę na tej ostatniej wojnie, ponieważ jest ona najbliższą naszych czasów. W 1878 roku, dla podbicia Bośni, stanowiącej, jako rozmiary, cząsteczkę ledwie południowo-afrykańskich republik, przeciw Bośniakom, liczącym, jak mówi sztab generalny austriacki, 90,000, lecz w rzeczywistości zaledwie 60,000 uzbrojonych w stare tureckie, z początku wieku pochodzące karabiny, ubogich chłopów, nie mających zresztą równie ważnych, jak Boerowie, równie rozpaczliwych powodów do walki, — przeciw tym Bośniakom Austriacy wystawić musieli 6,280 oficerów, 262,350 żołnierzy z 110,000 koni i 292 działami. W ten sposób przeciwko jednemu Bośniakowi trzeba było wysłać 4 $\frac{1}{2}$ żołnierza.

III.

Wojnę partyzancką prowadzić można w dwojaki sposób: bez żadnego systemu, jak ją prowadzili Hiszpanie, Czarnogórcy, górale na Kaukazie, Bośniacy w Austrii, lub też z pewną metodą, jak to starali się czynić Rossyjanie z Francuzami, w r. 1812; albo wreszcie całkowicie w sposób umiętny, z zastosowaniem wszelkich nowych wynalazków, jakimi można-by się posługiwać w wojnie partyzanckiej, a więc: zastosowanie prochu bezdymnego, dalekonośnej, nowej broni, lekkich, szybkostrzelnych baterji, i w końcu sztuki wznoszenia okopów.

Że Boerowie skorzystają ze wszystkich tych środków, nie może to ulegać najmniejszej wątpliwości. Zbyt wiele mamy już dowodów, jak dalece są zręczni i pojętni, niepodobna więc przypuścić, aby, stojąc przez cztery miesiące pod Ladysmithem, Kimberleyem, nad Tugelą, nie przygotowali sobie planu działań w razie wkroczenia armji nieprzyjacielskiej w granice południowo-afrykańskich republik. Trudno też przypuścić, aby jednocześnie ludność stała w kraju nie zajęła się wzmocnieniem naturalnych przeszkód, wszędzie, gdzie się znajdują, i gdzie mogą być pożytecznie wyzyskane — a więc: przy rzekach, górach, przejściach, mogących zatrzymać wojska przeciwnika.

Ale pytanie: jakiego trzymano się przytem systemu? czy zabezpieczono się na całej przestrzeni, czy też obrona skoncentrowana będzie na pewnych liniach, a w takim razie, gdzie te linie się znajdują? Naturalnie stanowi to tajemnicę, nie mniej jednak możliwe są tu prawdopodobne domysły. Z wielkiem podobieństwem do prawdy mniemać można, że przeszkadzanie zaopatrywaniu się w środki żywności postawione będzie na pierwszym planie. Stać na miejscu i nie bić się, można, jak wiemy, całemi miesiącami, ale jeść trzeba co dzień. W poprzednich wojnach daleko więcej wojsk zginęło skutkiem głodu, niżeli od oręża. Przytem wobec mniejszej liczby Boerów rozrzucanie obrony na większe przestrzenie jest niewygodne, to też sądzimy, że koncentracya oporu nastąpi prawdopodobnie na pewnych liniach.

Nie znaczy to, oczywiście, aby przestrzenie, leżące pomiędzy danymi liniami, pozostawione były bez obrony. Przeciwnie, Boerowie śledzić będą nieprzyjaciela do każdego punktu, w którym przerwać można komunikacye angielskie, lub też osiągnąć taką przewagę sił, która-by pozwoliła na zgniecenie oddziałów, pozostawionych dla obrony tyłów wojsk. Główne siły Boerów będą jednakże zwrócone na linie wewnętrzne.

Pozostaje zatem wciąż pytanie: gdzie leżeć będą te linie? Wykazaliśmy już, że dla wojsk angielskich osiami, około których obracać się będą wszelkie działania, mogą być jedynie koleje. Armie angielskie mogą naturalnie zająć Bloemfontein, posuwając się po drogach gruntowych najkrótszych przez Jacobsdal; ale, uczyniwszy Bloemfontein podstawą operacyi, Anglicy muszą dążyć do zawładnięcia koleją.

Z trzech linii, które wziąć można w rachubę, dwie, a mianowicie: 1) z Mafekingu przez .Johanesburg do Pretoryi i 2) z Natalu przez Newcastle do .Johanesburga, w znaczeniu geograficznem i strategicznem tak są niepomyślnie położone, gdy idzie o zajęcie Pretoryi, że jest mało prawdopodobnem, aby operacye skierowane były na nie. Z tego powodu ograniczymy się do rozpatrzenia działań w kierunku jednej tylko linii, a mianowicie tej, która prowadzi od Kaplandu przez Bloemfontein do Pretoryi. Trzymać się będziemy stale tego porządku. Gdyby główne działania, mimo to, prowadzone były w kierunku innej drogi, nie zmieniło-by to w niczem stanu rzeczy. Tylko podane tu nazwy rzek, gór wąwozów pewnej miejscowości, która zdaje się być najwłaściwszą dla stworzenia tam ogniska działań, czytelnik zastąpi innemi nazwami i rzecz skończona. Warunki walki pozostaną bowiem niezmiennie.

Widzieliśmy, że na drodze z Kapsztadtu do Pretorii, niedaleko samej granicy, w odległości 30 mil angielskich, przy stacji Spring-Fontein Innetion znajdują się miejscowości, dogodnie dla stworzenia linii obronnej; a chociaż droga, prowadząca z Jacobsdal do Bloemfontein, idzie po wysokim płaskowzgórzu, i na niej jednak znajdują się punkta przydatne do obrony.

Rozważmy względy, przemawiające za i przeciw energicznej obronie linii, znajdujących się w pobliżu granicy.

Za obroną linii w sąsiedztwie granicy przemawia jedna tylko okoliczność: obrona własnego terytorium, a tem samem możliwość zapobieżenia zajęciu dużej części republiki Orańskiej. Wtedy jednak były-by stracone ważne dogodności. Dla zabezpieczenia swych tyłów Anglicy zmuszeni będą przeznaczać poważną ilość wojska, skutkiem czego wielka przewaga sił angielskich nad boerskimi znacznie się zmniejszy. Im dalej posunęły-by się wojska angielskie od swej podstawy, tem trudniej było-by dostarczać środków na ich potrzeby, bo im biedniejszy jest kraj, tem straty wojska atakującego muszą być większe.

Wojska francuskie, przeprawiwszy się 12 (24) czerwca 1812 r. przez Niemen w liczbie 300,000 ludzi, 3 (15) sierpnia doszedłszy do Smoleńska, sięgały tylko liczby 182,000 ludzi, a więc w dni 52, na odległości 500 wiorst, straciły prawie $\frac{1}{3}$ sił swoich. Po przybyciu do Moskwy armia francuska, uczyniwszy w 82 dni 900 wiorst, straciła $\frac{2}{3}$ całej liczby wojska. I to stało się wtedy mianowicie, gdy ten geniusz sztuki wojennej przygotował się do wojny zaczepnej z troskliwością nigdy przedtem niebywałą. Cóż więc zdarzyć się może teraz, gdy stosunkowo liczne wojsko angielskie zagłębi się w kraje Afryki południowej? Nie przeczę, że głównodowodzący, lord Roberts, i naczelnik jego sztabu, który dał tak świetne dowody umiejętności organizacyjnej, lord Kitchener, mogą stanąć na wysokości zadania, i to prawda, że najście, dokonane w warunkach zupełnej gotowości, nie napróżno otrzymało nazwę „kamienia filozoficznego“¹⁾.

Na wojnie zresztą nie można liczyć na nic bezwarunkowo, więc też i Boerowie powinni przewidywać, że obrona okaże się bezskuteczną, że w takim razie wzmoże się duch armii angielskiej i nastrój wojenny

¹⁾ Militar Wochenblatt „Die Lehren der Kriegsgeschichte für die Kriegsführung.

społeczeństwa angielskiego. Tymczasem w najprzyjaźniejszych nawet okolicznościach Boerowie nie zdołają osiągnąć tak pomyślnych rezultatów, aby mogli podyktować Anglii warunki pokoju. Z tego powodu prędkie dojście do porozumienia jest dla nich jeszcze ważniejszym, niż dla Anglików. Zajęcie części republiki Orańskiej, choćby ta część była dość znaczna, ani w ekonomicznym, ani w politycznym względzie nie ma wielkiego znaczenia.

Ludność wysłała już na pole walki wszystkich mężczyzn, zdolnych do noszenia broni. Główne bogactwo kraju — inwentarz żywy — może być uprowadzony, fermy wiejskie i miasto Bloemfontein szczególnie wody nie posiadają. Gdy więc Boerowie dobrowolnie cofną się w głąb kraju, powtórzą się niebawem obrazy wojny z r. 1812, im zaś dalej wkroczą wojska angielskie, tem trudniejszym będzie dla nich powrót w razie zawikłań politycznych w innych miejscowościach. Ograniczyć się zaś zajęciem Bloemfonteinu i zaniechać dalszych stanowczych działań zaczepnych, nie miało-by żadnego dla Anglików celu. Wojna ciągnęła-by się w nieskończoność i wzrosło-by znacznie niebezpieczeństwo wewnętrznych zawikłań.

Zważywszy to wszystko przychodzimy do wniosku, że prawdziwe linie obronne leżeć będą poza Bloemfontein, w Transwalu, w miejscowościach wskazanych powyżej, jako odpowiednich dla celów obrony.

IV.

Po tem wszystkim, co powiedziano w rozdziałach powyższych, każdy wykształcony praktyk, czy jest finansistą, czy przedsiębiorcą, czy też jaką inną osobą zainteresowaną w sprawie przyszłych działań wojennych, może już utworzyć sobie pewne pojęcie o prawdopodobnej taktyce Boerów w celu odparcia armii angielskiej, zmierzającej do zajęcia Pretoryi.

Aby jednak zadanie to ułatwić, postaram się uczynić w krótkości kilka wywodów.

Boerowie zajmą jak najmniej dostępne miejscowości południowe, nagromadziwszy wcześniej zapasy żywności, i starannie okopią się

na takiej linii obronnej, której obejście będzie prawie niemożliwe i dostępne jedynie przez ścieżki górskie, łatwe do obrony przy pomocy małych oddziałów; łatwiej zaś dostępne drogi ufortyfikują dla większego bezpieczeństwa.

Aby uczynić próbę obejścia lub wtargnięcia poza te linie, wojska angielskie będą zmuszone rozdzielić się na części; a wtedy wszystkie usiłowania Boerów będą miały na celu rozbijać te oddziały wpierw, nim zdołają one uszykować się należycie dla połączonego działania. Jednocześnie Boerowie dołożą starań, aby na tyłach wojsk angielskich zniszczyć komunikację. Do wyliczonych przez nas sposobów osiągnięcia tego celu dodamy jeszcze jeden. Boerowie założą niewątpliwie miny w miejscach, gdzie zepsucie dróg, czy to gruntowych, czy też zwłaszcza kolei żelaznych, będzie miało największe znaczenie, a więc przy tunelach, wiaduktach, mostach, nasypach ziemnych, wodociągach.

Wojska angielskie, oczywiście, przy zajęciu drogi uczynią staranną rewizję, ale zreżcznie utajonych min odkryć niepodobna. Kamienie, ziemia i t. p. zatrą wszelkie ich ślady. Natomiast Boerowie, wiedząc dobrze, gdzie się te miny znajdują, skrycie, lub też jako silny oddział, zbliżą się do nich i zanim posterunki stażnicze zdołają zebrać się, choćby nawet znajdowały się blisko siebie, Boerowie będą mieli dość czasu, aby odepchnąć straż i spowodować wybuch; a więc przerwać główną komunikację na tygodnie, jeżeli nie na miesiące. Zresztą Boerowie mogą posługiwać się sposobem jeszcze mniej ryzykownym. Obecnie znany jest szereg lądowych torped (torpilles de terre), które opisałem w swojej pracy¹⁾. Nie trudno przeprowadzić od takiej torpedy drut i ukryć go w korycie rzeki, w rowie, w trawie, w ziemi, w budynku, w studni, lub w tym podobnych miejscach, do których przystęp jest łatwy, a w ten czas już wystarczy pociśnięcie guzika lub sprężynki, aby wywołać wybuch. Dokona tego nie tylko każdy Boer, wysłany w tym celu, ale pierwsza lepsza nauczona baba.

Gdy komunikacja będzie przerwana, natenczas dowóz żywności ustać może i wojska angielskie znaleźć się mogą w niezmiernie krytycznym położeniu. Okolica zostanie spustoszoną, albo umyślnie przez cofającego się nieprzyjaciela, jak to działo się w roku 1812 w Rosyji, albo skutkiem przemarszów i pobytu wojska. Zdarzyć się może rów-

¹⁾ Przyszła wojna.

niez, że wojska angielskie urządzają nieprzystępne ufortyfikowane pozycje, których opuszczenie groziło-by wielkiem niebezpieczeństwem, lub też wprost niepodobna było-by cofnąć się z powodu braku żywności. Wojska więc musiały-by poddać się nieprzyjacielowi. Liczba jeńców, jaką Boerowie mogli-by wyżywić w czasie, gdy Anglicy zbliżą się do Pretoryi, będzie w każdym razie bardzo nieznaczna. I czyż nie może wreszcie nastąpić ta straszna chwila, że ludzie będą musieli ginąć z głodu. Naturalnie, ludzkość potępiała-by Boerów, gdyby odmówili pomocy swoim jeńcom. Lecz z drugiej strony własne ich położenie było-by w danym razie bardzo trudne. Anglia wysyła na pole walki wojska za wojskami, stara się o wytworzenie licznych rezerw, Boerowie zatem nie mogą spodziewać się, że przeciwnik zaniecha dalszej walki. I kto wie, czy nie przyjdzie im wtedy do głowy taka myśl: dopóki obchodzimy się dobrze z naszymi jeńcami, dopóty Anglia znajdzie zawsze dostateczną ilość żołnierzy za pieniądze, lub powodowanych patriotyzmem, tudzież różnych awanturników, aby nas zdusić; lecz jeżeli przed oczami wroga staną okropne obrazy głodowej śmierci, czy nie zmniejszy to liczby ochotników do tego stopnia, że przedłużenie wojny stanie się wreszcie dla Angli niemożliwe? W każdym razie żołnierze najemni—*cette chair à canon*,— to zbieranina, składająca się przeważnie z próżniaków, którzy dotychczas służą Anglikom za tanie pieniądze, ale którzy wobec grożącej im śmierci z nędzy i głodu, albo nie zechcą wcale pomnażać nadal szeregów angielskich, albo też każą drogo opłacać swoje usługi. W ten sposób koszta wojny zwiększą się niepomieranie; z drugiej zaś strony głos ludzi szlachetnych, protestujących przeciw okropnościom takiej walki, może w końcu wytworzyć silny prąd w angielskiej opinii publicznej i odnieść tryumf nad stromictwem wojennem. Tak pomyśleć i na takim rozumowaniu mogą opierać Boerowie nadzieje, tem bardziej, że są to ludzie prości, którzy wśród dzikiej natury i w krwawych zapasach z murzynami nie nabyli tej wrażliwości uczuć, jakiej szukać-by raczej należało u Anglików.

Przejdźmy teraz do innego możliwego rezultatu wojny i przypuśćmy, że Anglicy pokonają opór przeciwnika i dojdą do Pretoryi. Nie sądzę, aby nawet w takim wypadku wojska Boerów mogły zostać stanowczo unicestwione. Przeczą temu wszelkie doświadczenia wojen poprzednich, jak hiszpańsko-francuskiej, rosyjsko-francuskiej, kaukasko-rosyjskiej, czarnogórsko-tureckiej, bośniacko-austriackiej chociaż w tych czasach nie istniały dalekonośne karabiny i wojska zbliżały się do siebie na odległości mniejsze, a tem samem odwrót stawał się trudniejszy.

Ze atakujący poniesie większe straty niż broniący się, to nie wymaga dowodów po doświadczeniach wojny transwaalskiej. Za normę przyjąć można, iż na jednego zabitego Boera ginąć będzie 3—4 Anglików. Nie ulega wątpliwości, że Boerowie w tyłach swojej linii obronnej zabezpieczą sobie odwrót, za pomocą okopów, czego w dawnych wojnach nie robiono.

Stan rzeczy więc będzie następujący:

Pretorya nie jest punktem doraźnie ufortyfikowanym, lecz współczesną fortecą w pełnym znaczeniu tego słowa, i jeżeli można ufać rysunkom, nadesłanym przez dziennikarzy angielskich, już samo obleganie jej wymagać będzie znacznych sił. Nadto, wskutek strat, poniesionych w walkach, i rozległego obszaru swoich działań, Anglicy będą musieli przeznaczyć także dużo wojska dla zabezpieczenia tyłów. Koniecznem się okaże wysłanie nowych posiłków, dla których żywność można będzie sprowadzić pod Pretoryę jedynie kolejami. Tymczasem Boerowie z pewnością nie omieszkają uderzyć całą masą na tyły wojsk angielskich.

Może ktoś nam zarzucić, że uwagi nasze czerpiemy z wyobraźni. A jednak, nie mówiąc już o partyzanckich wojnach przeszłości, które trwały latami, pomimo, że siły atakującego były dwa razy większe od sił obrony—ostatnia walka Austryaków z Bośniakami dowiodła, że trzeba było użyć aż czterech żołnierzy austriackich przeciw jednemu bosemu, głodnemu i źle uzbrojonemu Bośniakowi.

Ten jeden fakt, jak sądzimy, wystarczy, aby ocenić, jak dalece położenie jest poważne i jak może stać się groźnem, jeśli sposoby zaradzenia złemu nie będą gruntowniej, niż dotychczas, badane i o wiele trafniej stosowane.

V.

Ze szczegółów, przytoczonych powyżej, widzimy, że walka z oddziałami partyzanckimi nastroczała zawsze niezwykle trudności. Obecnie, przy prochu bezdymnym, silnych materyach wybuchowych, dalekonośności i celności broni, walka podobna, w krainie górzystej i nieżywej, prowadzona przez ludzi nieprzyzwyczajonych do tego klimatu—przedstawia się jako prawdziwa kwadratura koła.

I w rzeczy samej tylko znaczna przewaga sił może zapewnić zwycięstwo. Ale znowuż dla wielkiej liczby żołnierzy trudno będzie sprowdzać żywność w dostatecznej ilości, następnie wypadnie przedsięwziąć energiczne środki, aby niedopuszczyć do szerzenia się chorób wśród tłumnie nagromadzonego wojska; wreszcie, gdyby z obu tych względów uznano za konieczne podzielić tę masę ludzi na drobne partye—to zachodzi ważne pytanie, jak zabezpieczyć takie nieliczne oddziały od napaści?

Wszelka wojna ma cele polityczne; bagnety są tylko środkami; za najlepsze zastosowanie bagnetów uchodził dotychczas atak. Obecnie jednak stan rzeczy zmienił się zupełnie. W broszurze mojej „The Transwaal War and its problem“ starałem się wykazać, opierając się wyłącznie na powagach wojennych, że Anglia może tylko przez zmianę dotychczasowego sposobu działania, a mianowicie przez odstąpienie od myśli zawładnięcia Transwaalem, zabezpieczyć się od strasznego ryzyka, a nawet może i od klęsk, dochodzących do rozmiarów katastrofy. Anglicy powinni ufortyfikować się w pewnych punktach Kaplandu — pamiętać na to, że ten, kto broni wszystkiego, niczego właściwie nie zabezpiecza. Boerowie, oczywiście, przy słabej swej organizacji i nielicznej artylerji, nie będą zaczepiali wtedy wojsk angielskich. Zresztą działania zaczepne, prowadzone w widokach wyłącznie wojennych, a nie politycznych, nie miały-by celu i przytem nie znalazły-by poparcia ani sympatyj u ludności kraju. A ponieważ Anglicy posiadają bez porównania więcej środków na utrzymanie armii, niż Boerowie, ci ostatni mieli-by większy interes w dążeniu do zawarcia pokoju. Zwycięstwo ostateczne Anglików nad Boerami i zawładnięcie Transwaalem całkowicie są możliwe. Ale wobec nowych warunków prowadzenia wojny, Anglia musi być narażona na olbrzymie ofiary w ludziach i pieniądzech i mieć nadto poważną rękojmę, że w ciągu długich walk, jakie ją czekają, nie znajdą wcale doniosłe okoliczności, które-by ją zniewoliły do zwrócenia wszystkich swoich sił w inną stronę, dla podwołania daleko ważniejszym zadaniom państwowym. Licząc na zupełną swobodę działania przez szereg lat w Afryce południowej, Anglia mogła-by zastosować ten sam system względem Boerów, jakiego użyła z powodzeniem Rossya w roku 1843 dla podboju Kaukazu. Od 1824 do 1843 roku Rossya w ciągłych zapasach z partyzantami kaukaskimi, źle uzbrojonymi, lecz równie, jak Boerowie, doskonałymi jeźdźcami—walczyła bez wszelkiego systemu. Czyniono wyprawy, palono nieposłuszne wsie, karano surowo górali pojmanych z bronią w ręku, obsypywano nagrodami uległych, utrzymywano z ludnością najlepsze stosunki, aby mieć zawsze

dokładne wiadomości o miejscu pobytu, o zamiarach i ruchach partyzanckich, a mimo to, opanowanie Kaukazu nie posuwało się ani na krok. Wojska rossyjskie na Kaukazie przyzwyczały się do nieustannych walk, zyskiwały znajomość kraju, nabyły doświadczenia, lecz stan rzeczy nie zmienił się ani trochę w ciągu lat dwudziestu. Postanowiono wtedy prowadzić wojnę regularną, systematyczną. Cały Kaukaz traktowano jako jedną olbrzymią, naturalną twierdzę, w której trzeba było zdobywać redutę po reducie, a usadowiwszy się mocno w punktach zdobytych, iść dalej naprzód. W 1843 roku uchwalono następujący plan działań: Za główną zasadę przyjęto — ograniczenie się do obrony, ale jednocześnie postanowiono budować drogi, wycinać w lasach i zaroślach przejścia, tworzyć linie obronne i wznosić niewielkie, ale liczne, forteczki i obozy warowne. Dopiero po należytem zabezpieczeniu każdej miejscowości zdobytej uznano za właściwe posuwać się naprzód, aby na nowo tworzyć także same podstawy dla działań dalszych. Wioski, znajdujące się pomiędzy liniami lub położone w górach, w miejscach niedostępnych, niszczone, a mieszkańców przesiedlano na otwarte równiny. Rzecz prosta, że ostatecznie w wojnie, prowadzonej przez mocarstwo o 80-milionowej ludności, przeciw garści góralów, zwycięstwo osiągnęła Rossya — ale za cenę ogromnych ofiar w ludziach i pieniądzach i po dwudziestu latach nieustającej walki.

Zwycięstwo nad Bośniakami Austriacy osiągnęli prościej i prędzej. Traktat berliński poruczył Austrii zajęcie Bośni i Hercegowiny. Miejscowi bejowie jednak wystąpili stanowczo i energicznie przeciw okupacyi i utworzyli tak zwaną „ligę bośniacką“, na której czele stał Hadzi-hoja. Aby opór zwyciężyć, jak już nadmieniliśmy, Austriya musiała wystawić 6,280 oficerów, 262,350 żołnierzy z 110,000 koni i 292 działami. Przytem powodzeniu bagnatów austriackich sprzyjały wewnętrzne rozterki religijne, nienawiść wśród ludności. Dość powiedzieć, że Bośnia liczyła wtedy 492,000 mahometan, 571,000 greckich-katolików, 275,000 rzymskich-katolików i 6,000 żydów. Ale Anglicy nie mogą rachować na polityczne lub religijne nieporozumienia wśród Boorów, ożywionych wysokiem uczuciem patryotyzmu. Pozostaje zatem Anglii pierwszy wyłącznie sposób postępowania, tj. zastosowanie działań systematycznych, wypróbowanych na Kaukazie.

Transwaal i Kaukaz zarówno są krajami górzystemi, mało produkującemi, główna zaś między nimi różnica polega na tem, iż podzwrotnikowy klimat Transwaalu daleko niebezpieczniejszy jest dla Europejczyków, zwłaszcza przy braku wody.

Powtarzam raz jeszcze: bogata, wielomilionowa, morzami władająca Anglia niezawodnie może pokonać Boerów, jeśli skąd inąd nie napotka potężnych przeszkód; lecz w najpomyślniejszym nawet dla siebie wypadku musi okupić drogo i opłacać długo swoje tryumfy, jeśli opowanie małej krainy afrykańskiej ma być stanowcze i przynajmniej na czas jakiś zapewnione.

JAN BLOCH.

RICK I ROCK.¹⁾

POWIEŚĆ.

XX.

Te olbrzymie galerye żelazne pola Marsowego podobne były do łąk zielonych: koniki polne śpiewały w nich tylko podczas lata.

W zimowych miesiącach miejsce to było puste, ponure, unikane przez ludzi, niemal żałobne. Jeden wicher czasami zaglądał tu, odrywał stare afisze, a jak mu pod humor przyszło, to zastępował artystów letnich: grał, śpiewał, gwizdał, wypowiadał monologi, tańczył kankana. Wieża Eiffla patrzyła na to, i gniewała się, i trzęsła z oburzeniem czubkiem na prawo i na lewo.

W środku jesieni otwarto Hippodrom i tu Rick i Rock znaleźli nieco przystojniejsze miejsce dla swoich produkeji.

1) Patrz zeszyt lutowy.

W Hippodromie przyglądała im się publiczność bardziej doborowa.

Rick na tem wyszedł bardzo dobrze. Oklasków mu nie szczędzono. *Monsieur le directeur* ścisnął mu rękę z przyjaźnią. Pani dyrektorowa, żółta jak cytryna i stara baba, pamiętająca jednak, zbyt żywo nawet, piękne czasy swej młodości, robiła do Ricka „oko“ nie szczerze zresztą i interesownie, — ot, aby do zakładu go przywiązać.

Ale biedny Rock nic nie wygrał na tej zmianie. Jakkolwiek wprawił się w swoją rolę i odgrywał ją głośno i gładko, publiczność patrzyła na niego z jednostajną zawsze obojętnością.

Dyrektor traktował go nader zimno i nigdy nie zaczepiał.

A pani dyrektorowa, nie sobie nie robiąc z jego ukłonów, uśmiechów pełnych uprzejmości i dwuznaczników, bardzo rychło ustaliła swą o nim opinię.

— *De la Rivière?*! — rzekła do męża — *mais c'est un cochon.*

XXI.

W połowie stycznia zawitał do Paryża gruby przedsiębiorca z Budapesztu, którego przyjazd uczynił w kołach specjalnych nieco szmeru. Był to Niemiec, nazwiskiem Schultze, opasły, różowy, niebieskooki, jasnowłosy, ubrany w czamarę z sutemi szamerowaniami, z wąsami wysmarowanemi węgierską pomadą i wykręconemi do góry, jak dwa szewckie szydła.

Wybudował on Peszcie wspaniałą, kąpiący od złota *etablissement*, który nazwał „Wielką Hunigaryą“ i odrzuciwszy usługi artystycznych agencji, zwykle nieokazujących zbytich skrupułów, sam wyjechał w świat angażować trupe.

Pisma węgierskie o tej podróży pisały dość szeroko. Niektóre poczytne dzienniki paryskie, jak „*Le Figaro*“, „*Gil Blas*“, „*L'Echo de Paris*“ zamieściły o niej parowierszowe wzmianki. Pisma węgierskie o tych wzmiankach znowu obszerniej się rozwodziły.

Schultze zresztą był człowiekiem, stworzonym do prowadzenia wielkiego artystycznego *etablissementu*. Jako dyrektor „Wielkiej

Hungaryi“ był prawdziwie the right man on the right place.

Głowę miał na karku wcale nie od parady. Przytem oko pewne i kieszeń dobrze wypchaną.

Jego plany na przyszłość do niego samego należały. Jak na początek przecież postanowił dać ukochanej swej publiczności węgierskiej program, złożony z numerów nadzwyczajnych, coś takiego mianowicie, czego dotychczas węgierskie oko nie widziało, ani węgierskie ucho nie słyszało.

W wędrówce swej po zakładach paryskich nie pominął i Hipodromu.

A ledwie Rick wyprężył piękne swe ciało na trapezie, powiedział sobie:

— To jest mój człowiek.

Przyszła jednak kolej na Rocka, a to tak popsulo Schultzemu pierwsze doskonałe wrażenie, że splunął i pod swym węgierskim wąsem mruknął w najpiękniejszym berlińskim dyalekcie.

— Sch we i n e r e i...

I jak tylko numer się skończył, zbliżył się do Ricka i chciał go zaangażować. Warunek jednak: sam Schultze dostarczy mu Rocka.

Ale w życiu podobnie, jak na cyrkowej arenie, Rock stał przy Ricku blisko i nieodłącznie.

Propozycya węgierskiego przedsiębiorcy zapaliła w de la Rivière ogromny pożar gniewu.

Odciągnął Barana na stronę i drżącemi od tłumionej wściekłości ustami szepnął mu:

— Barane! To jest jakaś beczelna figura!

I wybuchnął:

— Słuchaj, ty jemu poprostu pluń w pysk!

Baran za dobrą radą nie poszedł, ale powiedział Schultzemu, że obadwaj stanowią spółkę nierozdzielną, i że jeden bez drugiego angażować się nie może.

Schultze flegmatycznie kiwnął głową.

— Warunki? — zapytał.

Powiedziano mu warunki.

— Przyjmuję — odrzekł — Daję nawet więcej. Będę płacił za dwóch a używał jednego. De la Rivière będzie miał wszystkie wieczory wolne i będzie mógł sobie zarabiać w tymże Peszcie, występując w innych zakładach.

Obiecał go nawet z ręcznie zaprotegować do „Coloseum“, które prowadził najgroźniejszy Schultzego konkurent.

Jeżeli jednak de la Rivière nie posiadał żadnych artystycznych warunków, miał za to wszystkie, przywiązane do swego zawodu, ambicje. Bujna to bowiem była natura i szeroka.

Odrzucił więc bez chwili wahania zaproponowane mu warunki, które go poniżały.

— Barane! mój drogi Barane! Ty jesteś poczciwy z duszą i ciałem, ale młody, niedoświadczony. Ciebie łatwo pierwszy lepszy szubrawiec podejdzie, omani, otumani, oszuka. Ale patrz bystrem okiem w życie, mój drogi, patrz i ucz się. Korzystaj z doświadczenia, bo za prawdę najlepszy człowiek nie wiele jest wart, jeżeli nie ma doświadczenia życiowego. Ot, masz, kochanie, naukę. Co myśmy ludziom zrobili złego, ja i ty? No powiedz? Nie! prawda. A tymczasem im zawadza nasza przyjaźń. Ich kole w oczy nasze przywiązanie, nasza wierność. Hołota! Stado baranów i wieprzów. Dla nich przyjaźń czem jest? Niczem. Oni nie są w stanie tego zrozumieć. A jeżeli nawet są, to ich to gniewa, korci. Radzi-by przyjaciół rozzerwać, intryżkę jaką mądrą zagrać. Przyjaźń! Ich co łączy? Frank! Frank! Wszystko za franka i wszystko dla franka! Ale przywiązanie, uczucie—to dla nich po grecku. Oni tego nie umieją czytać. Bezduszna! bezmyślna hołota!

Nagle ścisnął zęby i tonem spokojnym, ale pełnym powagi i namaszczenia zapytał:

— Barane! Przyjacielu mój! Odpowiedz mi proszę: czy chcesz mnie uszczęśliwić?

Barane podniósł na niego oczy.

— Powiedz, druhu mój, czy chcesz mnie uszczęśliwić! Przecież jasno mówię: czy chcesz mnie uszczęśliwić?!

— Ja? ciebie?

— Tak jest. Odpowiadaj mi poprostu, jednym słowem: tak albo nie.

— Ależ tak.

— A więc, Barane, żądaj ode mnie jakiej ofiary. Proszę cię na wszystko: żądaj natychmiast ode mnie jakiego poświęcenia. Natychmiast. Chcę ci dać dowód mej przyjaźni. I nie tylko tobie. O! ty! ja cię znam. Ty wiesz, ile ja dla ciebie mogę poświęcić. Ale oni. Dla nich! Niech widzą ci intryganci. Barane! Proszę cię, namyśl się prędko. Nie wahać się! Niech ofiara będzie najcięższą. Niech poświęcenie będzie najkompletniejsze.

Baran patrzył na niego wzruszony. Nie wiedział, co mu na to odpowiedzieć. On mu wierzył. On nie żądał żadnego dowodu przyjaźni, żadnej ofiary. Po co to, na co? Ale uroczysty ton w jakim

mówił do niego de la Rivière, onieśmielił go. Nie umiał ust otworzyć.

De la Rivière chwycił go za rękę.

— Barane! Barane! Czy chcesz, abym dla ciebie wszedł zaraz jutro rano na trzecie piętro wieży Eiffla i stamtąd rzucił się głową na dół, na ziemię.

Barane zadrżał.

De la Rivière zaczął prosić go głosem miękkim, nieledwie błagalnym.

— Powiedz, że chcesz, proszę cię Barane! przyjacielu, powiedz, że chcesz, powiedz! Jedno tylko słowo, jeden dźwięk...

Nareszcie Baran zdobył się na głos.

— Nie!—zawołał energicznie.

De la Rivière otworzył ramiona, przyciągnął do siebie Barana i nie mówiąc już nic więcej, przycisnął jego głowę do swych piersi.

XXII.

Nazajutrz wszedł de la Rivière do Barana z miną mówiącą, iż stało się coś niezwykłego.

— Nie zgadniesz nigdy, gdzie ja teraz był?

— No?

— U tego podłego Węgra.

— U niego.

— Nie wyobrazisz sobie, co to za chytra sztuka. No, ale tym razem trafił frant na franta. Obchodziłem go, powiadam ci, jak lisa. On tak, ja tak, on tędy, ja owędy. Nie pamiętam, czym trafił kiedy w życiu na taką szelmę, na cztery łapy kutą, jak ta bestya. Pamiętasz, jak chciał nas wczoraj angażować, prawie gwałtem...

— Co nie mam pamiętać.

— Wyobraź sobie, dziś już nam daje o sto franków mniej. Patrzaj, od wczoraj do dziś. Dwadzieścia cztery godziny.

— Nawet niecałe wtrącił Baran.

— Istotnie! masz rację! Niema jeszcze dwudziestu czterech godzin. No, powiedz, czy to nie jest huncwot pierwszego stopnia?!

Baran z oburzeniem potrzęsął głową.

— Dobrze, że nas nie wziął—rzekł—gotów byłby nam nie płacić wcale.

De la Rivière uśmiechnął się.

— Otóż, powiadam ci, Baran, że jak się dowiesz pewnej wiadomości, to podskoczyś ze zdziwienia.

Baran był już gotów dziwić się.

— No?—zapytał otwierając szeroko oczy, w których się malowało zaufanie i prawość myśli.

De la Rivière wstrzymywał jeszcze przez pewien czas swój efekt. Nareszcie rzekł:

— A co-byś ty powiedział na to, gdybyś dowiedział się, że ja warunki tego szelmy przyjąłem? Co?

Baran nic nie rozumiał.

— Otóż, wyobraź sobie—tak! Dojechałem do końca z tym podym Węgrem. O sto franków tygodniowo, ani ja ani ty nie dbamy. Zresztą życie w Budapeszcie jest za bezcen, a to uczyni więcej niż sto franków. Mniejsza tam o to! Ale widzę, że ty się nie orientujesz!? Nic nie szkodzi. Za małą chwilkę wszystkiego się dowiesz—i wtedy ocenisz, czy de la Rivière jest rzeczywiście twoim prawdziwym, serdecznym przyjacielem, czy nim nie jest. A tymczasem bracie, nie mów nic, tylko ufaj mojemu łbowi, bo powiadam ci, że za byle co byłbym go nie sprzedał, i nie wątpię, aby grupa Rothschildowska była tak bogata, żeby mogła sobie pozwolić na ten sprawuneczek. Masz tu pióro...

Wyciągnął z kieszeni arkusz, rozłożył no na stole i wskazując palcem, rzekł:

— Widzisz tu mój podpis?

— Widzę.

— Podpisz się i ty. To kontrakt. Węgier ani się spodziewa, że to nie my wpadliśmy, ale on. Zresztą zapowiedziałem mu z góry, że jak nas nie pomieści w drugiej części, to łeb mu rozwałę na drobnutki kawałeczki.

Baran podpisał tymczasem kontrakt.

De la Rivière złożył go i, chowając do kieszeni, rzekł słodkim głosem:

— Czy ty wiesz, Barane, dla czego ja się tak zapaliłem do Budapesztu?

— No?!

— Nie wiesz i wiedzieć nie możesz, boś tam nigdy nie był. Ale ja znam Budapeszt, jak La Villette... i jak moje rodzinne Saint-

Germain. Otóż powiadam ci, Barane, Budapeszt tak jest podobny do Warszawy, ale to tak, że, no, nie odróżnił-byś na pierwszy rzut oka...

XXIII.

Wspaniała była „Wielka Hungarya!“

Szary, kamienny, zimowy pałac z zewnątrz, z oknami prostemi z włoskim smakiem, rozdzielającemi ogromną fasadę na harmonijne części, wyglądał na arystokratyczne gniazdo jakieś, którego wejścia broniły cztery karyatydy o kolosalnych barkach.

Wewnątrz było współczesne cacko.

Rzekłbyś puzderko na kosztowności, tak wszędzie tu było miękko: ściany, wybite kosztownemi materyami, lśniły od blasku jedwabiu, mieniły się od kolorów pluszu, od złocen; w przedsionku duża mozaika przedstawiała koronę świętego Stefana. Gdzie drogie materye ścian nie zakrywały, widziałeś marmury i lustra. Na kurytarzach stała służba, prawdziwe wielkoludy, w bogatych, srebrem haftowanych, mundurach.

Sala ogromna, największa, ma się rozumieć w Budapeszcie, a według zapewnień „Egietertes“ i największa na świecie. Powietrza tu dużo; na ziemi zielony puszysty dywan; światło leje się z tysiąca lampek żarowych, ukrytych w szklanych kwiatach weneckiego pomysłu.

Nad salą plafon—arcydzieło. „Egietertes“ pomieścił interview ze sławnym pewnym malarzem, który przysięgał się, że słynny plafon Jean Paul Laurensa w paryskim Odeonie nie może iść w porównanie z tym plafonem—z czego wynikało koniecznie, że ten plafon jest najpiękniejszym plafonem na świecie. Przedstawiał on piękną równinę, przeciętą Sawą; w środku stał dzielny Arpad, otoczony swiłą rycerzy swoich, i z dobrotliwym uśmiechem na męskiej twarzy rozdzielał kosztowne podarunki jasno i długowłosym członkom deputacyi słowackiej, przybyłej błagać go, aby zechciał ze swymi walecznymi towarzyszami pozostać raz na zawsze pod tem pogodnem niebem i na tej urodzajnej ziemi.

Scenę zakrywały trzy kurtyny: zielona pluszowa, malowana dekoracya widoku na wyspę świętej Małgorzaty i obraz Apollina. Za-

puszczano je na przemiany, aby publiczność i w antrakcie się bawiła.

W około sali i sceny szedł szeroki promenoir, niby ulica, przy której leży cały rząd sal i gabinetów, a każda sala w innym stylu, każdy gabinet w innym guście; jest tu sala maurytańska i japońska, staroniemiecka gospoda i pompejańskie atrium, normandzki szynk i assyryjski bar. Pełno tu kanapek, cicho szemrzących fontan i dyskretnie ukrytych bufetów.

Istotnie wspaniała była „Wielka Hungarya“.

To też ci, co zbyt sceptycznie czytywali wzmianki i zapowiedzi, dobrze na tym punkcie poinformowanej „Egietertes“, w dniu otwarcia zakładu ostentacyjnie złożyli broń opozycji, a wszystkie pisma przyznały jednogłośnie, że podobnego etablissement niema nigdzie na świecie, i że Węgrzy i tym razem znowu prześcignęły Europę.

Cisnął się też Peszt cały w podwoje „Wielkiej Hungaryi“, a dyrektor Schultze stał się najpopularniejszym Węgrem w tym sezonie.

XXIV.

Życie nie jest puhaem, napełnionym samym tylko miodem. Doświadczył właśnie na sobie tej prawdy, o której wielu mędrców oddawna już wiedziało, i ten szlachetny patriota węgierski, który tyle zasług położył w sprawie ozdobienia naddunajskiej stolicy i utrzymania dobrego humoru wśród jej mieszkańców.

Pewnego wieczoru do „Wielkiej Hungaryi“ na przedstawienie, jakkolwiek to przedstawienie nie było ani trochę mniej świetne od całego szeregu poprzednich — nie przyszedł nikt.

Literalnie nikt.

O godzinie dziewiątej wieczorem kasyer oznajmił dyrektorowi, że nie sprzedal jeszcze ani jednego biletu.

O tej porze sala była już szczerlnie zazwyczaj napełnioną, po promenoirze snuł się tłum, a łoże pierwszego piętra gdzieś były już ugarniowane.

Dziś — nikogo.

Nie było innej rady, jak odwołać przedstawienie, bo nie sposób było grać wobec samej tylko, jakkolwiek wspaniale przedstawiającej się, służby.

Trupa „Wielkiej Hungaryi“ wielce była strapioną.

— *What is the matter?*—dopytywali się hałaśliwie czterej bracia Bee-Mee.

— *Personne? c'est extraordinaire* — zapewniała mała Peronette, przysięgając, że *c'est pour la première fois que je vois chose pareille*.

Kuplecista wiedeński był również markotny dopytując się mazygnistów:

— *Und was sagt Herr Director?*

Herr Director był sam jeden zupełnie spokojny. Odkrył on w parę chwil przyczynę bojkotu — bo to był bojkot najwyraźniejszy.

Oto w rannym numerze „Hirlap'u“ wydrukowano wiadomość, że Schultze wcale jeszcze węgierskiej naturalizacji nie przyjął i że jedynie dla nikczemnego zysku ubiera się w czamare i czerni wąsy narodową pomadą.

Poznał Schultze w tej insynuacji złośliwą, a niezgrabną łapę właściciela „Orpheum“.

I uśmiechnął się.

Nazajutrz „Egietertes“ wystąpił z długim a gwałtownym artykułem, napadającym na niesumiennych dziennikarzy, którzy, nie szanując dostatecznie godnego swego zawodu, bawią się lekkomyślnie—żeby nie powiedzieć więcej—puszczaniem w obieg fałszywych pogłosków, przeznaczonych na wyraźną i bezpośrednią szkodę najlepszym patriotom. Że zaś „Egietertes“ nie mówił w ten sposób na wiatr, dawał natychmiast przykład: oto oczerniono dyrektora Schultzego, że bynajmniej nie jest Węgrem, tymczasem z przedstawionego poniżej dokumentu wynika, że zacny ten przedsiębiorca jeszcze na trzy tygodnie przed otworzeniem wspaniałego swego etablissemantu przyjął w sposób przepisany prawem, z zachowaniem wszelkich formalności, węgierską naturalizację—puszczane więc w kurs wiadomości nie są czem innym, jak tylko niegodnym manewrem politycznym, wynalezionym przez wrogów jedności węgierskiej. Jednak wrogom tym nie uda się wprowadzić elementów niesnasek w stosunki narodowe, czego cały Peszt dowiedzie, popierając właśnie przedsięwzięcie pana Schultzego, jak na to i ono i on zasługują.

Wielki się zrobił w mieście rumor.

Ludzie byli przez 24 godziny oburzeni na „Hirlapa“ i tego wieczora salę „Wielkiej Hungaryi“ zapełnili członkowie obu izb, wyżsi

oficerowie honwedów, profesorowie uniwersytetu i członkowie obu izb sądowych i prokuratury. Licznie stawiła się też prasa.

Przedstawienie było bardzo gorące i dyrektor Schultze musiał sam ukazać się na scenie rozentuzymowanej publiczności.

Oczywiście, że losy „Wielkiej Hungary“ były na długi czas zapewnione.

.

Artyści, składający tę wytworną i tak wyróżnianą trupe, nie mogli pozostać obojętni na tyle oklasków i tyle sympatyj. Dumni ze swej wspaniałej świątyni sztuki, wdzięcznym sercem oceniali tę gorącą, jedyną, wymarzoną publiczność; widzieli oni w dyrektorze Schultzem wielkiego człowieka — i poczęli w głębi serca, wynajdować w sobie coś... coś węgierskiego...

XXV.

De la Rivière wymagał dla siebie dużo miejsca na bożym świecie.

Gest posiadał szeroki, drobiazgami pogardzał, czego zaś przede wszystkim i nade wszystko potrzeba było dla jego natury, to żyć dobrze, wygodnie, wykwiutnie i wesoło. To też człowiek ten odkrywał się takim, jakim był w wewnętrznej istocie swojej dopiero wobec poprzadnie zastawionego stołu w niezbyt pośledniej restauracyi; wtedy-to wychodziła na jaw prawdziwa jego natura: żywotna i otwarta — „co w sercu to na języku“ — i pełna przytem uczuć dla ludzkości przyjacielskich, co się manifestowało głównie objawami szybko wzrastrającej poufałości.

Miał też de la Rivière naturalny i jakby wrodzony pociąg do wszystkiego, co błyszczy na arenie świata, a i sam przytem również na jakiegokolwiek bądź arenie chciał błyszczeć, co było uczuciem sprawiedliwości, jakie oddawał zarówno swoim duchowym zaletom, jak też i cielesnym awantażom.

W żyłach jego płynęła przytem krew gorąca, zmysły posiadał francuskie, łatwo zapalne, a serce dla oceniania powabów kobiecych wedle ich właściwej wartości jak najlepiej usposobione.

Serce to było wysoce arystokratyczne jednak.

Pogardzało ono szarym tłumem zwykłych kobiet młodych i pięknych, powabnych i wdzięcznych, sprytnych i dowcipnych. Pozostawać ono nie mogło wprawdzie długo zimnem i obojętnem, ale jeżeli zabiło—to zabiło nie dla pierwszej lepszej. Ukochać ono mogło tylko kobietę wyjątkową, kobietę, która wyniosła się ponad ten poziom, po którym pelzazwyczaj czerń niewieścia; ukochać ono mogło tylko kobietę, która stanęła w słońcu powodzenia i blasku, która była-by otoczona wieńcem pożądających jej mężczyzn, która była-by nienawidzianą przez legion współzawodniczek i rywalek.

Serce to takiej jedynie kobiecie poświęcić mogło swoje skurcze i rytmy; ale, poświęciwszy je raz, zdolne było kochać mocno i gwałtownie, namiętnie, zazdrośnie, zapalczywie—zdolne było jęczeć od bólu, wyskakiwać z piersi, pękać i rozdzierać się.

Takie-to było niezwykle serce.

Pierwszą gwiazdą na scenie „Wielkiej Hungaryi“ była popularna Mariska, piękna i dojrzała blondyna, o skórze białej iróżowej, włosach złocistych i kształtach wspaniałych, zamkniętych w malowniczy kostium huzarski z dużem poczuciem plastyki.

Głównym urokiem Mariski był narodowy czardasz.

Pomimo jasnych włosów i słowackiego imienia, posiadała ona we krwi ten rwany, gwałtowny, dyszący namiętnością, cięty, dyabelski rytm, który głowy wprawiał w zawrót, upajał myśl, mącił zmysły i rozpalał krew w żyłach, który człowiekowi wmawiał poczucie sił olbrzymich i łudził go niezaznanemi nigdy jeszcze rozkoszami.

Publiczność przepadała za Mariską.

Jej ukazanie się na scenie wywoływało już owacyę, jej kuplety ogniste podchwytywano chórem, ogłuszano ją oklaskami i okrzykami, zasypywano kwiatami.

De la Rivière zaczął jej od pierwszego dnia znajomości nadska kiwać.

Drugiego dnia miał jej już coś konfidencyonalnego do szepnięcia w różowe uszko.

Zapewniał ją, że posiada to, co Francuzi nazywają „le diable au corps,“ ścisłała mocno przy sposobności białe jej, duże, piękne ręce i sypał w rozmowie alluzjami.

Większość zresztą tych alluzji, zarówno jak i komplementów, była dla pięknej Mariski straconą, nie miała ona bowiem żadnej wprawy w języku francuskim, a de la Rivière o żadnym innym najmniejszego nie posiadał wyobrażenia.

Przy śniadaniu, które zawsze jadał z Baranem, de la Rivière zwierzał mu się, uśmiechnięty i pewien siebie, ze swoich uczuć, postępow i nadziei.

W tej naturze bowiem bogatej, obdarzonej jakimś żywiołowym dążeniem do rozprzestrzenienia swojego „ja“ ku najodleglejszym granicom, leżała także potrzeba zwierzania się.

— Ach! ta Mariska! żebyś ty wiedział Baran... Hm! Drogi mój, co to za kobieta?! Ha! Ogień z mlekiem, powtarzam ci!

Nachylił się nad serwetą, niżając nieco głos, żeby nie być słyszany na dalszych stolikach:

— Czy wiesz, co ona mi powiedziała wczoraj...

Baran stworzony był do przyjmowania zwierzeń de la Rivière'a.

Posiadał cierpliwość niewyczerpaną, prostą wiarę i naiwną, pozbawioną cienia niedyskrecyi, ciekawość; przytem mógł de la Rivière przyjmować jego uśmiechy za refleksy swego własnego promieniowania, jakkolwiek płynęły one ze źródeł oryginalnego zadowolenia Barana z porządku rzeczy.

— Wiesz, Baran—oznajmił mu razu jednego de la Rivière—złożyłem dziś wizytę Marisce. Tak, mój drogi, złożyłem jej dziś wizytę. Bardzo ładnie mieszka i we własnym apartamencie. Przyjęła mnie, bardzo była rada... Przepędziliśmy z sobą trzy kwadransy... Byłbym przysiągł, że to trzy minuty. Co to za kobieta! Co to za kobieta!

Nie Baran, daruj, ale ty o tem nie możesz mieć pojęcia... słuchaj, złoto ty moje, druhu najmiłszy... Zrobię ci pewną propozycję. Uczcij, słuchaj, po przyjacielsku tę uroczystość błogiego stanu, w jaki wchodzi moje serce.

Postaw mi parę buteleczyn szampana. Wypijemy i za twoje zdrowie.

XXVI.

Błogi stan, pełen miłych przeczuć i słodkich nadziei, w jakich znajdowało się serce de la Rivière'a, skończył się raptownie i w sposób zupełnie nieprzewidziany.

Na scenie „Wielkiej Hungaryi“ pojawiła się śpiewaczka francuska, Jane Daubigny, dziewczyna młoda, wysoka, szczupła, giętka, zgrabna, pełna szyku, o wielkich czarnych oczach, twarzy regularnej, choć w rysach nieco ostrej, w wyrazie niesłychanie wyrazistej.

Śpiewała piosnki smutne, dramatyczne, wstrząsające, ilustrując je pełną plastyki i wymowy mimiką. W wielkich, głębokich jej oczach, na jej twarzy, każdemu odcieniowi myśli posłusznych, zmieniały się uczucia bólu, obawy, nieszczęścia, przestachu, grozy i rozpacz, z prawdą i siłą, ścinającą uśmiechy.

Publiczność, która nie po takie wrażenia przychodziła do „Wielkiej Hungaryi“, dziwiła się i mieszała zrazu, ale potem dawała się pociągnąć i podbić urokowi nowości i talentu, i brała żywy udział w losach biednej, chwiejącej się na nogach, pijaczki, opowiadanej nawpół, a na wpół śpiewanej, z tak wielkim przekonaniem przez szykowną Francuskę. I wzruszała się publiczność nad złamanem życia artysty, który, straciwszy wszystko: głos, kochankę, młodość i illuzję, prowadził rozmowę ze śmiercią...

O! bo śmierci było dużo w piosnkach Jane Daubigny...

Ale ten tragiczny repertuar kończył się jakimś uśmiechem zawsze, jakąś piosnką swawolną, luźną, bulwarową, jak popularna historia o Madame Boudin, której Monsieur Bouton opowiadał przez cały wieczór akurat to samo, co Monsieur Boudin mówił w tymże czasie i nie z mniejszą obfitością szczegółów do Madame Bouton.

Jane Daubigny przyjęta została pierwszego wieczoru w sposób niepewny przez publiczność.

Drugiego dnia powitano ją już gorąco, trzeciego z entuzjazmem.

Arystokratyczna młodzież stolicy zaczęła tłumnie napływać do „Wielkiej Hungaryi“ i zapełniać łoże pierwszego piętra, które z dnia na dzień zostawały wyprzedane. W łóżach tych wreszcie zaczęły się

nawet ukazywać panie z najwyższego towarzystwa węgierskiego, dla których zakład pana Schultzego był dotychczas terra incognita; z początku, jak to zwykle w takich razach bywa, przyszła jedna pani najśmielsza i mająca opinię ekscentrycznej, potem przyszło parę jej przyjaciółek, aż potem bywano tu regularnie, jak na operze.

Piosnki Jane stały się popularnymi w całym mieście.

Często na ulicy posłyszałeś wesołe:

Madame Bouton... Monsieur Boudin...

Monsieur Bouton... Madame Boudin...

Albo tragiczną zwrotkę:

Et des cailloux on bombarde

La soularde...

Na ulubioną śpiewaczkę sypać się zaczęły kwiaty naprzód, a potem wymowniejsze klejnoty. Ludzie, noszący najpiersze nazwiska w kraju, ubiegali się o przyjemność znajdowania się razem z nią na kolacyi. I w krótkce rozeszła się pogłoska, że młody hrabia Batonyi na śmierć zakochał się w Jane Daubigny i o jej rękę formalnie się oświadczył.

Zaprzeczono tym oświadczeniom, jako zwykłej plotce, przez złe ludzkie języki wymyślonej; faktem jednak było, że młody hrabia Batonyi nie wychodził z za kulis „Wielkiej Hungaryi“ od chwili przyjazdu Jane Daubigny.

De la Rivière ani myślał o Marisce. Nawet przestał się jej kłaniać.

Jego serce, jego dusza, jego ciało, jego krew napelnione były teraz innem uczuciem.

Zakochał się w Jane Daubigny.

Przez kilka pierwszych dni swej z nią znajomości nie miał dość słów podziwu dla niej.

— Co to za artystka, mówię ci, Baran, jusqu'aux bouts des ongles artystka. A rozum, a dowcip, a bystrość, a złośliwość. Dowcip szczególnie... Jest dowcipną—comme tous les diables poprostu... A szyk? He! Już to nasze Paryżanki są znane. Niech nikt obok niej nie ośmieli się stanąć. Co Baran? Zauważyłeś, jaki ona ma szyk?

— Zauważyłem.

— Nadzwyczajny, prawda?

— Prawda.

— Ty jej nie możesz tak ocenić, jak ja. Ale powiadam ci, że to nie kobieta, to klejnot!..

Po paru dniach jednak zachwyty zgasły na twarzy de la Rivière'a.

Zaczął cierpieć.

— Powiadam ci, Baran, to jest poprostu wcielony szatan przewrotności—mówił, ściągawszy brwi, bez śladu dawnej olimpijskiej pogody, co mu twarz opromieniała, niespokojny, nerwowy, prawie ponury.—O! ty nie znasz kobiecej złości, Baran, i powiadam ci, bądź wdzięczny losowi, że ci tego dotychczas oszczędził. Ach! czy jest na świecie coś straszniejszego, czy jest siła bardziej złowieszcza i groźna, bardziej dyabelska i siejąca zniszczenie, jak kobieta piękna, urocza, a przewrotna, zła, okrutna. Baran! Baran! zapamiętaj sobie moje słowa, moje przestrogi: unikaj ty takich kobiet, jak morowej zarazy.

Godzinami całemi mógł w ten sposób skarżyć się i ostrzegać przyjaciela.

Kończyło to się zwykle wyczerpaniem zasobu sił żywotnych de la Rivière'a. Zwieszał wtedy smutno głowę, zakrywał oczy powiekami do połowy i prosił przyjaciela osłabionym i bolesnym głosem:

— Mój najdroższy, ulituj się nade mną. Podnieś mnie na duchu, choćby chwilowo, choćby sztucznie... Każ podać szampana...

XXVII.

Coraz to groźniej i coraz to głębiej ogarniała de la Rivière'a nowa a nieszczęśliwa ta miłość.

Chodził teraz milczący i zaszepiony, i widać było, że oprócz zmartwienia jego, wszystko mu na świecie stało się obojętnem. Nawet na scenie o tem zmartwieniu swem zapomnieć na chwilę nie mógł: udawał niezgrabnego Rocka bez zapału, a nawet bez przekonania, oziębłe i bez uwagi, tak jak się odrabia robotę ciężką i wstrętną.

Chwilami zaś jakiś straszny blask ukazywał się w jego oczach; zgrzytał też w tych chwilach zębami i ścisnął pięści; przytem wyma-

wiał pod nosem jakieś słowa, których Baran dosłyszeć nie mógł, choć się ich dosłuchiwał.

— Charles? — pytał czasem Baran, bardzo zaniepokojony. — Co tobie jest?

De la Rivière gorzko uśmiechał się.

Czasem nic na to nie odpowiadał, czasem zaczął zwierzać się na nowo ze swoją męką serdeczną; czasem bryznął gryzącym jadem szyderstwa i ironii.

— Co mi jest?! Nic mi nie jest, nic. Jest mi dobrze, o dobrze, bo nareszcie teraz, stary osieł, do rozumu doszedłem, teraz poznałem świat i ludzi, teraz wiem, co kto jest wart i co warto jest prawdziwe, bezinteresowne, zdolne do największego poświęcenia uczucie. Ach! ale to moja wina, niczyja, tylko moja. Czemużem pozwolił na to, aby serce moje do takiej małpy się przywiązało. Dobrze, o dobrze jest powiedziane, że nie należy rzucać pereł przed świńmi. A ja je rzucam, i rzucam, rzucam całeni garściami...

Pewnego razu zerwał się od stołu, przy którym tylko co z Baranem skończył śniadanie, i rzekł straszonym głosem:

— Baran! Druhu mój! Podaj mi twoją szlachetną prawicę! O! tak! tak! — wołał, potrząsając rękę Barana — Niech ją raz jeszcze uścisknę. O! to dłoń zacna, prawa, która mnie nigdy nie zawiodła, która jest niezdolną do zdrady... Druhu! przyjacielu! Towarzyszu dolii i niedoli — tu głos de la Rivière'a złamał się i uczynił wyrazem wielkiej boleści i zarazem rezygnacji — Żegnaj mi, żegnaj... I jedno jeszcze: wspomnij czasem o mnie bez gniewu i goryczy.

Baranowi zrobiło się straszno.

— Charles? Co z tobą?

Charles nic nie odpowiedział.

Baran głośniejszym głosem zawołał:

— Charles? Charles? Bój się Boga, co z tobą?

Charles wreszcie pokiwał głową, potem nagle rozpostarł ramiona szeroko i głosem przejmującym rzekł:

— Patrz! co ta podła ze mnie zrobiła!

Potem rzucił się do drzwi i z zaciśniętą pięścią wybiegł na ulicę.

Wybiegł zaraz i Baran, aby go złapać, ale zatrzymał go garson, prosząc go o zapłacenie naprzód rachunku.

Zapłacił więc Baran rachunek i zaczął niespokojny szukać po mieście de la Rivière'a, z najgorszymi przeczuciami w duszy; szczęściem, bardzo prędko znalazł go w kawiarni, gdzie zbierali się

na poobiedniej kawie—grającego w domino z człowiekiem kanczukowym.

Wyglądał strasznie ciągle—i ciągle przegrywał.

XXVIII.

Pewnego wieczoru zrobił się w „Wielkiej Hungary“ skandal: Jane Daubigny nie przybyła do swej garderoby; zaniepokojony Schultze polecił do hotelu.

— Mademoiselle Daubigny?! — odpowiedziano mu—wyjechała wczoraj, natychmiast po przedstawieniu, kuryerskim pociągiem.

— Co?! gdzie?! jak?!

— Gdzie? Nie powiedziała. Zdaje się jednak, że do Belgradu, lub do Konstantyopola.

— Do Konstantynopola...

Wrócił Schultze wściekły za kulisy i szarpać się gwałtownie zaczął, strasząc policją i kryminałem, i nie rachując się ze słowami. Nigdy go takim nie widziano.

Ale wkrótce zjawiał się młody Farencozy, przyjaciel Bataniego a poprosiwszy Schultzego o pokazanie kontraktu z Jane i przeczytawszy paragraf, obowiązujący artystkę do 5,000 franków kary w razie zerwania umowy, natychmiast wręczył mu czek na powyższą sumę.

Schultze się uspokoił, ale mimo to mruzczał długo. Wołał-by sam zapłacić dziesięć tysięcy, a mieć Jane.

Skoro wieść o ucieczce uroczej śpiewaczki doszła do de la Rivière'a, uczyniła na nim takie wrażenie, jakby kto w niego wystrzelił piorunem.

— Pas possible—szepnął ochryłym głosem, przyszedłszy nieco do siebie.

Niestety! była to prawdziwa prawda.

— Baran! Baran!—wołał do przyjaciela z rozpaczą w głosie, wyciągawszy go gwałtownie na ulicę.—Ona uciekła! uciekła! I z nim! z nim. O! ale ja ich znajdę! Ja go zabiję! I jego, i ją, i siebie! Niech będą trzy trupy! To się musi skończyć tragicznie! chodź, chodź. Pójdziemy kupić rewolwer! Ach, prawda! noc, sklepy pozamykane! Może to i lepiej, bo mając w ręku rewolwer—hm! kto wie, kto wie...

Ale nie! nie! Naprzód jego, tak, jego. A kiedy ona nasyci się widokiem jego mózgu na podłodze, wtedy na nią kolej! A w końcu na mnie, tak w końcu. Baran, przyjacielu. Ona jest podłą, ona jest ostatnią z kobiet, ale to trudno, ja ją kocham, kocham ją jaką jest... Więc proszę cię pochowaj mnie niedaleko od niej.

Potem znowu wpadł w gniew gwałtowny:

— Ale naprzód znaleźć ich. To jest mój cel życia na teraz! Do Konstantynopola! Ja wiem, gdzie jest Konstantynopol! Ja ich tam dosięgnę! Ja ich wszędzie dosięgnę! Na końcu świata choćby.

Wreszcie, uspokoiwszy się nieco, nabrał szybko siły do powzięcia stanowczych męskich postanowień

— Baran!—rzekł głosem spokojnym, zatrzymując się na trotuarze, aby tem podkreślić ważność niniejszej swej przemowy.—Baran. Wielka chwila nadeszła dla ciebie, chwila decydująca, chwila próby. Ty pamiętasz niezawodnie, jak ja gotów byłem poświęcić się dla twojego dobra. Jak czekałem tylko na sposobność, aby mózdz zrobić dla ciebie wszystko, nawet choćby trzeba było przelać krew swoją do ostatniej kropelki. Musisz o tem pamiętać, bo takich rzeczy się nie zapomina. Ty wiesz o tem, że dość byłoby powiedzieć: „Charles! proszę cię zrób to dla mnie“, a niema rzeczy, przed którą-bym ja się cofnął. Baran! Baran! Teraz i ty poświęcisz cośkolwiek dla naszej przyjaźni! Teraz i ty dowiedz, jak ja zawsze na każdym kroku dowieść byłem gotów, że jesteś prawdziwym moim przyjacielem.

I oznajmił mu wielkim głosem:

— Niema co! musimy zerwać kontrakt!

Baran zaczął zbierać myśli osłupiały.

— Nie wyjdzie na pożytek Węgrowi podlemu nasza krzywda— sykał de la Rivière—ale w każdym razie te trzy tysiące zapłacić musimy! Otóż słuchaj Baran! Ja zrywam kontrakt, nie ty, jest więc rzeczą elementarnej sprawiedliwości, abym ja poniósł koszt, ja sam; przyjmuję to na siebie. Ty nie zapłacisz ani jednego franka, ani jednego centyma. Nie przerywaj mi, nie przerywaj Baran! O jedno tylko cię proszę, o rzecz względnie drobną. Ja, widzisz, nie mam na razie tych paru tysięcy, proszę więc cię idź do tego podłego Węgra i rzuć mu te trzy tysiące w ślepie. Ja ci oddam w najkrótszym czasie, ratami, jeżeli będziesz chciał, oddam ci do ostatniego sous.

Sięgnął szybko do kieszeni.

— Ot, masz! zaraz spłacam pierwszą ratę. Masz tu siedem koron. Weź! weź! Baran! Ale ty mnie w takiej chwili nie opuszczaj, przyjacielu.

I rzucił się mu na szyję ze łzami w oczach.

.....

Nazajutrz Rick i Rock opuścili rannym pociągiem Budapeszt.

Podążyli naprzód do Belgradu.

Ale tu nie znaleźli najmniejszego śladu Jane Daubigny.

Popędzili więc niezwłocznie do Konstantynopola.

Poszukiwania i tu były daremne.

XXIX.

Nigdy jeszcze Baran nie pokazywał ciała w budzie tak nędznej, jak ta konstantynopolska „Olimpia“.

Był to murowany budynek, nakryty płaskim dachem, oparty na samym skraju europejskiej Pery, murowany nawet umyślnie na chwałę Muz z pod Parnasu, nigdy jednak nie odświeżany, nigdy nie restaurowany, nigdy nie naprawiany, nigdy nawet nie zamiatany, wyglądał na ordynarną budę jarmarczną, rozbitą z soboty na niedzielę w jakichś opuszczonych koszarach.

Gdyby jeszcze nie te ornamenty!

„Olimpia“ w wiosnie swojej egzystencyi została bogato udekorowana jaskrawemi materyami i pomalowana w różne kolory; obecnie farby wypłowiały, a materye poobrywały się, porwały, popłatały, narosły kurzem—i wisiały jak łachmany na nędzarce, tem ohydniejsze teraz, im niegdyś świetniejsze.

O ósmej wieczorem zapalono ledwie jedną latarkę w sali.

Publiczność napływała powoli, w dużych odstępach czasu, i dopiero na każdorazowe domaganie się tej i owej grupy zapalano więcej światel.

Dyrektor „Olimpii“, czarny, gruby, sturczony Ormianin, najcierpliwszy z ludzi, nie okazywał najlżejszego niepokoju wobec ciągle ujawniających się braków, jakie mu jużto z sali, już ze sceny sygnalizowała służba, składająca się z drobnych, oliwkowych, chudych i ruchliwych za siebie i za swego dyrektora Greków. Stał spokojnie przy otworze w kurtynie, z rękoma założonemi w tył, poważny i nieruchomy niemal—i czekał na publiczność.

Publiczność ta była mieszaniną różnych narodowości europejskich, klasy wyłącznie kupieckiej: byli tu kommisanci i kommiwojażerowie francuscy, niemieccy, włoscy, rumuńscy, angielscy; niektórzy z nich nałożyli już czerwony fez turecki na głowę, ale nie zapomnieli europejskiego zwyczaju przepędzania wieczoru w miejscu publicznem. Nagięci do zasadniczej cnoty wschodniej: cierpliwości, wołali tylko o lampy i kawę czarną. Kiedy usłużny nad miarę Grek spełnił ich wymaganie, rozkładali swe „Figara“, „Berliner Tageblatly“, „Timesy“, „Fanfulle“ i niemniej spokojnie czekali na początek widowiska, jak i sam dyrektor zakładu.

Niektórzy zresztą obrabiali tu interesy, których nie zdołali dokończyć w kantorze i kawiarni.

Orkiestrę stanowiło pianino, jedno drugie skrzypce, kornet—piston i kociołek. Było miejsce i na pierwsze skrzypce, ale te, niezapłacone, od tygodnia już strejkowały; dyrektor winien był im dziesięć międzydze, a gotów był im „w tej chwili“ zapłacić dziesięć piastrow; skrzypce przysyłały przed samem przedstawieniem pośrednika, który przyniósł dyrektorowi „ostatnie słowo“: cztery międzydze. Ale dyrektor odpowiedział na to: „dziesięć piastrow“. Tak więc i dziś brakowało w orkiestrze pierwszych skrzypiec.

Przedstawienie rozpoczęło się wreszcie o trzy kwadranse na dziesiątą.

Jaka trupa?! Co za towarzystwo?! Na Champ de Mars nie był Baran, zaprawdę, wotoczeniu zbyt arystokratycznym, ale jakie to było doborowe otoczenie w porównaniu z tem!

Była tu wiedeńska śpiewaczka, brzydka, jak nagłówniejszy ze śmiertelnych grzechów, z chroniczną chrypką w gardle. Śpiewała popularną „Margaritę“ i „Alles nicht wahr“ głosem, który gasł przy pierwszych stolikach, i tańczyła czardasza, szeleszcząc jedwabną suknią, z pod której widać było brudne pończochy. Była tu francuska śpiewaczka z „Opéra Comique“, wydekoltowana, w długich reparowanych rękawiczkach, sześćdziesięcioletnia staruszka, która piszczała arye z „Mignon“ i „Fausta“. Był tu brzuchomówca, który nie miał najmniejszego pojęcia o trudnej sztuce ventriloquicznej i recytował poprostu bajeczki dla dzieci udanym głosem, na który się każdy zdo-

być może, ale ten miał przynajmniej frak, białe rękawiczki i czystą bieliznę. Był wreszcie zongler indyjski, niezgrabiasz, któremu talerze wypadały z ręki, a kule wymykały się do orkiestry.

„Olimpia“ stanowiła widocznie ostatni przytułek, rodzaj dobroczynności dla tych, którym już wszędzie drzwi pozamykano.

Co w tem towarzystwie robił artysta tej miary, co Rock?!

Widocznem to było na pierwszy rzut oka, że tylko przypadek, tylko nieporozumienie, tylko nieznajomość stosunków, panujących na tem przedmieściu Azyi, mogła jego tu obecność wytłumaczyć.

Zmienił się też Baran nie mało: jego twarz nie posiadała wyrazu zwykłego spokoju i zadowolenia, jego usta nie uchylały się do łatwego naturalnego uśmiechu, w oczach jego świeciło się matowym blaskiem coś smutnego i pogardliwego.

Skrócił też do połowy repertuar zwykły swych popisów i, ledwie odpowiedziałwszy skinieniem głowy na parę oklasków, jakimi go nagradzano, szybko pobiegł do garderoby, gdzie z pośpiechem, niemal z gorączką, rozcharakteryzował się, ubrał i wyszedł poza mury brudnej i niechlujnej „Olimpii“.

Przystanął jednak, ledwie opuściwszy schodki.

Z tyłu „Olimpii“ leżało puste jakieś podwórko, po którym pełzały małe jaszczurki i skąd otwierał się szeroki widok na miasto.

Noc była ciepła i cicha, niebo mocno szafirowe, gwiazdami nabite obficie, bez księżycy; stoki strome Pery, porośnięte ogrodami konsulatów i ambasad europejskich, drzemały milczące, czarne, gdziegdzie ostrym wierzchołkiem cyprysu strzelając w górę.

W dolnem mieście, tak gwarnem, hałaśliwym, ruchliwym we dnie, żadnego szmeru, żadnego światła, śpi ono u stóp Pery głębokim snem spracowanego wyrobnika.

Na Bosforze tylko życie nie ustało. Posuwają się tu i owdzie kolorowe światelka, powoli i równomiernie, krzyżując się i oddalając, i kładąc długie smugi drżących blasków na ciemną wodę.

A poza temi wędrownemi ognikami nocnemi znowu od wody podnosi się wzgórze, tureckie gniazdo, zatopione w mroku, wypoczywające pod strażą wysmukłych ostrych minaretów, czuwających grupami, niby patrole, nad spokojem muzułmańskiego świata.

Baran wsłuchuje się w tę ciszę, wpatruje w gwiazdy, wysypane na firmamencie, i myśli sobie:

— Po jakim to brzydkim moście idzie się na tamtą stronę wody.

I krzywi się pogardliwie na wspomnienie rannej dzisiejszej wycieczki po Stambule:

— Co to za most dopiero?! Mały, drewniany, pełen dziur, a jak wóz na niego wjedzie, to trzeszczy niby utrapienie... i wszystko omal nie wleci do wody...

Wzdycha.

— Eh! nie taki to tam jest most na Wiśle, nie taki.

I przypomina sobie.

— Długi to chyba na parę wiorst, albo i na milę, albo i jeszcze dłuższy. Cały z żelaza, kawałka drewna na nim niema, jeżeli nie podłoga. A kratowany cały, szykowny...

Tęsknota w sercu jego żalić się zaczyna.

— Eh! Warszawa... Warszawa... Tam-to by się teraz żyłodopiero! sierotą byłem, nie jadłem całymi dniami, a lepiej mi tam było, niż gdziebądź na świecie... Cóż teraz!?

Kiedy on obaczy tę swoją Warszawę nareszcie?

Coraz bardziej mięknie mu serce.

Kiedyż!? Kiedyż!?

Naraz słyszy znajomy głos:

— Baran! e! Baran!

Nie spieszy tym razem odwrócić głowę, nie pilno mu odkrzyknąć.

— Baran!

Radby długo, długo jeszcze sam tu pozostać, spoglądać na te światelka, co się mijają na Bosforze, i przypomnieć sobie, jak to łódki z Solca płyną w niedzielę na Saską Kępę, a harmonia na nich gra...

— Czy to ty?! Baran!

Milczy i powiada do siebie:

— On myśli, że ja jestem taki głupi... On myśli, że ja nie wiem, iż on Warszawy nigdy na swoje oczy nie oglądał...

XXX.

W tym czasie Wiedeń zajęty był kwestyą, czy Luzzatti przeprosi Ninę Pexio, której (prawda, że w rozdrażnieniu), powiedział niewłaściwe słowo, czy jej nie przeprosi. Książę Kahlenstein-Rotherberger, oddając na usługi jej sprawy doświadczenie, w długim szeregu lat służby dyplomatycznej zdobyte, robił, co był tylko w stanie, aby doprowadzić do zgody. To jednak nie dawało się uczynić w żaden sposób bez formalnego choćby upokorzenia ze strony dyrektora cyrku.

Nina Pexio posiadała wolę niewzruszoną, której nie było podobieństwem przelamać. Przestała więc pokazywać się w cyrku wogóle i nawet odebrała swe konie i umieściła je w prywatnym maneżu.

Personel cyrku cieszył się z tej awantury. Naprzód Nina Pexio, mimo swoich wysokich tonów, lubioną była przez kolegów, jak mało kto. Głównie jednak nie lubiono Luzzattego. Był to człowiek uczciwy, to prawda; na wyższej tresurze koni znalazł się jak nikt może lepiej, to mu ogólnie przyznawano; ale maniere jego były do zbytku brutalne i zawsze w nim było więcej parobka, niż artysty. Przebaczano mu tem niechętniej, że był młodym człowiekiem i często uchybiał poważniejszym od siebie.

Spodziewano się więc, że tym razem trafiła kosa na kamień, i że Luzzattemu Nina przytrze nieco rogów, co mu się święcie należało.

Sprawa nabierała tymczasem rozgłosu. Członkowie Jockey-Clubu zaczęli się między sobą naradzać: przeprosi—nie przeprosi.

Kiedy ksiązę Kahlenstein-Rotherberger ukazywał się w klubie, ze wszystkich stron zasypywano go pytaniami:

— Przeprosił?

— Nie przeprosił?

Książę Kahlenstein-Rotherberger zmuszony był odpowiadać stale:

— Nie... Nie jeszcze...

Ton jego mowy i pewien dyskretny nacisk na słowie „jeszcze,” dawały tym, którzy trzymali za „przeprosi,” jak najlepszą otuchę.

Luzzatti tymczasem trzymał się mocno. Wygrywał on już na tem, że miasto tak do serca wzięło tę sprawę. Obroty kasowe nie wykazywały znaczniejszych różnic od chwili wybuchu awantury z Niną Pexio. Wyobrażał jednak sobie, co dzieć się będzie przy kasie, skoro Nina wróci na afisz.

Przeprosić, nie przeprosić—dla niego była to prosta spekulacja. Tymczasem jeszcze należało ciągnąć strunę. Co będzie jutro—zobaczy.

De la Rivière znalazł zaraz pierwszego dnia po zaangażowaniu się do Luzzattego sposobność do poznania Niny Pexio.

— Baran! Baran!—wolał do przyjaciela z entuzjazmem.—Co to za kobieta?! Co to za kobieta?! Junona! Dyana! Venus! wszystkie boginie greckie w jednej osobie, powiadam. Zgłupiejesz, jak ją zobaczysz, tak jak ja o małym nie zgłupiał. Pojęcia nie miałem, że takie kobiety mogą istnieć na świecie. O Chodź!

I podciągnął go do ściany, gdzie wisiał szereg fotografii Niny, o których ona musiała zapomnieć, w przeciwnym bowiem razie kazała-by je zdjąć niezawodnie.

Nina Texio istotnie była niezwykle piękną. Wysoka, dobrze zbudowana, z obfitą piersią, w amazonce, szwedzkich rękawiczkach, ze szpicrutą w ręku, dumnym ruchem podnosiła do góry twarz bardzo regularną, żywą, pełną spokoju i energii zarazem. Z jej oczu dużych, czarnych, mocnymi łukami brwi nakrytych, wyczytać można, że dziewczyna ta wie aż nadto dobrze o swej piękności i uroku, i że nie łatwo przyszło-by otrzymać od niej najdrobniejszy choćby ze względów.

— Co!? co?!—dopytywał się de la Rivière.

— Piękna!

— Piękna?!—obrazil się prawie.—A ja ci powiadam, że przepiękna, niezrównana, jedyna. Przypatrz się tylko dobrze. Ta twarz, co? A ta talia? Czyś widział może kiedy podobną talię.

— Śliczna doprawdy.

— A jaka imponująca! powiadam ci, królowa zdawało-by się.

I od tego dnia przestał jęczeć przed Baranem, przestał chodzić ze zwieszoną głową i wygadywać na Jane Daubigny niestworzone rzeczy.

XXXI.

Po paru dniach pobytu w Wiedniu zapomniał de la Rivière zupełnie o swojej ranie i o tej okrutnicy, co mu ową ranę zadała. Stał się, po dawnemu, promieniejący i wrócił mu zwykły szeroki gest.

— Widziałem się znowu z Niną Pexio—mówił do Barana—powiadam ci, była dla mnie niezwykle grzeczna. Dopytywała się z ciekawością: comment ça va.

Nazajutrz miał już minę tryumfującą.

— Poznaliśmy się z księciem Kahlensteinem-Rotherbergerem. Wielki pan, o! wielki pan. Ja tu mam zamiar wejść trochę w sfery arystokratyczne, żeby w tym cyrku nie zapleśnieć zupełnie. Jakoś mi już tęskno do swojej sfery. Zaraz jutro idę rzucić księciu mój bilet wizytowy.

W kilka dni potem de la Rivière wpadł do numeru Barana, trzymając jakąś białą kartkę w ręku.

— Patrz! wołał jaśniejący—patrz na własne swe oczy. Czytaj. Położył przed Baranem kartkę. Był to bilet wizytowy.

Baran przeczytał:

Adolf książę Kahlenstein-Rotherberger.

De la Rivière schował bilet starannie do pugilaresu.

— Tyś może myślał, że blaguję, opowiadając o moich stosunkach z arystokrocyą? Nie, mój drogi. To nie jest mój zwyczaj. Patrz sam, książę był u mnie z wizytą! nie zastał mnie w domu i zostawił swoją kartkę. Jakto czuć w tem prawdziwie wielkiego pana. Prawda? A ty, mój Baran, nie się na tem, biedaku, nie znasz. Do tego to już się trzeba urodzić.

De la Rivière zaczął od tej chwili chodzić po Wiedniu z taką pewnością siebie, jak gdyby nietylko Wiedeń, ale i Austrya do niego należała.

Uwielbienie jego dla Niny Pexio rosło stale, choć jej już nie widywał. Kupił sobie kilka jej fotografii, (Wiedeń zarzucony był nie mi w tej chwili) i poumieszczał je w różnych kątach swego hotelowego pokoju.

Jednego dnia zobaczył Ninę przechodzącą przez ringi.

— Baran!—mówił tego dnia—żebyś wiedział, jak mi się dziś Nina ukloniła. Ten ukłon wart był dużo, mój drogi.

Innego nowy tryumf, większy od wszystkich dotychczasowych, razem wziętych.

— Nowina! Wielka nowina—wołał de la Rivière do Barana—jutro Luzzatti ma przeprosić Ninę. Rzecz niezawodna, bo mi to mówił sam książę Kahlenstein-Rotherberger. A pojutrze książę wydaje kolację w swoim pałacu na tę uroczystość. Uważasz, w swoim pałacu. Ja oczywiście zostałem zaproszony. Będzie sama śmietanka: z cyrku Luzzatti naturalnie i Lowell, od Ronachera jeden Silvio Nevada. Wiesz co Baran, mam myśl. Chodźmy na spacer, to ci pokażę pałac księcia. Zobaczysz jaki wspaniały. Jednak to jest uroczystość ten Wiedeń...

.

Zakończyła się istotnie ta głośniejsza cyrkowa sprawa. Jak książę Kahlenstein-Rotherberger przepowiedział od początku, Luzzatti przeprosił Ninę Pexio. Odbyło się to jednak po przyjacielsku i w tajem-

nicy, w gabinecie restauracyjnym, w obecności jednego tylko kłęcia.

Miasto dowiedziało się o tem z pism wieczornych. Nazajutrz zaś ukazały się afisze cyrkowe niezwyklej wielkości z nazwiskiem Niny Pexio, wydrukowanem kolosalnemi literami.

Dnia tego o jedenastej rano nie dostał-by już nikt łoży do cyrku za żadne pieniądze, a i kto chciał mieć krzesło, powinien był się śpieszyć.

XXXII.

Gorąca atmosfera była tego wieczoru w cyrku Luzzattego, atmosfera zainteresowania i oczekiwania, podniecająca nerwy widzów, sprzyjająca sztuce, wydobywająca z artystów maximum ich talentu.

Cyrk był szczelnie zapełniony.

Członkowie Jockey-Clubu zajęli osiem łóż jedna obok drugiej. Publiczność gotowała się zrobić pięknej dziewczynie gorącą owacę.

Baran oddawna już nie czuł się tak doskonale usposobiony, jak dziś...

Odgadł instynktem, który artystów prawdziwych nie zawodzi, że ma dziś publiczność uważną i wdzięczną, dla której warto się popisać, której warto pokazać, co się umie, przed którą oplaci się rozwinąć sztukę swoją w pełni jej okazałości.

I wykonywał elegancyi pełne zaciągi swoje wolniej niż zazwyczaj, mocniej niż zazwyczaj skręcał ciało swoje w umiejętnie węzły, a najtrudniejsze ćwiczenia przychodziły mu dziś bez wysiłku i naturalnie, najryzykowniejsze poruszenia prowadził w sposób pewny, równy, spokojny, jakby to była dziecinna rozrywka.

Dano mu raz lekkie, zachęcające brawo.

Po kilku efektowniejszych ewolucyach, wykonanych z klasycznym spokojem, bez najmniejszej błagi, w sposób, na jaki zdobyć się może tylko ten, co przeszedł doskonałą a mozolną szkołę, dano mu powtórne brawo—tym razem już ogólne, przeciągłe i dość huczne.

Wtedy wykonał najefektowniejszą i najtrudniejszą sztukę, która wymagała sił niezwyklej, i z którą rzadko się popisывał ponieważ go męczyła ogromnie: zawisł na trapezie, trzymając go w zgiętych kolanach, ręce w tył zarzucił, palcami za palce się

uchwycił i samym korpusem ciała, przy pomocy mięśni brzucha i lędźwi, zaczął zginać się unosząc do góry, coraz wyżej i wyżej, aż wreszcie, oparłszy głowę o trapez, ciągle bez pomocy najmniejszej rąk, oparłszy się mocno napiętymi mięskulami karku o pałak trapezu, puścił wolno całe ciało, wahając się w tę i ową stronę, zwieszony na tyle głowy.

Mniej obeznany ze sztuką akrobatyczną widz nie mógł ocenić dostatecznie trudności podobnego zwrotu; ale wtajemniczeni w umiejętność ekwilibrystyki wiedzieli, że było to zadanie, pomyslane przez szaleńca, a rozwiązane przez matematyka.

Znana zasada z psychologii tłumów powiada, że zbiorowisko ludzi jest zawsze głępsze od pojedynczo wziętych jednostek, tłum ten składających. Ale prawdą też jest i to, że czasem tłum może okazać się mądrzejszym od jednostek. To się zdarzyło teraz właśnie, kiedy jakiś instynkt podpowiedział zebranej publiczności to, czego żaden z jej pojedynczych członków sam-by nie odgadnął, mianowicie, iż to, co wykonał ten młody akrobata, było jakąś częścią zdobyczy, dokonanej przez ludzkość samą.

I cyrk zatrzęsł się od długich, grzmiących oklasków.

Baran uśmiechnął się szeroko otwartymi ustami, sklonił się i lekko spuścił się na ziemię po sznurze, pełen w duszy tego zadowolenia z siebie, które dla wielkich artystów jest najrzadszym i dla tego najcenniejszym z oklasków.

Kiedy dotkał stopami piasku areny, brawa jeszcze trwały.

Kłaniał się więc, zasłaniany przez błazeński kapelusz de la Rivière'a, wysuwającego się na pierwszy plan zawsze i wszędzie, w życiu i w cyrku.

XXXIII.

Cały sztuką swoją pochłonięty, nie mógł Baran zauważyć, że piękna Nina Pexio, siedząca w jednej z łóż bocznych, wstała gwałtownie, jak tylko Rick i Rock ukazali się publiczności, widocznie wzburzona czemś niezwyčajnem, że poszła szybkim krokiem przez korytarz i stanęła w przejściu, prowadzącym z areny do stajen.

Była poruszona bardzo, roztargniona niezwykle, nie odpowiadała wcale na skierowane do niej zapytania, i przez cały czas, gdy trwał

numer poświęcony popisom „Ricka i Rocka,“ z głową do góry podniesioną nie spuszczała z oczu Barana, wijącego się jak wąż wokoło trapezu.

Kiedy zaś Baran opuszczał arenę, Nina z radością niezmierną i wzruszeniem podskoczyła do niego, otworzyła swe wspaniałe ramiona, rysujące się pod obcisłą materją stanika, i uwiesiła się wokoło czerwonej, krwią nabiegłej i potem złanej szyi Barana.

— Lorenzo! Lorenzo! — wołała. — To ty! Ty! Lorenzo! Mój Lorenzo! Jak to dobrze! Jak to dobrze!

Baran stał osłupiały i nie umiejący ust otworzyć.

Nina wcale nie zwracała uwagi na jego zdziwienie i nieruchomość.

— Jesteś! jesteś! — wołała radośnie, jakby zamieniona przez wzruszenie w dziecko. — Mam cię nareszcie, mam! Mój drogi! mój miły Lorenzo! A ja już myślałam, że cię nigdy nie zobaczę. I nic się nie zmieniłeś, nie! Ale to nic.

Puściła go, rozplotła ramiona i odstaąpiła od niego o krok, aby go lepiej obejrzeć.

— Taki sam jesteś, taki sam.

I patrzyła mu w twarz oczami pełnemi szczęścia.

On stał przed nią i nic nie mówił.

— Ale dla czego ty mnie nie pocałowałeś — zawołała wreszcie zadziwiona. — Dla czego się ze mną nie witasz?

I nagle wydała okrzyk:

— A! on mnie nie poznał!

Zaczęła się do niego uśmiechać. Wzięła lekko jego ręce w swoje ręce:

— No powiedz, powiedz, kto ja jestem? No, kto? Jak mi na imię.

Baran stał ciągle nieruchomy, jak słup kamienny.

— Nie wiesz, prawda?! Nie wiesz, kto ja jestem. Ty mnie po raz pierwszy widzisz, co? Prawda? Ach! odezwij-że się.

I zaczęła się śmiać wesoło i swobodnie z akcentami jakiejś czułości w głosie; widocznie wcale jej to nie gniewało, że nie została poznana.

Baran zaś nic nie mógł sobie przypomnieć naprawdę. A jeżeli i w głowie jego pewne myśli uparciej od innych się przewijały, nie śmiał im zaufać, ani się na nie spuścić.

Stał więc — i nic.

Nina zawoła wreszcie:

— Pamiętasz Antonię?

— Antonię?..

— Tak, Antonię, małą Antonię, no, przypomnij sobie dobrze...

— Pamiętam—odpowiedział wreszcie.

— To ja jestem Antonia.

— Pani? Atonia?

— Ja, ja! Przypatrz mi się dobrze. Cóż? poznajesz?

— Antonia?

— Tak, mała Antonia.

— Antonia Samponini!

Odpowiedziała mu łagodnie:

— Nigdy się nie nazywałam Samponini. Nazwisko moje Pixio, Nina Pixio. Więc przypominasz sobie?

— Przypominam.

— Lorenzo, mój Lorenzo, mój dobry, mój złoty Lorenzo!

Pociągnęła go za rękę i poprowadziła za sobą, widząc, że choć w pewnej odległości, ale niedyskretnie przysłuchuje się im i obserwuje ich duże koło cyrkowego personelu.

— Chodź do mojej garderoby.

I prowadziła go za rękę, jakby małe dziecko.

— Więc nigdy-byś się nie domyślił, że to ja byłam.

— Nigdy.

— Zmieniłam się, co?

— Ba!

Przystanąła i, patrząc mu w oczy, szepnęła z zadowoleniem:

— Prawda, jaka ja jestem piękna?

— Ba!

— Nie to, co dawniej?

— O!

— Wiesz i teraz jest mi dobrze na świecie, zupełnie dobrze.

A tobie, czy dobrze jest na świecie?

— Dobrze.

— Powodzi ci się?

— Powodzi.

— Ty jesteś wielki artysta, Lorenzo. Ale poczekaj, teraz to nam będzie lepiej.

Jeszcze raz go obejrzała:

— A on się nic nie zmienił, nic.

Energicznym pchnięciem otworzyła drzwi od swej garderoby.

— Chodź!

XXXIV.

Był to mały pokoik, zaklejony cały kolorowemi afiszami, przedstawiającemi piękną amazonkę na koniu, z dużem lustrem stojącym o trzech skrzydłach, tualetą i niezliczoną mnogością powtykanych i przybitych jej fotografii w różnych pozach.

Nina podniosła światło gazu.

— Siadaj-że—rzekła.

Baran usiadł posłuszny na małym taboreciku.

Nina postawiła krzesło naprzeciwko niego, usiadła także, a oparłszy łokcie na kolanach rzekła, uspokojona już, ale ciągle bardzo rozradowana:

— Prawie mi się nie chce wierzyć, że cię odnalazła. Ile to ja razy z matką o tobie gadałam. Miałyśmy cię za straconego. A takżeśmy się dopytywały wszystkich o ciebie. Nie było takiego człowieka, co by zbliżywszy się domnie nie usłyszał: a nie znasz pan przypadkiem artysty nazwiskiem Lorenzo Zuccoli! I nikt mi nie mógł nic powiedzieć.

— Ja się nie nazywam Zuccoli.

— Prawda! Mówiłeś mi. Ale ja nie wiedziałam, jak ty się naprawdę nazywasz.... Ale, a jak ty się nazywasz.

— Baran.

— Baran—powtórzyła—czy dobrze?

— Dobrze.

— Baran. Baran. Bardzo ładne nazwisko; tak mile brzmi w uchu. Baran. Będę teraz pamiętała... Choć to już niepotrzebne. Żeby to ja dawniej wiedziała!

I zmieniła ton na pieszczotliwy.

— Lorenzo! mój Lorenzo! Taki samiutki jesteś, jakbym cię wczoraj widziała.

Zaczęła się uśmiechać.

— Ty mnie dobrze pamiętasz?

— Dobrze cię pamiętam.

— Taka chuda byłam, mała, mizerna, biedactwo. Prawda?

— Prawda.

Zerwała się z krzesła.

— Poczekaj! zaraz będziesz miał Antonię! w tej chwili.

I podała mu fotografię, jakąś starą, poźółką i brudną.

Była to mała Antonia istotnie, wprawdzie nie tak bardzo mała, ale chuda i mizerna, stojąca jedną nogą na drucie, z wyciągniętymi w górę rączynami, cienkimi jak patyki.

— Ładna? co?—zapytała.

Baran spojrział na Ninę, porównywując ją z Antonią i uśmiechnął się.

Ośmielił się już do niej.

— Nikt na mnie wtedy nie popatrzył—mówiła łagodnym głosem—nikt mnie nie bawił, nikt mną się nie zajmował. Ty jeden tylko, Lorenzo, rozmawiałeś ze mną i nie pozwoliłeś mi bić, i kupowałeś mi wszystko, co tylko chciałam. Pamiętam, wszystko mi kupowałeś, co mi tylko przez głowę przeszło. A ty pamiętasz?

Baran potwierdził gorąco:

— O! pamiętam!

— Potem wyjechałeś i miałaś wrócić za pół roku. A ja temu uwierzyłam. I tak na ciebie czekałam. Liczyłam miesiące, potem tygodnie i dni. Jak minęło pół roku, to jeszcze czekała. Aż w końcu taka się zrobiłam zła na ciebie, że bym cię poszarpała w kawałki z najzimniejszą krwią! O! i to bez żadnej litości! To dzieciństwo. Ale miło mi to sobie przypomnieć.

Spojrziała mu w oczy.

— Lorenzo! I on tu jest, siedzi i patrzy na mnie! Mój Boże! Powiedz mi Lorenzo, czy ty zawsze jesteś taki dobry, taki poczciwy? czyś ty się nie zmienił od tego czasu?

— Nic się nie zmieniłem—zapewnił ją Baran z przekonaniem.

— To dobrze! to dobrze!

Baran ośmielił się zupełnie.

— Więc ty już nie na drucie teraz.

Machnęła ręką.

— Od kiedy! Ale tyś mnie nie widział jeszcze na koniu?

— Nie.

— To dziś zobaczysz.

— Dobrze.

Po chwili zapytał:

— A Samponini?

Wzruszyła ramionami:

— Albo ja wiem!? Cóż on mnie obchodzić może?!

— Prawda? A pani Mariquitta?

— Moja matka? Jest przy mnie zawsze. Wspomina często o tobie. No, a przygotuj się teraz dobrze do tego, co ci nagada. Ja myślę, że musi być w cyrku.

W tej chwili zapukano delikatnie do drzwi garderoby.

— Entrez!—zawołała Nina głosem szorstkim, tak mało podobnym do tego, w jakim prowadziła rozmowę z Baranem.

Drzwi się uchyliły i wsunął się dyskretnie mężczyzna już wiekowy, choć jeszcze czerstwy i prosto się trzymający, o ruchach żwawych i pełnych dystynkcyi, należący widocznie do najlepszego towarzystwa; było w nim dużo powagi i pewna doza wdzięku; nos miał tylko za spiczasty i zbyt ku dołowi się ciągnący, ale duża, obfita, siwa broda, starannie uczesana i uperfumowana, nagradzała wszystko to, co mogło być nieforemne w tej dość pięknej na ogół twarzy.

Był to książę Kahlenstein-Rotherberger.

Zobaczywszy Ninę w kostiumie jeszcze spacerowym i siedzącego naprzeciw niej cyrkowca w trykotach i czarnej koszulce z jakimś błyszczącym na niej srebrnym potworem, doznał widocznego zdziwienia i jakby zmieszał się, choć usiłował nie dać tego po sobie poznać.

Nina podała mu rękę, którą książę z szacunkiem ucałował.

— Przedstawiam księciu—Lorenzo... Lorenzo... zaraz... Lorenzo Baran. Widzisz, żem sobie przypomniała. Książę Kahlenstein-Rotherberger.

Książę uprzejmie skłonił głową i spoglądał na niego jakby wychekując, aby Nina dodała do przedstawienia choć parę słów objaśnienia.

Nina bowiem nigdy nie przyjmowała cyrkowców w swojej garderobie i, choć popularna, pełna życzliwości, trzymała ich na pewnej odległości.

Książę o tem doskonale wiedział i dla tego zdziwiła go ta poufalskość.

Nina jednak nie zwracała na to zdziwienie żadnej uwagi.

Więc książę zwrócił się do niej:

— Pani jeszcze nie ubrana.

Nina z przestraczem zwróciła się do lustra:

— Zapomniałam na śmierć.

I otworzywszy drzwi zaczęła wołać na gaderobianę w kierunku nawpół ciemnego korytarza.

— Anie! Anie!

Potem położyła jedną rękę na plecach księcia drugą na ramieniu Lorenza:

— No teraz się wynoście, moi kochani, i poznajcie się z sobą. Zobaczysz zaraz Lorenzo, jak ja jeżdżę. A książę widział Lorenza na trapezie?

— W tej chwili przyjechałam.

— Skodał to wielki artysta.

— Wszak pan nie wyjeżdża?—zwrócił się książę do Barana.

— Nie.

— To łatwo mi przyjdzie powetować stratę i uznać słuszność opinii panny Antoniny.

Nina leciutko wypchnęła ich za drzwi:

— Poznacie się tymczasem z sobą.

Wpuściła Anie i zatrzasnęła drzwi.

— Pan pierwszy raz w Wiedniu?—pytał książę, napróżno usiłujący odgadnąć, jaką drogą ten młody chłopiec wszedł tak głęboko w łaski i poufałość Niny.

— Drugi raz tu jestem.

— A dawno pan był przedtem?

— Coś ze trzy lata...

— I podoba się panu nasze miasteczko?

— Bardzo mi się podoba.

Szli jeden obok drugiego po kurytarzu wolniutkiemi krokami:

— Nie jest brzydkie, nie prawdaż? bardzo ładne, jak powiadają, można się do niego przyzwyczaić. „Gemüthlich“, jak mówią. I ludność sympatyczna...

WINCENTY KOSIAKIEWICZ.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Bez węgla.

Brak węgla w chwili bieżącej uprzytomnił jasno, jak potężne znaczenie w czasach naszych posiadły czarne te bryły. Węgiel kamienny grzeje nas i dla nas pracuje, stanowi opał dla pieców i daje pokarm motorom parowym. Piły i młoty, pompy i prasy, wszystkie te olbrzymie i zawile maszyny w nieprzeliczonych ogniskach przemysłu, on to w ruchu utrzymuje, on im energii dostarcza. Pędzi parowozy po łąkach, a parostatki po rzekach i morzach, metale z rud wytapia; jest materiałem do wyrobu gazów oświetlającego, lub obraca skręty drutu, z których płyną potoki olśniewającego światła elektrycznego. Sam niepozorny, jest źródłem przepysznych barwników, wobec których zbladły dawne szkarłaty i błękity; cokolwiek nam technika dzisiejsza daje, w ostatnim rzędzie na węglu polega, jakby na gruncie z węgla złożonym wyrasta.

Ktokolwiek widział tłumy, cisnące się długim sznurem do składów miejskich, wyczekujące godzinami i dniami całymi na węgiel,

z upragnieniem takim, jakby to szło o chleb i wodę, temu łatwo błyskały w myśli wszystkie te zalety, cała ta chwala czarnego opału, ale też zarazem migotało i pytanie, jak też poradzi sobie człowiek, gdy już wyczerpie zasoby, w ziemi złożone, które dziś tak usilnie i tak nieopatrnie wydobywa, gdy nie stanie już węgla, który teraz tak szczerdrem jest dobrodziejstwem, gdy nie będzie już w mocy żadnej władzy ludzkiej cenę jego obniżyć i dowóz nakazać.

Zapewne, zanim to się stanie, nas już nie będzie i pokolenia po nas przejdą; chociaż wszakże nie ma wartości ekonomicznej, pytanie to przedstawia pewne znaczenie naukowe i nastęrcza się każdemu, kto przyszłe losy ludzkości rozważa i o nich marzy. Odpowiedzi gotowej nauka dzisiejsza nie posiada jeszcze, ale pojmuje i przewiduje kierunki, jakimi rozwój dalszy posuwać się musi.

I.

Różnpostaciowością swoją, od uprzykrzonej sadzy aż do połyskującego ogniem dyamentu, osobliwem ciałem jest węgiel, a uderza nas bardziej jeszcze, jako podstawa materialna wszelkiego życia na ziemi. Z węgla, ze związków jego, buduje się ciało roślin i zwierząt, wszelkie materiały pochodzenia organicznego zawierają węgiel, jako najistotniejszą swą część składową; cała chemia organiczna jest to po prostu chemia związków węgla. Z rozkładu istot organicznych, z drzewa, kości, otrzymujemy węgiel, i łatwo nastęrcza się domysł, że wszystkie węgiel ziemski jest pochodzenia organicznego, dyament tylko, tak od innych form jego odrębny, wątpliwość naszą budzi.

Z silnego załamywania się promieni światła wniósł już Newton, że dyament, który wówczas uważano za pewną odmianę kryształu górnego, musi być materiałem palnym, a przypuszczenie to stwierdzono, gdy spłonął on rzeczywiście w ognisku zwierciadła wklęsłego, skupiającego w jednym punkcie wiązkę promieni słonecznych. Później dopiero, w roku 1773, przekonał się Lavoisier, że ze spalania tego, jak przez spalenie węgla zwykłego lub grafitu, powstaje kwas węglany, a stąd, i z kilku prób innych, wniósł wreszcie Scheele w roku 1779, że dyament jest to istotny węgiel, od pospolitej jego amorficznej, bezkształtnej postaci wyróżniający się formą krystaliczną. Jak wszakże zdołał on wykrystalizować w łonie natury i przeobrazić się

w bryłę geometryczną. pozostało to aż do ostatnich czasów zagadką, w pracowniach bowiem naukowych nie umiano węgla ani w najpotężniejszym żarze roztopić, ani nie znano cieczy, która-by była dlań rozczynnikiem i rozpuścić go mogła. Analiza jednak spektralna wykazała obecność związków węglowych w ciałach niebieskich, w kometach w szczególności, a gdy jeszcze w kilku aerolitach znaleziono drobne okruchy twardego, skryształizowanego węgla, dozwoliło to podpatrzyć warsztaty, na których przyroda dyamenty wykuła; domyślono się, że do wytworzenia ich użyła potężnego żaru i olbrzymiego ciśnienia. W warunkach też podobnych zdolal Hannay w Glasgowie otrzymać po raz pierwszy sztuczne dyamenty w roku 1880, a z większem powodzeniem dokonał tego Moissan w Paryżu, poddając węgiel, zawarty w surowcu żelaznym, znacznemu ciśnieniu i bardzo wysokiej temperaturze pieca elektrycznego, sięgającej około 4.000°. Sztuczne te dyamenty, tak mozolnie zdobyte, nie dorastają wprawdzie wymiarów jakiegoś Kohinoora, Wielkiego Mogola lub Regenta, nie zagrażają nawet cenom zwykłych brylantów jubilerskich, są to bowiem drobne zaledwie kryształki, wielkości mikroskopowej, zbliżone do odmiany, zwanej karbonado, ale stanowią niewątpliwy tryumf mineralogii dzisiejszej, która nie zadawała się już opisem tylko kamieni, ale śledzi drogi, na jakich powstały w naturze, i usiłuje sztucznie je wytwarzać.

Wzmianka o dyamencie zabiła nas wszakże z toru, nie o tych bowiem błyskotliwych kryształach, ale o bezkształtnych czarnych dyamentach, o węglu kamiennym mówić mieliśmy. Przechodząc więc do tej rzeczy, gdy zapytamy, jak pokłady węgla kamiennego w ziemi powstały, skąd się wzięły, odpowiedź trudności nie następuje, oddawna już bowiem wiadomo, że pochodzą one z organizmów roślinnych, które przez długi okres czasu poddane były procesowi powolnego zwęglania pod osłoną, tamującą przebieg swobodny tego procesu. Rośliny, na suchym gruncie żyjące, mijają w ogólności bez pozostałości widocznych; liść, który z drzewa spada, ulega rozkładowi doszczętnemu, przechodzi w substancję lotną i niknie dla oka zupełnie. Gdy wszakże rośliny dostają się pod wodę, gdy są odgródzone od swobodnej z atmosferą łączności, utrzymują się po nich szczątki węglowe, które zachowują ślady postaci i budowy roślinnej; z roślin, wyrastających na bagnach, rozwijają się torfowiska, dla oczu naszych widocznie. Że podobny związek zachodzi między węglem kamiennym a roślinami, wiedział to już Scheuchzer na początku wieku XVIII, a późniejsze badania chemiczne włókien drzewnych, torfu, węgla brunatnego, węgla kamiennego i antracytu, wykazały, że ciała te pozostają między sobą w łączności bezpośredniej i rozwijają się kolejno jedno z dru-

giego przez przeobrażanie stopniowe; ogniwa pierwsze tego szeregu są to ciała, ubogie stosunkowo w węgiel, a obfitujące w tlen i wodór; przy dokonywającym się wszakże procesie butwienia, gnicia, gdy wytwarzają się i uchodzą związki lotne, substancya traci więcej tlenu i wodoru, aniżeli węgla, na każdym tedy dalszym stopniu tego łańcucha napotykamy materiał coraz w węgiel zasobniejszy, a w coraz słabszym stosunku zawierający inne pierwiastki składowe. Włókna drzewne posiadają w składzie swoim średnio 50 odsetek węgla, torf 59, węgiel brunatny 69, węgiel kamienny 82, a antracyt, który jest ogniwem ostatniem, składa się już wyłącznie prawie z węgla, zawiera go bowiem 95 odsetek, a po 2 $\frac{1}{2}$ tylko odsetki tlenu i wodoru.

Podobnie więc, jak drzewo, i węgiel kamienny w istocie rzeczy nie jest jeszcze węglem, jeżeli przez wyraz ten rozumieć będziemy pierwiastek chemiczny, dla którego w języku polskim nie przyjęto oddzielnej nazwy, proponowany bowiem „węglik“ nie okazał się terminem dogodnym. Pod wpływem temperatury podwyższonej proces ten zwęglania substancyi roślinnej przyspiesza się, i można go łatwo przeprowadzić doświadczalnie, jeżeli drzewo ogrzewamy bez dostępu powietrza, w tym bowiem ostatnim razie spłonie szybko, jak to się dzieje w warunkach zwykłych. Napływ powietrza usunąć można, umieszczając drzewo w walcu zamkniętym, a w tym razie w temperaturze 200°—280° otrzymujemy tylko zwykły węgiel drzewny, gdy jednak żar podsycimy wyżej, do 300°, powstaje bryła, do węgla kamiennego zbliżona, która przy 400° staje się do antracenu podobna. Uchodzące gazy, prócz kwasu węglanego czyli dwutlenku węgla, składają się głównie z palnych węglowodorów, związków węgla z wodorem, których mieszanina daje gaz oświetlający. Też same związki lotne wyrwywają się w kopalniach węgla kamiennego, i pomieszane z powietrzem tworzą gazy piorunujące, które przy zapaleniu sprowadzają nagle wybuchy, tak groźne dla górników, i dziś jeszcze, pomimo lamp bezpieczeństwa, tyle ofiar powodujące.

W różnych pokładach skorupy ziemskiej węgiel rozkłada się zgodnie z opowiedzianym przebiegiem stopniowego zwęglania ciał roślinnych. Węgiel kamienny jest to w ogólności utwór starszy, aniżeli węgiel brunatny, a znów antracyt góruje nad nim wiekiem. Szczegółne jednak okoliczności, przyspieszając, lub opóźniając proces zwęglania, mogły łańcuch ten w wielu miejscach wywracać. Tak, gdzie węgiel brunatny znalazł się w zetknięciu ze skałą wybuchową, ogniową, jakby z lawą wulkanów dzisiejszych, tam, pod wpływem podwyższonej temperatury, szybko przeobraził się w węgiel kamienny, w antracyt nawet; gdzieindziej podobneż działanie przyspieszające wywrzeć mógł kwas siarczany, który w pewnych warunkach powstaje ze skał, siar-

kę zawierających. Tam natomiast, gdzie pokłady dawne nie zostały szybko pokryte przez warstwy nowsze, zawarte w nich szczątki roślinne uchroniły się od nadmiernego ciśnienia, a dla braku tej głównej podniety pozostały na niższym stopniu zwęglenia, tworząc dziś węgiel brunatny, gdy współczesne im drzewa dawno dalszemu przeobrażeniu uległy. Według tego też gniazda węgla kamiennego napotyka się w różnych pokładach skorupy ziemskiej, w różnych formacjach, przedewszystkiem wszakże obfitością jego zaleca się jedna formacja tak dalece, że uzyskała stąd nawet nazwę formacji węgla kamiennego, formacji węglowej. Są to utwory stare bardzo, pod względem geologicznym nawet dawne, sąsiadujące blisko z pierwotnymi skałami ogniwymi skorupy ziemskiej, a przynajmniej z pierwszemi pokładami osadowemi, które pod wpływem tego żaru uległy przeobrażeniu i charakter skał ogniwych przybrały.

Jakkolwiek jednak nazwę formacji węglowej posiada, nie jest bynajmniej z samego jedynie tylko węgla zbudowana; owszem, wśród potężnych jej piaskowców, wapieni, margli, łupków gliniastych i krzemionkowych, warstwy węgla kamiennego podrzędne zaledwie jej ogniwo stanowią, skąpe pasma między pokładami skalistemi. Widocznie, życie roślinne, którego ślady w tym węglu przetrwały, nie ciągnęło się bez wstrząśnień; lądy obniżały się wielokrotnie, a morze zalewało rozległe wybrzeża i osadami swemi pokrywało dawną jego powierzchnię, by znów ustąpić, gdy ląd w tym wiekowym swym ruchu wahadłowym w górę wyzierał. I dziś przecież jeszcze widoczne są na brzegach morskich te kołysania się lądu, kolejne jego zwycięstwa i klęski w walce z wodą oceanów. Pod ciężką osłoną nowych warstw skorupy ziemskiej zamierały dawne lasy, butwiały, traciły swe części składowe, zbijały się w czarne bryły węglowe.

Tu i owdzie wśród jednolitej już masy czarnej przechował się jeszcze pień stary, niezbyt zmieniony; na skałach znalazł się odcisk liścia, gałęzi, wybity na miękkim, plastycznym pierwotnie nasypie osadów; mikroskop dozwolił rozejrzeć misterną budowę tkanek tych roślin zaginionych, a rozbiory chemiczne skład ich ujawniły, zestawiły różnice i podobieństwa. Na podstawie takich badań, długich i mozolnych, zdołał geolog odtworzyć cały ten zamierzehły świat roślinny, a w rysunkach Ungra z roku 1847 i Potoniego z roku 1899 ożyła przed nami odwieczna flora okresu węglowego. Były to przeważnie paprocie, skrzypy, widłaki drzewiaste, które teraz skarłałe tylko pozostawiły potomstwo, kordaity, dzisiejszym drzewom iglastym pokrewne, lepidodendry, łuskami liściastymi pokryte, sigillarye, w których dopatrzono się podobieństwa do olbrzymich pieczęci, i inne jeszcze, zgoła wymarłe rodzaje i rodziny. Nie były to też bynajmniej

drzewa rozłożyste, rozpościerające szeroko konary swe, jak w lasach dzisiejszych, zadawały się widlastym rozdziałem swych pni i gałęzi, co wybitną cechę tej starej flory czyni. Warunki atmosferyczne, które trudno teraz określić, bardziej, aniżeli w którymkolwiek późniejszym okresie geologicznym, sprzyjać musiały rozwojowi życia roślinnego; klimat miał prawdopodobnie charakter zwrotnikowy, powietrze przejęte było wilgocią, kwas węglany może nieco obfitszy, grunt bagnisty. Wynika to z natury roślin ówczesnych, z rozpościerania się ich korzeni. W ogólności też jest węgiel kamienny pochodzenia miejscowego, autochtonicznego, co znaczy, że powstał z roślin, które na temże miejscu żyły i zamierały; wyjątkowo tylko niektóre gniazda węglowe wykazują, że wzięły początek allochtoniczny, czyli powstały z materiału roślinnego, znieśionego ze stron obcych przez prądy rzeczne i złożonego u ich ujścia do morza, jak to i teraz widzimy w różnych okolicach ziemi.

Ciszy posępnych tych i monotonnych lasów nie przerywał nigdy ryk czworonogów drapieżnych, świergot ptaków nie rozweselał. Świat zwierzęcy nie wzbil się jeszcze ponad niższe swe szczeble; żyły mięczaki, raki, owady, ale ze zwierząt kręgowych ukazały się na lądzie zaledwie niektóre płazy, a w morzach przebywały rekiny.

W bagniste podłoże swoje pnie zapadały z wolna, bu wiały i tworzyły czarnoziem, na którym nowe pokolenia warunki sprzyjające dla rozwoju swego znajdowały; na rumowiskach zamierającego życia roślinnego nowe zakwitało, jak i teraz jeszcze w swampach, czyli bagniskach Ameryki północnej, nowa roślinność drzewna na storfiałych zgliszczach dawnej bezpośrednio wyrasta. I tak wiodło ciągle pasmo życia jedno pokolenie leśne po drugiem, dopóki go nie przerwał zalew morza i osadami swemi nie przytłumił. W wykopaliskach potrafi nawet teraz geolog odczytać, ile razy powtarzała się przerwa taka, znajduje bowiem kolejne następstwa warstw węglowych i skal osadowych; porządek ten psują wprawdzie przewroty, jakim powierzchnia ziemi ulegała, fałdowania jej, załamania, przeskoki pokładów, następstwa powolnego zastygania wnętrza ziemi i marszczenia się jej skorupy; pomimo to w różnych miejscowościach naliczono po kilkanaście i kilkadziesiąt nawet horyzontów węglowych. Na wybrzeżu zachodniem Nowej Szkocji, w łańcuchu pokładów, obejmujących razem 4,300 metrów, naliczono nie mniej, nad 76 kolejnych takich ogniw.

Jak długo wszakże trwał cały ten ustęp dziejów ziemi, okres węglowy w historii jej rozwoju, na to pytanie trudno dać odpowiedź, choćby ogólnikową i jak najslabiej przybliżoną. Ilość materiału drzewnego, zużytego na wytworzenie cienkiej warstwy węgla kamien-

nego, oceniano dawniej przesadnie, a stąd też i przeciąg czasu do wytworzenia zasobu węgla w łonie ziemi wydawał się niewypowidzianie długim. Według dochodzeń nowszych, pierwotny materiał roślinny, skoro przechodzi w węgiel kamienny, ściąga objętość swoją do $\frac{1}{8}$ części, a do $\frac{1}{12}$, gdy już w przeobrażeniu ostatecznym zamienia się na antracyt. Pewien geolog angielski zapragnął rachunek dalej doprowadzić, gdy ze spostrzeżeń swych wniósł, że na hektarze gruntu, pokrytego bujną roślinnością, zarówno w drzewach, jak i ziołach, wytwarza się rocznie 2,500 kilogramów, co daje 250,000 w ciągu stu lat. Ilość ta substancji roślinnych, ściśnięta do zbitości węgla kamiennego i rozpostarta również na polu jednego hektara, ma dawać grubość około jednego centymetra na stulecie. W Johnstown różne warstwy węgla mają razem grubość 5.25 metra, według zatem oceny powyższej na to wytworzenie ich trzeba było 52,500 lat. Oddzielne wszakże pasma węglowe w Johnstown wtrącone są między pokłady piasku, skał, łupków, żwiru, tak, że stanowią zaledwie część ich trzydziestą, a jeżeli powyższy okres, 52,500 lat, pomnożymy przez 30, daje to wreszcie przeciąg czasu 1,575,000 lat. Rachunek taki, zapewne, zadowolnić nas nie może. — historia geologiczna ziemi nie zdołała dotąd chronologii swej wypisać.

Jakkolwiek jednak długo trwało to gromadzenie się zasobów węgla w łonie ziemi, dłuższy jeszcze upłynął ciąg czasów, zanim zjawił się człowiek, który uznał się panem wszystkich jej bogactw i skarbów, chociaż i ten król stworzenia z wolna zaledwie i stopniowo korzystać z nich się uczył. W tych okolicach błogosławionych, jakby wybranych i umiłowanych przez prz. rodę, gdzie cywilizacja po raz pierwszy zakwitła, w krajach, rozłożonych dokoła morza Środkowego, potrzeba opału nie była tak dotkliwa, by go aż pod ziemią szukać przychodziło; nie znajdujemy też z czasów starożytnych żadnej wzmianki, by co o węglu kopalnym wiedziano. Dopiero, gdy kultura dalej się na Północ przeniosła, mieszkańiec tych stron szukać musiał skuteczniejszych środków ochronnych przeciw nieprzyjazni klimatu, a w Anglii poznano najwcześniej, że węgiel, z ziemi dobywany, daje się, jak drzewo, użyć na opał. Nieraz wprawdzie czarne te bryły wydawały się wytworem szatańskim, a korzystanie z nich groziło potępieniem, i pod groźnemi karami wzbraniane było, pomimo to jednak już w wieku XI kowale z Sheffield i Wearmouth czynsz węglowy opłacali. Dopóki zresztą szło o opał jedynie, starczyły lasy, których zagłady długo jeszcze nie przewidywano; wartość węgla oceniono dopiero, gdy potęgę ognia człowiek silniej pokonał i do pracy go znievolił. Stało się to za pośrednictwem maszyny parowej.

II.

Kto pierwszy maszynę parową wynalazł, tego powiedzieć niepodobna, rozwijała się bowiem powoli z zarodków bardzo drobnych, niedostrzegalnych niemal; jest summą pomysłów i ulepszeń, które się na nią w ciągu długiego czasu składały. Z czasów starożytnych pozostał jeden tylko przyrząd, na działaniu pary polegający, a mianowicie eolipila Herona Aleksandryjczyka, z drugiego wieku przed Chrystusem; była to wprawdzie tylko kula, przez wytrysk pary w obrót wirówy wprawiana, ale ma zasługę, że zwróciła uwagę na potęgę, w prężności pary ukrytą. W osobliwy sposób z potęgi tej skorzystać miał Anthemios, budowniczy kościoła świętej Zofii w Konstantynopolu, żyjący w VI stuleciu po Chrystusie. Rozgniewany na sąsiada swego, Rzymianina Zenona, umieścił w piwnicy kocioł, i wywiązującą się stąd parę przeprowadził rurami do domu Zenona, czem tak gwałtowne spowodował wstrząśnienie, że ten wybiegł przerażony, sądząc, że dom jego zapada się skutkiem trzęsienia ziemi. Stara ta anegdota świadczy, że potęga pary budziła wtedy przestach raczej, aniżeli pragnienie pokonania jej i zmagania do usług. Usiłowania takie poczynają się dopiero od wieku XVI.

Z lat dziecińczych utkwil mi w pamięci drzeworyt w starym roczniku ilustrowanego „Magazynu powszechnego“, wydawanego w Warszawie przed rokiem 1840. Rysunek przedstawiał waryata, osadzonego za kratą, i rozprawiającego gwałtownie z wytwornie ubranym panem, który dom waryatów zwiedzał. Według artykułu objaśniającego, nieszczęśliwym więźniem w klatce był Salomon de Caus, inżynier, zmarły około roku 1630, wtrącony za kratę przez kardynała Richelieu, któremu naprzykrzał się swem odkryciem, że za pomocą pary może kraj wzbogacić; rozmawiający zaś z nim jegomość przedstawiał margrabiego Worcester, któremu wywody szaleńca nie wydały się tak niedorzeczne, a gdy go wysłuchał cierpliwie, po powrocie do Anglii, według jego pomysłu, zbudował pierwszą maszynę parową, i tym sposobem wydarł Francji chwałę jej wynaleźnienia.

Znacznie później dowiedziałem się, że cała ta historia była wietrutnem kłamstwem, powtórzonem wraz z przerażającym obrazkiem przez „Magazyn powszechny“ z pisma francuskiego: „Musée des familles“. Była to po prostu bajka, skomponowana przez literata, Henryka Berthoud, któremu redaktor zlecił napisanie artykułu do goto-

wego już drzeworytu. Do kłamstwa tego Berthoud sam się przyznał w roku 1850. bajka ta jednak obiegała całą Europę i przyjętą została z dobrą wiarą, tak, że teraz jeszcze często przytacza się Salomona de Caus, jako istotnego wynalazcę maszyny parowej.

Ten Salomon de Caus był zresztą niewątpliwie dobrym inżynierem, a w jednym z dzieł swoich, traktując o wodotryskach, wspomina, że do podnoszenia wody można też użyć i siły ognia. Wzmiankę tę uznał Arago za pierwszy pomysł maszyny parowej, by chwałę jej zapoczątkowania zapewnić Francji, a rozgłos nadała temu kłamliwa bajka dziennikarska.

Markiz Worcester, o którym w bajce tej mowa, ogłosił w roku 1563 spis całej setki swych wynalazków, przeważnie rzekomych i fantastycznych, a między niemi przytacza maszynę, która działaniem ognia dźwigać miała wodę do dowolnej wysokości. O ile z niejasnego opisu sądzić można, para działała na wodę bezpośrednio ciśnieniem swoim i wtłaczała ją w rurę, a podobna zupełnie była i maszyna Tomasza Saverego, której model przedstawił wynalazca w roku 1608 Towarzystwu królewskiemu w Londynie. Wszystkie wszakże tego rodzaju proste urządzenia wartości praktycznej posiadać nie mogły.

Znacznie lepiej w tymże samym czasie, w końcu wieku XVII, zadanie to rozwiązał Dyonizy Papin, który przez zniesienie edyktu nantejskiego opuścić musiał Francję, i jako profesor przebywał w Marburgu. Maszyny Worcestera i Saverego były to po prostu stare i dobrze znane banie Herona, w których jedynie ciśnienie powietrza zgęszczonego działaniem pary zastąpione było; Papin zaś wprowadził pośrednictwo ruchomego tłoka i tem dał początek dzisiejszej formie motorów parowych. Tłok ten, osadzony w naczyniu walcowem, posuwał się w górę, gdy pod nim wywiązywała się para przez ogrzanie wody, zawartej w dolnej części walca; skoro walec doznawał ochłodzenia, para ulegała skropleniu, a tłok opadał pod naciskiem powietrza zewnętrznego. Kolejne wszakże ogrzewanie i chłodzenie walca wymagało długiego czasu, tak, że w drobnym już modelu przesunięcie tłoka w górę i na dół trwało przeszło minutę, a wynalazca nie próbował nawet maszyny swej w większych zbudować wymiarach.

O tych jednak doświadczeniach Papina wiedzieli zapewne Anglicy, Newcomen i Cawley z Dartmouth, którzy we dwanaście lat później pomysł jego rozwinęli i do praktycznego celu dowiedli. Ulepszenie, przez nich wprowadzone, na tem polegało, że nie wytwarzali pary tuż pod tłokiem, ale w oddzielnym kotle, skąd rurą do walca dopływała. W ten sposób para mogła się skraplać prędzej, a bieg tłoka tak się przyspieszył, że maszyna Newcomena i Cawleya, zbudowana

w roku 1712 dała się już użyć praktycznie do poruszania pomp, usuwających wodę z kopalni.

Bez istotnych zmian i ulepszeń, pierwotne te maszyny przetrwały pół stulecia, nie znajdując zgoła zastosowania poza kopalniami. W samej rzeczy, zużywały tak znaczną ilość węgla, że z korzyścią pracować mogły jedynie tam, gdzie węgiel na miejscu był dobywany, i stąd niską miał cenę. Dalsze rozprzestrzenienie zyskała maszyna parowa dopiero po udoskonaleniach, jakie do niej wprowadził James Watt. Pracując, jako mechanik gabinetu fizycznego uniwersytetu w Glasgowie, otrzymał do naprawy model maszyny Newcomena, a przytem uderzył go niedoleżny sposób skraplania pary w walcu. Jak widzieliśmy, w maszynach Newcomena para nie wywiązywała się już w samym walcu, ale dopływała do niego z kotła, chwilowo z nim połączonego, skraplanie jej wszakże następowało w samym jeszcze walcu przez wtryskiwanie zimnej wody. To właśnie usunął Watt, skoro zrozumiał, że skraplanie pary również dokonywać się może zewnątrz walca, jeżeli na krótką chwilę połączy się rurą z przestrzenią zimną, czyli z oziębialnikiem. Przy urządzeniu takim nie trzeba już było wnętrza walca ochładzać za każdym posunięciem tłoka, a tem samem nie trzeba go też było wciąż rozgrzewać, co spowodowało znaczną oszczędność materiału opałowego. Patent, na wynalazek ten otrzymany, wyzyskał Watt wraz ze współnikiem swym, Boultonem, w ten sposób, że od posiadaczy nowych maszyn żądał, by mu wypłacali trzecią część zysku, wynikającego ze zmniejszenia ilości spalonego węgla, a to z jednej tylko kopalni, gdzie trzy takie maszyny pracowały, dawało im rocznie 4.800 funtów szterlingów dochodu.

Watt nie poprzestał na tem jednym tylko udoskonaleniu maszyny parowej, ale obdarzył ją tylu jeszcze innemi ulepszeniami, że ściślej, aniżeli ktokolwiekbydź inny, nazwisko swoje z historią jej wynalazku powiązał. Wydobyła się z kopalni i zaczęła służyć wszelkim gałęziom przemysłu. W trzydzieści lat później, w początkach wieku XIX-go, okazała się przydatną jako motor statków wodnych, a po dalszych jeszcze latach dwudziestu, gdy zbudowano maszyny o wysokiem ciśnieniu, obywające się bez oziębialników, dała się zaprzędz i do wozów lądowych. Maszyna parowa stała się przodowniczką przemysłu, pod jej technieniem z drobnych zarodków rozrósł się do potęgi olbrzymiej, świst lokomotywy zasyczał w najdalszych zakątkach ziemi.

Ale w pracy niezmordowana, skinieniu człowieka posłuszna, miała maszyna parowa i głód nienasycony; im więcej od niej wymagano, tem obficiej trzeba ją było zasilać. Pomimo wszelkich udoskonażeń, jest ona bardzo jeszcze marnotrawna, wyzyskać umie pożytecznie zaledwie kilkanaście odsetek ilości ciepła, jaką zużywa. Gdzie drzewem

lasów opalać ją chciano. tam wyczerpywały się rychło. czarny jedynie węgiel. z łona ziemi dobywany, stał się dla niej pokarmem odpowiednim. Wraz też z rozwojem maszyny parowej, z rozprzestrzenianiem się jej po ziemi. wzmagala się i produkcya kopalni węgla. Gdy w początku w. XVIII dobywano w Anglii rocznie 2.5 mil. tonn (po 1.000 kilogramów). ilość ta wzrosła w roku 1800 do 10 milionów, w 1845 do 35. w 1860 do 85. w 1880 do 147, a w 1890 przekroczyła 180 milionów tonn. W Niemczech jeszcze w roku 1860 produkcya roczna nieznacznie przewyższała 12 milionów tonn. a w roku 1890 dosięgła 90 milionów. U nas. w zagłębiu Dąbrowskiem, do roku 1870 dobywano zaledwie 200 tysięcy tonn (2 miliony korecy) rocznie. w roku 1890 produkcya wzrosła do 2 i pół miliona. w roku 1898 przewyższyła 4 miliony tonn. W ogólności w całej Europie wydobyto w 1890 roku 355.809. w innych częściach świata 158.310. a razem na całej ziemi 504.119 milionów tonn węgla kamiennego.

Bądźmy jednak sprawiedliwi. Nie wszystek ten zasób pożera machina parowa. Znaczną część węgla zużywa hutnictwo, wytapianie metali z rud. chociaż znów przemysł ten rozwinął się za jej sprawą dopiero; nie mniej zapewne idzie na ogrzewanie mieszkań. a wreszcie węgiel nie jest tylko dostawcą pracy i ciepła, ale dostarcza nadto i gazu oświetlającego. W Anglii maszyny parowe we wszelkiego rodzaju fabrykach zużywają 24 odsetki. produkcya i przeróbka surowca żelaznego 16.5. żegluga 8.5. koleje żelazne 4. wyrób gazu 6. opalenie mieszkań 17.5 odsetek węgla wyprodukowanego, reszta schodzi na wywóz i na potrzeby podrzędniejszego znaczenia.

Najszybszy przyrost spotrzebowania obciąża komunikację lądową i wodną, natomiast wydatek węgla na produkcję żelaza i innych metali znacznie się zmniejszył od roku 1870, a oszczędność ta świadczy dobrze o postępach, jakim w ostatnich czasach uległa metalurgia.

Przerażony tak nieopatrznie szafowaniem węgla, który jest podstawą całego bogactwa i całej potęgi Wielkiej Brytanii, parlament angielski już w roku 1866 wyznaczył kommissyę do zbadania, na jaki jeszcze przeciąg czasu skarby te starczyć mogą. Po starannych poszukiwaniach kommissya ta ogólną ilość węgla, przydatnego do eksploatacyi, we wszystkich kopalniach angielskich oceniła na 150,000 milionów tonn. Gdyby więc spotrzebowanie węgla utrzymało się w wysokości dzisiejszej, zasób, dotąd w podziemiach Anglii złożony, starczył-by dla niej jeszcze na jaki lat tysiąc; jeżeli wszakże wzrastać będzie i nadal w stosunku takim, jak obecnie, kopalnie angielskie ulegną wyczerpaniu już po 250 latach.

Podobny rachunek przeprowadzono i dla zagłębia węglowego w Królestwie Polskiem ¹⁾. Zapas węgla w naszych kopalniach obejmuje około 1,707 milionów ton; produkcya w ostatnich latach wzrosła do 4 milionów ton rocznie, gdyby więc nie wznagała się wyżej, służył-by potomkom naszym na 400 lat jeszcze; dla Anglii nie starczył-by na jedno dziesięciolecie nawet.

Obliczenia te, zapewne, są przybliżone zaledwie, nieścisle; w różnych okolicach ziemi są kopalnie dopiero tknięte, w wielu miejscach istnieją pokłady ukryte, nieznanne. W każdym razie wszakże zasób węgla w podziemiach jest ograniczony i skromnie wymierzony względnie do potrzeb człowieka. Przeciąg czasu, na jaki starczyć może, obejmuje nie tysiące, ale stulecia zaledwie, okres krótki nawet w stosunku do niedługich dziejów człowieka historycznego. Jak nieopatrny spadkobierca, któremu bogate dziedzictwo przypadło, trwoni człowiek dzisiejszy sowiłą spuściznę wieków minionych; jakżeż poradzi sobie potomność nasza, czem zastąpi brak węgla, gdy, jakby grosz ostatni z kalety, ostatni jego okrucz z ziemi dobędzie, gdzie znajdzie nowe źródło energii, — ciepła i pracy?

III.

Płonna — mówią nam — obawa, nie stanie węgla, będzie elektryczność. Już teraz przecież, jako potężna rywalka pary występuje, berło jej wydziera, po wieku pary, wiek elektryczności nadchodzi. Puste złudzenie. Elektryczność nie jest energią, nie daje jej źródła, jest pośredniczką tylko; nie przybyła, by węgiel zastąpić, wzmogła raczej jego zapotrzebowanie. Gdzie warczy machina dynamoelektryczna, tam poza nią rozlega się łoskot maszyny parowej i wznoszą się kłęby dymu. Gdzie olśniewa nas światło elektryczne, gdzie wozy elektryczne biegną, tam też płonie węgiel, odnajdujemy toż samo źródło energii, które i nam dotąd służyło; wracamy do tegoż samego początku i znowu dostrzegamy tenże sam gład czarny. Jeżeli go więc zastąpić mamy, należy rozpatrzyć, skąd wziął on swą moc osobliwą, jak zrodziła się złożona w nim potęga.

¹⁾ B. Jasiński: „Nasze kopalnictwo węglowe“, Wszechświat, 1888.

Jest to dziś dla nas rzecz dobrze zrozumiała. Gdy zakrzepły i osiadły pierwsze pokłady skorupy ziemskiej, warstwy węgla nie mieściły się w nich jeszcze; poznaliśmy je, jako pozostałości lasów przedwiecznych. Drzewa te żyły, wzrastały, brały swój pokarm z powietrza, zdobywały węgiel, jako materiał na budowę swych tkanek. Węgiel unosił się w powietrzu w stanie lotnym, związany z tlenem, jako kwas węglany; aby go zdobyć, aby go sobie przyswoić, musiały stare te drzewa rozrywać cząsteczki kwasu węglanego, rozbijać je na atomy węgla i tlenu; dokonywało się w nich rozłączenie chemiczne, substancje silniej utlenione przechodziły w związki o niższym stopniu utlenienia. Takie wszakże rozrywanie związku chemicznego wymagało nakładu energii, rozdzielanie atomów, w jedną cząsteczkę związanych, dokonywać się mogło jedynie kosztem na ten cel wyłożonej pracy. Źródło zaś tej pracy czerpały stare te drzewa z ciepła, nadsyłanego ziemi przez słońce, chwytaly żywą, promienistą energię słońca i składały ją w wytwarzanych przez siebie substancjach w formie rozłączenia chemicznego, a wszystek jej zasób przechowywał się nagromadzony w podziemiach dzisiejszych, jakby uśpiony, ale każdej chwili do rozbudzenia gotowy, jak w kamieniu wysoko na podporze umieszczonym energia dana mu przez pracę, która go w górę wzniosła, ujawnia się natychmiast w działaniu, skoro zaporą usuniętą zostanie.

Jakby pamięć dawnego związku z tlenem uttrzymała się w nim ta energia przygotowana, jako jego powinowactwo chemiczne, które występuje czynnie, skoro następują warunki ponownemu łączeniu z tlenem sprzyjające. Gdy kilogram węgla płonie, wytwarza się też sama ilość ciepła, jaką niegdyś promieniom słonecznym zabrala jakaś paproć drzewiasta, by z kwasu węglanego oswobodzić kilogram węgla na budowę swych tkanek. Odnajdujemy energię, która w postaci promieni słonecznych zbiegła do ziemi w epoce geologicznie nawet już zamierzchłej. To nam też tłumaczy, dlaczego żaden inny materiał, żadna inna część składowa skorupy ziemskiej do współzawodnictwa z węglem stanąć nie może, są to bowiem w ogólności substancje z tlenem związane, energii chemicznej pozbawione. Jak niegdyś o budowie ruchadła wieczystego, „perpetuum mobile“, tak później marzono o tanich i łatwych sposobach rozrywania wody na składowe jej pierwiastki, by osiągnąć wodór swobodny, który chciwiej jeszcze, aniżeli węgiel, łączy się z tlenem, posiada doń, jak mówimy, większe powinowactwo. przez spalanie zatem obfitszą ilość ciepła wywiązuje. Pojmujemy to jednak teraz, że rozłożenie wody na tlen i wodór wymaga, takiegoż samego nakładu energii, jaka się wzbudza przy łączeniu tych pierwiastków; dobywanie wodoru, by go następnie palić, było-by tylko

chemicznym perpetuum mobile, kołem błędnym, niedającym zysku ani korzyści. Węgiel wydzieliło nam słońce, ale żadnego innego nie złożyło pierwiastku.

Gdy więc zagraża nam brak tej energii oddawna zaoszczędzonej, gdy chcemy węgiel zastąpić, zwrócić się musimy do tegoż samego źródła, jak niegdyś bowiem. tak i dziś słońce jest ostatecznym i wyłącznym źródłem wszelkiej działalności i wszelkiego życia na ziemi. Zanim rozjaśniła nauka najnowsza, że z niego wszystek swój zasób energii czerpie przyroda ziemską, przeczuwał to już i pojmował człowiek pierwotny, gdy cześć gwiazdzie dziennej składał. Działalność wszakże słońca w jednaki zawsze wybija się sposób. a na usługi nasze następczą się też same tylko jej objawy, z których korzystali i dawni przodkowie nasi, uczymy się tylko coraz lepiej. coraz szcudrzej je wyzyskiwać.

Najdostępniejszą dla nas formą, w jakiej energia słoneczna rozporządzać sobą dozwala, są niewątpliwie materiały opalowe. wytwarzające się pod wpływem życia roślinnego; nieunikniona wszakże zagłada lasów nadaje im znaczenie coraz podrzędniejsze, a wraz z ograniczeniem obszarów roślinnością zajętych, nikną i pozostające po niej torfowiska, które i teraz już chwilowy tylko zapowiadać mogą ratunek.

Gdy praca zwierząt pomoc nam niesie. w energii słońca również źródło jej ostateczne znajdujemy. rośliny bowiem, które pokarm ich stanowią. w blasku tylko słońca, kosztem jego promieni rozwinąć się mogły. Gdy człowiek pierwotny pokonał i oswoił zwierzęta stepów i lasów, gdy zdołał je zamienić na przyjaciół wiernych i robotników uległych, wzmógł władzę swą nad opornymi siłami natury, założył podstawy swego dobrobytu i wznosił się wyżej na szczytach kultury. Dziś wszakże zużyło się już, wyczerpało współpracownictwo jestestw żyjących, a usługi ich jakżeż blahemi nam się wydają. Rolnik uwalnia z pod jarzma wołu i do pluga lokomobilę parową zaprzęga, a po lasach Ameryki północnej snują się stada zdziczałych i zgłodniałych koni, bezlitośnie wygnane przez hodowców, gdy dawni nabywcy mają teraz do rozporządzenia wozy. samodzielnie biegnące. Wielbłąd, ten sławny okręt pustyni, uchodzi przed świstem lokomotywy. a słoń, olbrzym świata zwierzęcego, służy już tylko do parady władcom indyjskim. lub widzów w cyrku rozwesela. Nowych ras, które-by siłą mięśni i rącznością nóg sprostać mogły machinom ze stali kowanym. nie wytworzy żadna hodowla sztuczna.

Energia słoneczna nie zużywa się wszakże wyłącznie na budowę i utrzymywanie istot żyjących, ale ujawnia się także w sposób prostszy w formie pracy mechanicznej, w przemieszczaniu żywiołów ruchliwych ziemi, w krążeniu wód, w prądach powietrznych.

Z rozległych powierzchni oceanów, niedojrzane przez nas, uchodzą wciąż w górę lotne kłęby pary, oderwane działaniem ciepła słonecznego, wbrew krępującej potędze przyciągania ziemskiego, rozprzestrzeniają się w powietrzu, a gdy w postaci opadów atmosferycznych wracają na ziemię, przenikają w jej głębie, i przez najciaśniejsze w skałach szczeliny torują sobie drogi do źródeł, którym nieprzerwany niosą zasilek. Gdy więc ze źródeł tych woda strumieniami, potokami i rzekami do mórz zbiega, znosi wraz z sobą energię, która ją do wędrówki tej pobudziła. Krążenie wód ziemskich jest to w istocie rzeczy obieg energii słonecznej. Zasobami jej wartka rzeka równoważyc może bogatą kopalnię węgla, a sam tylko wodospad Niagary zdołał-by potęgą swą zastąpić pracę połowy nieledwie motorów parowych, obecnie po całej ziemi rozrzuconych. Olbrzymia ta ilość energii jest też i niewyczerpana, odtwarzać się bowiem będzie, dopóki słońce nie przestanie nas promieniami swemi darzyć.

Energii wszakże wód biejących człowiek wyzyskać nie umiał. Pierwszy młyn wodny zbudowano w Rzymie dopiero za czasów Augusta, a niedawno jeszcze posługiwano się kołami wodnymi pierwotnej zupełnie konstrukcyi; w ostatnich dopiero czasach nadano kołom postać właściwszą, i wprowadzono korzystniejsze turbiny, ale wciąż jeszcze miliony metrów sześciennych wody spływają codziennie do mórz, unosząc niezużytkowany swój zasób sił żywych. Samą ich wartość, zresztą, nauczono się cenić dopiero, gdy w sprawie tej udział przyjęła elektryczność, która każde źródło energii do pożądanego celu nagiąć dozwala. Gdy gdziekolwiek w przyrodzie nastęrczający się spadek wody zagniony zostaje do obracania zwojów maszyny dynamoelektrycznej, wzbudzone w nich prądy galwaniczne wytwarzać mogą światło, ciepło, lub maszyny jakiegokolwiek w biegu utrzymywać. Już teraz w wielu miejscach przy pośrednictwie maszyn dynamoelektrycznych chłodne fale płynącej wody topią rudy, pędzą koleje, rozpalają lampy i wykonywają mnóstwo prac innych, o których niedawno jeszcze nikt-by nie sądził, że działaniem wód spełniane być mogą.

Prąd elektryczny wszakże nietylko służy jako pośrednik w przeobrażaniu jednych form energii w inne, ale daje nam też możność przenoszenia jej dowolnego. Przenoszenie energii, czyli przenoszenie pracy, jest wprawdzie sprawą bardzo powszednią, przykłady jej bowiem widzimy w każdej transmissyi fabrycznej za pośrednictwem pasów bez końca, w każdym pocisku armatnim, szerczącym daleko groźną potęgę prochu wybuchającego, w każdym pręcie metalowym, rozgrzewającym się przez przewodnictwo; ale dopiero pomoc elektryczności dozwoliła działanie to na znaczną prowadzić odległość. Gdy prąd elektryczny, w maszynie dynamoelektrycznej wytworzony, do-

plywa po drucie do drugiej podobnej maszyny, wprawia zwoje jej w obrót, nadaje im ruch i odtwarza pracę, na obrót pierwszej wyłożoną, pozwala z niej korzystać zdala od pierwotnego jej źródła. W ten sposób ogniskami ożywionej działalności stać się mogą okolice dalekie od wodospadów i potoków górskich, gdzie zużytkowanie bezpośrednio ich energii było-by połączone z trudnościami niepokonanymi. Co dotąd na polu tem zrobiono, są to jeszcze próby tylko, pierwsze zaledwie stawiono kroki, w przyszłości jednak niewątpliwie człowiek coraz usilniej odwoływać się będzie do energii wód bieżących. Gdy obecnie na czele wszelkich prac technicznych mieści się wywiązywanie ciepła, które dalej w pracę mechaniczną przeobrażamy, tak znów w przyszłości może nastęrczać się będzie człowiekowi bezpośrednio praca mechaniczna, której kosztem dopiero ciepło wytwarzać będzie.

Podobnie, jak prądy wód, tak też dziełem energii promienistej słońca są i wiatry, które wszakże w szerokościach naszych z tak niestatecznym występują natężeniem i w tak zmiennych wciąż dmą kierunkach, że pomysł ich zużytkowania zrodził się bardzo późno, a nawet korzystać z nich do poruszania swych statków nauczył się człowiek w nowszych dopiero czasach; wiosła opornie i powolnie ustępowały żaglom, a karawele Kolumba posuwały się zaledwie z szybkością trzech mil morskich na godzinę, gdy dziś dobry żaglowiec, umiejętnie swe skrzydła płócienne na działanie wiatrów nastawiając, trzy razy przeszło prędzej płynie. Wiatraki powstały dopiero w XV wieku w Hollandyi, gdzie słaby spadek rzek nie dawał dostatecznej siły do obracania kół młyńskich; oddały one tam zresztą i ważniejsze usługi, zastosowano je bowiem do podnoszenia wody, a niepozorne te maszyny miały ważny udział w słynnym osuszeniu morza wydartych i bagnistych obszarów. Przy udziale wody chwiejna energia prądów atmosferycznych daje się gromadzić, akumulować, co dozwala nią dogodniej i swobodniej rozporządzać. Wiatrak, albo raczej już motor powietrzny, przy wietrze sprzyjającym, wprawia w ruch pompy, które wodę rzeki, studni, lub stawu przenoszą do zbiornika górnego, skąd spadek jej w statecznym już obrocie koła wodne utrzymuje.

Ale i w tem zadaniu gromadzenia energii z dzielniejszą pomocą przybywa elektryczność. Gdy prąd galwaniczny przebiega ogniwa, złożone z dwu płyt ołowianych, zanurzonych w rozcieńczonym kwasie siarczanym, płyty te ulegają pewnemu przeobrażeniu chemicznemu, rozwija się między nimi pewna różnica elektryczna; skoro więc następnie płyty tak przygotowane znowu w cieczy umieszczone zostaną, to po łączącym je drucie prąd elektryczny przebiega. Takie przetogniwo jest to akumulator, który każdej chwili gotów jest nagromadzony w nim ładunek w postaci prądu elektrycznego zwracać.

Niech więc motor powietrzny użyty będzie do obracania zwojów maszyny dynamoelektrycznej, wzbudzające się zaś w nich stąd prądy do ładowania akumulatorów, a mamy zaoszczędzony w nich, nagromadzony zasób pierwotnej energii wiatru, który na zawołanie odradza się jako prąd elektryczny, do wszelkich usług i przeobrażeń przydatny. Całe urządzenie takie ma dziś jeszcze charakter igraszki naukowej zaledwie, ale tkwi w niem może zaród potężnego rozwoju praktycznego.

Gdy wszakże i węgiel, i wody, i wiatry, są to tylko ogniwa pośrednie w doprowadzaniu nam energii słonecznej, czyżbyśmy nie mogli pośrednictwa tego ominąć i z tej szczodroblivej krynicy wprost czerpać dla wytworzenia pracy mechanicznej? Idzie tu przecież tylko o skupienie promieni słonecznych i o ich powstrzymywanie pod osłoną ochronną. W istocie też podobną „maszynę słoneczną“, pracującą bezpośrednio kosztem promieni słonecznych, zbudował już Eriesson w roku 1868, a następnie Mouchot w roku 1878. W tej ostatniej promienie ulegają skupieniu za pośrednictwem zwierciadła lejkowatego, otwartego pod kątem prostym; powierzchnia wewnętrzna tego stożka jest posrebrzona i starannie wygładzona. Gdy oś zwierciadła zwrócona jest ku słońcu, promienie odbite od powierzchni metalicznej zbiegają się w długie, linijne ognisko, w którym mieści się kocioł parowy, złożony z rur miedzianych, sadzą uczernionych i dzwonem szklanym osłoniętych. Sadza bowiem jest to materiał najdzielniej promienie pochłaniający. osłona zaś szklana ma tu znaczenie takie, jak dach cieplarni ogrodowej; jest ona przezroczysta jedynie dla jasnych promieni słonecznych, ale tworzy tamę nieprzebytą dla promieni ciemnych które mieszczący się pod nią kocioł rozsyła coraz obficie, w miarę jak się ogrzewa. Cały aparat nadto za pomocą urządzenia zegarowego utrzymywany jest w ruchu, by oś zwierciadła bezustannie za biegiem słońca dążyła i pozostawała wciąż ku niemu zwróconą. Działalność więc przyrządu trwa nieprzerwanie, a wywiązująca się z kotła para przechodzi do walca maszyny parowej. Doświadczenia swe prowadził Mouchot w Algierji, a działaniem zwierciadła o powierzchni czterech metrów kwadratowych otrzymywał w ciągu godziny przeszło trzy kilogramy pary; maszyna wszakże wyzyskiwała zaledwie trzy odsetki zużytego ciepła słonecznego, co daje rezultat tak słaby, że w obecnej konstrukcyi maszyna słoneczna nie może mieć znaczenia nawet w sownicie słońcem darzonych okolicach zwrotnikowych. Z czasem jednak ulegnie ona zapewne ulepszeniom, a może i tu okaże się skuteczną pomocą elektryczności, w stosach bowiem termoelektrycznych zyskujemy prądy galwaniczne bezpośrednio działaniem ciepła. Stosy te zyskały w ostatnich czasach zastosowanie praktyczne; w przeszłości

dadzą się może nakłonić do pracy i pod bezpośrednim wpływem promieni słonecznych.

Szukając ocalenia dla człowieka, brakiem węgla zagrożonego, zwracaliśmy się dotąd wyłącznie do słońca i do ruchów, od niego zawisłych. Znamy wszakże na ziemi potężne ruchy wody, mniej wpływowi słońca podległe, a przedewszystkiem przyciąganiem księżyca wzbudzane. W zestawieniu z olbrzymimi wymiarami słońca jest wprawdzie księżyc nasz drobiazgiem nieznacznym i posiada masę 26,000,000 razy mniejszą, znajduje się wszakże czterysta prawie razy bliżej ziemi. Przy znacznej odległości słońca, przyciąganie, jakie ono na różne punkty ziemi wywiera, jest prawie jednakie, gdy sąsiadujemy tuż z nami księżyc z natężeniem wybitnie różnem działa na środek i na powierzchnię ziemi, a ta właśnie różnica sprowadza dwukrotne codziennie przesuwanie się powierzchni oceanu, ujawniające się na wybrzeżach, jako przyływ i odpływ morza. W potężnym tym oddechu oceanów mieści się tak obfite źródło energii, że gdybyśmy z niego korzystać umieli, wystarczyłoby do utrzymywania w biegu wszystkich machin, do oświetlania wszystkich lamp i do ogrzewania wszystkich pieców naszych. Dotąd pole to leży zupełnie odlogiem; gdy przyszłe pokolenia znajdą możliwość zużytkowania go, wyrzuci to może na dalszy rozwój kultury wpływ potężniejszy, aniżeli wynalazek motorów parowych.

Wznoszenie się i opadanie wód morskich zawisło wprawdzie głównie od przyciągań księżyca, ostatecznie jednak sprowadzić je należy również do słońca, tej bowiem gwiazdzie naczelnej naszego układu planetarnego wszystkie jego ruchy ulegają. Jak dotąd zatem, tak i nadal, człowiek byt swój na ziemi jedynie kosztem energii słonecznej utrzymywać może; rozwój kultury wyraża się w coraz doskonalszem jej wyzyskiwaniu, a samo istnienie człowieka w przyszłości wiąże się z tem, jak dalece nią jeszcze zawładnąć zdoła.

S. KRAMSZTYK.

Słowacki i prelekcye Mickiewicza.

Trzytomowe dzieło p. F. Hoesicka o „Juliuszu Słowackim“ jest bogatym materiałem biograficznym, który każdy badacz twórczości naszych wielkich poetów w rękę wziąć musi i powinien. Omawiając działalność autora, p. P. Chmielowski orzeka: „pomimo wad swoich, jest to książka, która w literaturze naszej pocześnie zajmie miejsce“. Godząc się z tem zdaniem, wyrazić musimy pewne zdziwienie, że uczony krytyk nie zwrócił choćby pobieżnej uwagi na największą wadę tej książki — mianowicie: na ocenę faktów, tyczących się Mickiewicza, a szczególnie na sposób traktowania osobistego charakteru największego polskiego wieszca.

Bo już w samej przedmowie wypowiada autor następujące sądy, a według własnego mniemania „spokojne i sprawiedliwe“:

„Na dowód, jak trudno jest zdobyć się na sąd bezstronny, można przytoczyć fakt, że nawet Mickiewicz nie zdołał wznieść się na wyżyny tej bezstronności, i jeżeli chodziło o Słowackiego, to przez cały czas zachowywał się wobec niego tak, jak człowiek, należący do innej koteryi. To nie ulega wątpliwości, cokolwiek-by przytaczano

na obronę Mickiewicza; bo choć genialny poeta i wielki charakter, to jednak, gdy chodziło o Słowackiego, zdradzał się z pewnemi ludzkiemi małostkami“.

„Niestety, pewne słabości i ułomności natury ludzkiej, od których nie był wolny Mickiewicz, występują najjaskrawiej, a często z wielką jaskrawością, gdy chodzi o jego stosunek do Słowackiego — na to godzą się dziś wszyscy: począwszy od prof. St. Tarnowskiego, a skończywszy na p. Mazanowskim; z jedynym wyjątkiem p. Władysława, syna poety, który tłómaczy Mickiewicza z d z i w n e g o m i l c z e n i a o Słowackim tem, że nie uważał żadnego poematu za wzorowy, która to wymówka nie wystarcza. Stąd nie brak ustępów w mojej książce, w których zachowanie się Mickiewicza przy bezpośrednich zetknięciach się ze Słowackim nie zawsze opisaniem zostało, jako wzorowe, jako zachowanie się człowieka wyższego, do którego drobne małostki ludzkie nie mają przystępu“.

„Słowacki, jako charakter, stoi o wiele niżej od Mickiewicza, a jednak, kiedy się zetknęli z sobą, w wielu razach, jeżeli chodziło o słuszność, to należało jej szukać po stronie Słowackiego“.

„P. Mazanowski słusznie wykazuje, że Słowacki, za nim poznał Mickiewicza, już był do niego niechętnie uprzedzony, wskutek swojej ambycyi i drażliwości autorskiej. Niechęć ta zwiększyła się po ustępie o doktorze Becu w „Dziadach“, podtrzymywały ją zaś stale plotkarstwa emigracyjne. Nauka Towiańskiego pogodziła potem obu poetów, ale ich nie zbliżyła“.

„Właśnie wtedy (to jest po pogodzeniu się) Mickiewicz u c h y - bił s w e m u w s p ó ł z a w o d n i k o w i w s p o s ó b n a j d o t k l i w s z y, mogący boleśnie zadrasnąć autora nawet mniej dbającego o sławę swą, niż Słowacki. Obszernie analizując w swych wykładach pisarzy nierównie mniejszego znaczenia, Mickiewicz ani zająknął się o Słowackim, wynosił dramaty Puszkina, Milutynowicza, a nie wspominał o „Balladynie“, „Mazepie“ i t. d.“.

Sądy powyższe autor opatruje uwagą:

„W każdym razie ze swojej strony mogę tylko powiedzieć, iż wszędzie starałem się być bezstronnym i sądzić obiektywnie“ — poczem zapytuje: „Czy mi się to udało“?

Nie odmawiamy szanownemu autorowi dobrych chęci, ani dobrej woli, lecz mniemamy dowieść, iż w sądach swoich o Mickiewiczu myli się — i to bardzo.

Mniemamy nadto, że charakter jego dzieła o „Juliuszu Słowackim“, można-by określić słowami Mickiewicza, wygłoszonymi z katedry w dniu 22 lutego 1842 roku:

„Metoda, upowszechniona przez Walter-Scotta, narobiła wiele kłesk w literaturze słowiańskiej, i grozi ciężkiem spustoszeniem. Tego nikt nie chce rozumieć, że działającą w nim ideą była pycha, może jeszcze większa, niż pycha Byrona. Przyznaje on sobie znajomość do najgłębszej skrytości serca wszystkich ludzi, których wprowadza do swoich romansów; ma pretensyę znać cały grunt ich charakteru, zgadywać, co mogli pomyśleć i zrobić, wymierzać całą rozciągłość ich duchowego i ziemskiego zawodu. Bierze więc bohaterów jak marionetki, porusza nimi dowolnie, gada za nich i o nich zawsze tonem wyższym, z niejaką poufałością, bardzo krzywdzącą“.

W wywodach niniejszych posilkujemy się faktami, podanymi przez p. Hoesicka, lecz do zupełnie przeciwnych dochodzimy rezultatów.

Zanim jednak przystąpimy do właściwych uwag nad wzajemnym stosunkiem obu poetów, winniśmy przedewszystkiem dla oznaczenia trafności „psychologicznych“ wywodów autora podnieść opisane przez niego zajście Mickiewicza ze Śniadeckim w domu państwa Becu, po którym poeta jakoby „wyszedł, nie pożegnawszy się z nikim, a przysięgłszy w duchu zemstę temu domowi“. Nie wiemy, na jakim dokumencie opiera autor rzecz tak ciekawą, iż dowiedział się dokładnie, co się wtedy działo w duszy Mickiewicza, skoro nawet podkreślając uwłaczające jego charakterowi insynuacje, nie tylko nie popiera ich żadnym dowodem,—co przy takim niezwykłym oskarżeniu miał obowiązek uczynić—lecz przeciwnie, bo o kilka wierszy niżej, sam osłabia ich wiarogodność tem, iż „dziwi się nie pomалу, kiedy Mickiewicz po wszystkim, co zaszło, nie przestał mimo to bywać w domu państwa Becu“. Z tego „dziwienia się“ wynika ten tylko wniosek, iż owo zajście ze Śniadeckim chyba nie miało tak bardzo ostrego charakteru, jak chce autor, i że rzekome „przysięganie w duchu zemsty“, jest tylko dowolną, a rzekomo „psychologiczną“ fantazyą autora, opartą jedynie na ustępie o doktorze w „Dziadach“, a żadnego z tem zajściem nie mającą związku, albowiem pani Becu prawdopodobnie przez Odyńca mogła przeprosić Mickiewicza, iżby tenże nie przestał bywać w jej domu; a śmierć doktora nastąpiła później, dopiero w niespełna miesiąc przed wyjazdem Mickiewicza do Petersburga; przedtem zaś napisał poeta w imienniku pani Becu serdeczny wierszyk na pożegnanie, jako „ostatni dar z przyjacielskiej ręki“, przeto niepodobna go pomawiać o tak niską hypokryzyę, jak „zaprzysiężoną w duchu zemstę“. Dopiero po kilku latach, na obczyźnie, przy tworzeniu olbrzymiego, prometeuszowego dramatu, kiedy najpodnioślejsze uczucia śpiewały w jego duszy, kiedy zapragnął pozostawić narodowi „wierną pamiątkę histo-

ryi litewskiej z lat kilkunastu¹⁾; wtedy dopiero poeta w opowiadaniu swoim poszedł nie za wspomnieniem zemsty osobistej, lecz za opinią publiczną współczesnego vox populi — vox Dei, a ten wysoki wzgląd dziejowej prawdy, oczywiście, że przeważył — bo przeważyc musiał — wszelkie pomniejsze względy życzliwości i przyjaźni. Przed kilkunastu laty, nie pomniemy gdzie, lecz zdaje się że w „Kraju“, czytaliśmy wiadomość o znajdującym się w archiwach b. Kommissyi wileńskiej dokumencie, w zupełności potwierdzającym sąd poety o charakterze doktora.

Słowacki, choć w sercu żywił żal za ojczyzną, nie mniej jednak w sumieniu swoim przyznawał, że Mickiewicz bynajmniej nie rozminął się z prawdą. Czas powoli niósł osłonki zapomnienia i sprawa ta obok „niechęci“, wykazanej przez p. Mazanowskiego, wcale nie pogorszyła jego stosunku do Mickiewicza, kiedy na uczcie u Januszkiewicza obaj poeci po wzajemnych przemówieniach zgodnie podali sobie ręce. Dopiero niegodny pamflet „O Improwizatorach“ zadrasnął ambicję Słowackiego tak dalece, że urażony poeta, nie kierując się rozsądkiem, uroił sobie, że takowy został napisany nie bez wiedzy Mickiewicza; wtedy w namiętnem umiesieniu chwycił za pióro i dopisał owe pamiętne w Beniowskim dygressye, w których napadł na Mickiewicza z istic demoniczną potęgą swego zaprzecznego ducha. Stąd okazuje się, iż pamięć na ojczyznę wcale, lub bardzo mało na te odstąpienia od przedmiotu wpłynęła; głównymi pobudkami były: owa dawna niechęć, zawiść i podrażniona duma poety. Zaś „O Improwizatorach“ Mickiewicz mógł wtedy nie wiedzieć.

Kiedy wychodził Beniowski, Krasiński prawie jednocześnie ogłaszał „Kilka słów o Juliuszu Słowackim“, gdzie z genialną przenikliwością określił i zestawił różnice twórczości swoich kolegów na Parnasie: „Czem Alp ogromy — pisał autor „Nieboskiej“ — czem piramidy pustyni, czem wszystko, co zasadnicze i wzniosłe, a zarazem niewzruszone i wieczne, tem Mickiewicza dzieła. Przemaga w nich nade wszystko siła dośrodkowa, siła wcielań i twierdzeń“²⁾. Inaczej w dziełach Słowackiego: tu konieczna jak tam, ta siła odwcielań i zaprzeczeń, której pęd poczęty z dołu, a bijący ku górze, stara się wyrazić westchnienia wszystkich ciał natury, i rwanie się wszystkich

¹⁾ Przedmowa do „Dziadów“.

²⁾ Ta wieczna, zasadnicza potęga „twierdzeń i wcielań w całej poezji Mickiewicza wypływa z idei miłości — której „Arcymistrzem“ (prosimy odczytać ten poemat) i w idei, i w rzeczywistości jest — Chrystus.

myśli ducha ku niewidzialnemu światu nieskończoności. Poezja Mickiewicza, to wielka, poważna rzeczywistość, to realizm — kiedy Słowacki, to fantazja. Jest on w logicznym rozwijaniu się sztuki polskiej drugim momentem, a zatem różnym od pierwszego. Oddzielnie pojąć i ocenić Słowackiego niepodobna. Zrozumieć go można w logicznym następstwie po Mickiewiczzu — tem ogromnem *f i a t - l u x* literatury polskiej“.

Tam twierdzenie, tu przeczenie... Odwieczna — i niestety, nietylko w sztuce — rozterka piękna z dobrem, w ich dążeniu do harmonii, do syntezy, do prawdy. Poezja Mickiewicza, to synteza przyszłości.

Mniemamy, że gdyby Słowacki ten artykuł Krasińskiego, z którego podajemy tylko główne, zasadnicze oświadczenia, przeczytał przed wydrukowaniem Beniowskiego, to nie ulega chyba wątpliwości, iż ochłoniął-by z umiesienia, i nie napisał-by dodatkowych oktaw. Poezja Słowackiego zyskała-by na harmonii, gdyby nie było w niej tak zaprzecznych dyssonansów; a i poezja polska nietylko była-by poruszana „groźnemi niepogodami“ śpierzających się wierzeń, poglądów i gniewnych namiętności.

Przed wycieczkami przeciwko Mickiewiczowi, które podajemy w wyjątkach, Słowacki czuł, i sam przyznaje, że „jeśli powie, w co wierzy, będzie wiele krzyku“, gdy w pięciu następnych oktawach rozwija subiektywną — lecz nieokreśloną doktrynę religijną, jakby na przekór Mickiewiczowi który na uczcie u Januszkiewicza „*B o g i e m* się z n i m m i e r z y ł“ — chciał przeciwstawić swoje własne, samoistne, a raczej „zaprzeczne“ poglądy. Mniej tu akcentujemy napaści osobiste, jak naprzykład: „zwiastun pokory“, „piołunem zaprawne usta“, a podnosimy głównie te, które wykraczają przeciwko „zasadniczemu, wiecznemu“ (Krasiński) ideałom poezji Mickiewiczowskiej. Napady na Mickiewicza rozpoczyna poeta melancholiczną i zazdrośną skargą na brak popularności i miłości ludzkiej, jaką się cieszył twórca „Pana Tadeusza“, nadto, żali się jeszcze na ludzką nieprzyjaźń przeciwko sobie. Więc tak opowiada to, co improwizował u Januszkiewicza:

„Jam zwolna serca mego rwał kawaly, Zamieniał w piorun i w twarz jemu (to jest Mickiewiczowi) ciskał“. — „Jam zbił, lecz cóżem d z i ś u ludzi zyskał?“ ¹⁾ — „Zaprawdę, gdybyś mnie widział, Narodzie, Jak ja samotny byłem i ponury“. — „Bo się kruszyło we mnie serce smętne, Że ja nikogo nie mam ze szlachetnych; I próżno słowa wyrzucam namiętne, Pełne łez i krwi, i błyskawic świetnych,

¹⁾ Pamflet „O Improwizatorach“.

Na serca, które zawsze dla mnie wstrętne (to jest nieżyczliwe)“. — „Jeśli wy bez serc!.. Wy! To moje serce Za was czuć będzie—przebaczać bez miary!“.

Odczuwamy żal poety, lecz, niestety, nie widzimy zapowiedzianego „przebaczenia“ w następnych wycieczkach... Znany „Ułamek z improwizacji“ Mickiewicza na tejże uczcie: „Wiedźcie, że dla poety jedna tylko droga: W sercu szukać natchnienia i dążyć do Boga“; poeta sparafrazował w Beniowskim nietylko w zaprzeczny, lecz, jak okazuje się, że i w nieszczerzy nawet przed własnem sumieniem sposób. Oto co pisze w swej niebotycznej, podrażnionej dumie:

„I kwo! — Tyś w olbrzymiej rozterce ²⁾ zmusiła Niemen stary (to jest Mickiewicza) Wyznać, żem wielki, że w sławę płyniemy—Lecz rzekł (Mickiewicz): Niech idzie tam, gdzie my idziemy“.

„Ha! Ha! Mój wieszczu!.. Gdzież to wy idziecie? Jaka wam świeci — gdzie portowa wieża?.. Ha! Ha! Odkryłeś mi się, mój rycerzu! Więc teraz z mieczem pod ciebie przypadam! Fałsz ci pokażę w ostatnim pacierzu (to jest w improwizacji na uczcie u Januszkiewicza), I pokazanym fałszem śmierć ci zadam“.

Tutaj uniesiony poeta uderza wprost na zasadnicze ideały Mickiewiczowskie, bo, jak to zaraz zobaczymy, Słowacki dobrze wiedział, „jaka jest portowa wieża w ostatnim pacierzu“ Mickiewicza, (jak wiedział i to, że poeta-profesor bynajmniej nie tonie w Słowiańszczyźnie „bez echa“), kiedy w dalszej strofice nawet wśród tak namiętnego gniewu, jakby pod moralnym naciskiem własnych słów, wygłoszonych u Januszkiewicza, a których na tem miejscu (w Beniowskim) ani cofnąć, ani zamilczeć już nie mógł, pisze te zuamienne słowa:

„Jam ci powiedział, że jak Bóg litewski, Z ciemnego sosen wstałeś uroczyńska; A w rękę twym krzyż, jak miesiąc niebieski—A wustach słowo, co jak piorun błyska... Tak mówiąc — ja, syn pieśni! syn królewski! Padłem“ (przed twoją wielkością)...

Krótkie, jak na uniesionego gniewem i pychą człowieka, ale wspaniałe i głębokie, godne wielkiego poety określenie... Dwa pierwsze wiersze przedstawiają twórcę „Pana Tadeusza“, wstającego w otoczeniu życia i przyrody swego kraju; dwa drugie, wysokie posłannictwo wieszca - proroka z „krzyżem niebieskim w rękę, piorunowem słowem“ apostołującego w społeczeństwie. Nawet w przystępie największego rozdrażnienia nie zdołał Słowacki uchylić się, lub powstrzy-

²⁾ W improwizacjach obu poetów u Januszkiewicza.

mać od powtórzenia w samych nawet wycieczkach powyższego uznania Mickiewiczowi, — ale też zaraz po tym jakby duchowym przymusie zawistna duma poety, jak prąd wezbranej wody po zerwaniu wstrzymujących ją stawideł, z tem większą wybucha siłą:

„A tyś już następował z blizka! I nogą twoją jak na trupie stawał! Wstałem — jam tylko strach i śmierć u d a w a ł!”.

Ostatni wyraz moralnie jest wielce charakterystycznym rysem w sposobie prowadzenia tej poetyckiej walki; poeta bowiem sam przyznaje, że, improwizując u Januszkiewicza, nie był s z c z e r y m. Ale nam się zdaje, że jest właśnie przeciwnie, że szczerości brak w dodatkowych oktawach... Bo czyż można wierzyć w szczerłość wycieczek Beniowskiego, w których nietyle poetyczna inwencya, ile nieokiełznana namiętność dyktowała „chmurne i gniewne“ oktawy? Czy w nich religijne c r e d o Słowackiego istotnie było postawione ze szczerzego przekonania, nie zaś na przekor Mickiewiczowi — i czy można do niego przywiązywać jakąś wagę, przy późniejszym, pod wpływem Towiańskiego, wierszu: „Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże“ — a potem, jak opowiada p. Hoesick, przy zakładaniu nowej religii, czy filozofii ducha, gdy zdawało mu się, że poczuł w sobie namaszczenie i rozkaz z góry do opowiadania słowa Bożego, modlił się, czytywał na głos Ewangelię, i prawie uwierzył w swoją boskość? Prof. Spasowicz w swoich „Dziejach literatury polskiej“ pisze o Słowackim: „miał w porównaniu z Mickiewiczem pogląd na świat d a l e k o s z e r s z y (?), śmielszy i bardziej niezależny. Posiadał własną religię i w gruncie rzeczy był panteistą, i to oryginalnym“. Można się zgodzić na „śmielsze i bardziej niezależne“ (indywidualne), ale na „daleko szersze“ pojęcie świata od poglądów Mickiewicza, wyspiwanych w poezyi i wygłoszonych w dziełach prozaicznych — nie podobna!.. Przepaścistej melancholii, górującej w utworach Słowackiego, a będącej rodzicielką dzisiejszej pesymistycznej poezyi polskiej, niepodobna przyznawać s z e r s z y c h, a tem samem z d r o w s z y c h horyzontów od „Żeglarza“, „Hymnu na dzień Zwiastowania“, „Ody do młodości“, a zwłaszcza „Pana Tadeusza“. Wiemy, że Słowacki w przeciwieństwie do wielu dzisiejszych jego zwolenników był umysłem głęboko religijnym, czeił Ewangelię, a nawet uznawał się być „drugim Chrystusem“, co było „manią wielkości“, jak zauważył p. Hoesick; albowiem niesforny i zaprzeczny duch poety nie zdołał wyrobić w sobie konsekwentnych o religii przekonań i pojęć, skoro w ostatniej godzinie sam zażądał spowiedzi i przyjął Sakramenta. A przedtem jeszcze w proroczym natchnieniu pisał do Stattlera: „Polska stanie się Ateneum s z t u k i C h r y s t u s o w e j“.

Jak to wszystko pogodzić?

Mniemamy, że gdy do powyższych zestawień dołączymy późniejsze uwielbienie dla Mickiewicza, to możemy twierdzić, że grunt duchowy Słowackiego, oddzieciństwa wychowanego w zasadach wiary przez wykształconą i głęboko wierzącą matkę, pomimo wszystkich późniejszych ewolucyi duchowych: „własnej religii“ i „oryginalnego panteizmu“ — zawsze był szczerze i głęboko religijnym. Przeto nie możemy się dziwić, że nawskroś indywidualny, drażliwy, a zwłaszcza tak dumnie zaprzeczny umysł Słowackiego, od czasu, jak tylko zaczął myśleć o wysokich zagadnieniach ludzkości, dopóty szedł własnymi filozoficznymi drogami, dopóki w końcu po ich ciężkiem, doświadczalnem przebyciu, nie zawrócił do dawnych, młodzieńczych wierzeń ogniska domowego.

W następnej wycieczce nawet u Słowackiego nie jest to zwyczajny napad, ale istna furja napastnicza... Tu przekorny duch poety występuje w całym posępnym majestacie zaprzecznych i, niestety, proroczych słów, słów, odbitych w poezyi dzisiejszej doby:

„Znajdziesz mnie zawsze przed twojem obliczem, Mnie, powalonym, hardym i straszliwym!... Nie jestem tobą, ty nie jesteś Zniczem; Lecz, choćbyś Bogiem był — ja, jestem żywym! Gotów wężowym bałwan smagać biczem, Dopóki świat ten pędzisz biegiem krzywym“.

I w tymże zaprzecznym tonie brzmi oktawa ostatnia V-ej pieśni:

... Bądź zdrów, wieszczu! Tobą się kończy ta pieśń dawny Boże! (sic). Obmyłem twój laur w słów ognistych deszczu I pokazałem, że na twojej korze Pękniecie serca znać, — a w liści dreszczu Widać, że ci coś próchno duszy porze. Bądź zdrów! — A tak się żegnają nie wrogi, Lecz dwa na słońcach swych przeciwnych — bogi“.

Ten ostatni wiersz żywcem przypomina genialne i przenikliwe określenia Krasieńskiego w jego: „Kilka słów o Juliuszu Słowackim“.

Mickiewicz nie inaczej zaiste rozumiał ducha żywiącego w poezyi Juliusza, ale psychologiczny jego geniusz głębiej zazierał — i dalej widział ujemne konsekwencye podobnie zaprzecznego kierunku, kiedy przed dziesięciu jeszcze laty, a więc przed wystąpieniem Słowackiego, takimi oto proroczemi słowy wyśpiewywał ustami Konrada pesymistyczne szamotania się — indywidualne i społeczne:

„Pieśń ma była już w grobie — już chłodna, Krew poczuła, z pod ziemi wygląda... Tak! zemsta, zemsta, ż Bogiem, i choćby mimo Boga i t. d.“.

„Przepaść... Tysiąc lat... pusto... dobrze... jeszcze więcej! Ja wytrzymam i dziesięć tysięcy tysięcy!.. Modlić się... tu modlitwa nie przyda się na nic... I byłaż taka przepaść bez dna i bez granic? Nie wiedziałem — a była!.

„...I ze mną tu leć w głębie, w ciemność... lećmy na dół... Otchłań... otchłań ta lepsza, niżli ziemi padół... Pójdź tu”...

W potężnych słowach tej sceny, przedstawił poeta posępny duchowy upadek człowieka, spowodowany strasznym cierpieniem, brakiem wiary w Najwyższą miłość, oraz zaprzeczną pychę, zawsze chyłącą się ku zwątpieniu, ku Nirwanie...

A tu Słowacki jakby potwierdzał powyższe przewidywania i obawy geniuszu wiary, gdy w nastroju gniewnego uniesienia z demoniczną siłą „odwcielań i zaprzeczań” woła do twórcy „Dziadów” nietylko ze śmiechem straszliwej ironii, lecz nawet z groźbą w przyszłość:

„Ha! Ha! Mój wieszczu! — Gdzie to wy idziecie?..”

„Nie pójdę z wami waszą drogą kłamań, — Pójdę gdzieindziej i lud pójdzie za mną. Gdy zechce kochać, ja mu dam łabędzie Głosy, ażeby miłość swoją śpiewał; Kiedy kłąć zechce, przeze mnie kłąć będzie, Gdy zechce płonąć, ja będę rozgrzewał. Powiodę tam, gdzie Bóg — w bezmiar — wszędzie. W me imię będzie krew i łzy wylewał”.

„Bezmiar — wszędzie”, — to wyłączne hasła nowożytnego pesymizmu... Lecz czyż one wystarczą dla ludu, gdy „zechce” utulić tęsknotę serca, gdy w ziemskich cierpieniach „zechce” szukać otuchy?.. Na to Bóg w bezmiarze czystym nie wystarcza, na to potrzeba Boga w bezmiarze miłości („Hymn na dzień Zmartwychwstania”, „Arcymistrz”) — a tu poeta ofiaruje ludowi tylko „głosy łabędzie, ażeby miłość swoją śpiewał”... Przed kim, dla kogo, dla jakiej idei? Bierzemy powyższe słowa tak, jak są napisane, bo nie mogą one mieć głębszego znaczenia, po złożonem poprzednio przez poetę wyznaniu swojej „wiary”.

Mowę swoją, mianą w Miłosławiu, prof. Spasowicz takimi, wielce na czasie będącemi, zakończył słowy:

„Biorę wszystkich tu zgromadzonych na świadków, że w ciągu pół wieku od zgonu Słowackiego, te jego przepowiednie zupełnie się sprawdziły”.

Czyż „rozszumieni orłowie” poezji polskiej dzisiejszej doby inaczej śpiewają? Czyż dla nich Mickiewicz, jako idea „dośrodkowa i wieczna” istnieje? Czyż w swem zwątpialem, lub wyniosłem zarozumieniu nie głoszą razem ze Słowackim: „Choć mi się oprzesz dzisiaj, przyszłość moja! I moje będzie za grobem zwycięstwo?”. Czyż nie uważają się, jak Słowacki, za Achillesów: „Legnie przedemną twych poetów Troja (a więc cała Mickiewiczowska literatura), Twe Hektorowe jej nie zbawi męstwo. Bóg mi obronę przyszłości poruczył, Zabiję — trupa twego będę włóczył”.

Jeżeli teraz do wrażeń, otrzymanych z odczytywania Beniowskiego, dołączymy świadomość, że piękności języka, przepaścista melancholia, ogień poetyczny, „wspaniałe, chmurne gniewy“, ciętość słowa w utworach Słowackiego, — a nadewszystko pociągający ku sobie zaprzeczne i zwątpiałe umysły: dumny indywidualizm religijny poety, „wiodący gdzie Bóg, w bezmiar, wszędzie“ — będą mu wciąż pozyskiwały coraz to nowych i żarliwych prozelitów; to dopełnimy sobie pojęcie, co się wtedy działo w umyśle i w sercu Mickiewicza, patrzącego, jak na ojczystej niwie poezji wyrosła nagle „ta siła fatalna“ zaprzecznych piękności w sztuce, co „gniotąc niewidzialna“ powołanych i niepowołanych wyznawców — zaprawdę! nie wszystkich „zjadaczy chleba w aniołów przerobić“ potrafi. Być może, że tworząc „dumną“, buntowniczą postać Konrada ¹⁾ w „Dziadach“, Mickiewicz nie spodziewał się, że jej duchowe refleksy tak prędko, a zwłaszcza w tak oryginalny sposób się uplastycznią. Ale wiara, z jaką poeta - profesor szedł niezłomnie do końca swoich wykładów o literaturze słowiańskiej, jest dowodem, iż uważał on przewidziany przez siebie ów „drugi moment zaprzeczeń“ w poezji polskiej, zaprzeczeń, zapoczątkowanych przez Słowackiego, jako potężne, lecz nienniknione cienie, które tem silniej uwydatnią w przyszłości światło jego nieśmiertelnych „twierdzeń i wciełań“.

Bo znamiennym obrazem psychicznych ewolucji w poezji do końca Mickiewiczowskich wykładów, są prorocze objawienia (rewelacje) zasadniczych kierunków, dopiero w niej rozwinąć się mającej przyszłej myśli polskiej... Mickiewicz wschodzi jako „ogromne światło literatury polskiej, stawia „niepożyte“ ideały w „Żeglarzu“, w „Hymnie“, w „Odzie“, w „Arcymistrzu“... i, rzecz godna uwagi, iż w wieszczem natchnieniu sam na tej słonecznej podstawie przewiduje i tworzy „zaprzeczną Pieśń“ Konrada, potem w logicznym następstwie jego „Improwizację“, potem jego upadek jako człowieka i jako poety,

¹⁾ Wielka „Improwizacja“ Konrada nie jest, jak utrzymują niektórzy krytycy (Kallenbach, Konopnicka), „namiętnym wybuchem jednorazowego natchnienia poety“. Bawiąc w Rzymie, Mickiewicz ze łzami w oczach odczytywał „Prometeusza“ Eschylosa, i opowiadał Odyńcowi plan poetycznego dzieła, jakie zamierzał utworzyć: „Miała to być — pisze Odyńiec w „Listach z podróży“ — daleka parafraza idei greckiego poety, zastosowana do chrześcijańskich pojęć duchowych. W treści zaś, jest to odwieczna historia ducha ludzkiego, nie bez dobrej woli w gruncie, ale obłąkanego przez pychę w zapasach z potęgami wyższemi, a raczej silniejszymi tylko od niego, których on ani uznać, ani im uleść nie chce i nie może. To też zbawcą i oswobodzicielem

potem podniesienie się jego w duchu „Widzenia“ ks. Piotra. Duch Krasieńskiego odgaduje nieśmiertelną potęgę idei Mickiewicza, odczuwa, że jest on „p i e r w s z y m momentem“, pierwszym o b j a w i o n e m wskrzeszeniem myśli i poezji polskiej, a jeszcze przed Beniowskim odczuwa i odgaduje „d r u g i, z a p r z e c z n y pierwszymu moment“ tej myśli i tej poezji. W dygressjach Beniowskiego, oraz w bezdennej melancholii swojej poezji, Słowacki występuje jakby przybliżony, analogiczny sobowtór Konrada: z jego zwątpieniem, z jego rozpaczą, z jego dumą i z jego duchowym upadkiem, który jednak po ochłonięciu chmurnych gniewów, tak samo jak Konrad, wraca do niepożytych ideałów Mickiewicza, a przed majestatem śmierci—do swojej dawnej, młodzieńczej wiary. I wszystkie te psychiczne ewolucje wyśpiewał naprzód Mickiewicz, potem odczuł i zrozumiał Krasieński, a w końcu potwierdził ciężkim doświadczeniem i cierpieniem ducha Słowacki... I wszystkie odbywają się dotąd jeszcze przed naszymi oczyma, jako walka — już nie rozumu, ale pesymistycznych nastrojów ducha, z wiarą — a nie rzadko z samym nawet rozumem...

Cóż więc wobec wystąpienia Słowackiego, Mickiewicz miał, a raczej mógł uczynić?

Jakkolwiek wszyscy krytycy godzą się na zarzut, postawiony Mickiewiczowi z powodu pominięcia Słowackiego w wykładach o literaturze słowiańskiej, sądzimy, że wobec wykazanych powyżej powodów, poeta - profesor psychologicznie nie mógł postąpić inaczej; wycieczki bowiem Słowackiego mniej uderzały na osobę, a głównie na ideę, której Mickiewicz był przedstawicielem, a raczej apostołem w poezji i na katedrze paryskiej. Sam p. Hoesick przyznaje, „że nauka Towiańskiego pogodziła poetów, ale ich nie zbliżyła“, bo mogła pogodzić tylko co do uraz osobistych, lecz nigdy co do pojęć „dwóch na słońcach swych przeciwnych bogów“, — pogodzić „d r u g i e g o momentu“ poezji polskiej — z p i e r w s z y m .

Prometeusza u Mickiewicza jest nie kto inny, jak Chrystus“. Widzimy więc, że plan prometejowego dramatu powstał trzy lata przed jego napisaniem, a na podkładzie rzeczywistego życia, konsekwentnie przeprowadzonym został; gdyż „obląkanego pychę“ Konrada zbawia Chrystusowa idea miłości. To, że poeta zemdlął po utworzeniu „Improwizacji“, dowodzi tylko jego wielkiej wrażliwości: miał lzy w oczach, gdy odczytywał Eschylosa, a tak samo zemdlął czytając Odyńcowi: „Pożegnanie Child Harolda“ w dwa lata po ślubie Maryli. Duch Mickiewicza tworzył tak, jak chciał i potrzebował, aby wywoływać odpowiednie nastroje uczuć w sercach czytelników.

Szanujący swoją godność pisarze, ilekroć przez krytykę zaczepieni zostaną, odpowiadają zwykle milczeniem, i nikt się temu nie dziwi. Ale od Mickiewicza za „śmiertelną obelgę“ p. Hoesick, z lekkiem sercem, za jednym zamachem odrazu żąda aż trzech rzeczy: naprzód dziwi się, że poeta-profesor nie wyzwiał Słowackiego na pojedynek ¹⁾; potem jednocześnie życzy sobie „arcychrześcijańskiego“ dla tegoż przebaczenia; a wkońcu, aby o antagoniście, który go w tak „hardy i straszliwy“ sposób sponiewierał, mówili z katedry — i, oczywiście, aby mówił w sposób dla niego przychylny... Bo inaczej będzie to „milczenie dziwne“, „koteryjność“, „najjaskrawsza stronniczość“, „małostki, słabość i ułomność natury ludzkiej“, „uchylenie w sposób najdotkliwszy“, „poprzysiężenie w duchu zemsty“ i tym podobne, nie „wzorowe“ postępowanie człowieka, lecz i wielkiego Odnowiciela etyki narodowej, o czem, niestety, szanowny autor zapomina trochę...

P. Hoesick wie o „najdotkliwszem, boleśnem uchybieniu“ Słowackiemu, lecz zapytajmy: czem? Oto milczeniem mędrca tylko, a zapomina o najstraszliwszem znieważeniu Mickiewicza w Beniowskim... Tak! Bo w duchu swojej bezstronności sądzi, że Mickiewicza „arcychrześcijańskie“ przebaczenie Słowackiemu publicznych obelg, cięższych, oczywiście, od najdotkliwszych uchybień milczącej mądrości, zdola „pogrążyć w zapomnienia toni“ napaści i grzechy przeciwko Duchowi Prawdy, napaści, opublikowane przed całym światem! Takie przebaczenie nie było w mocy Mickiewicza — sprawa, wytoczona przed forum publiczne, należy do sądu potomności...

A jeżeli katedra literatury słowiańskiej wkładała na poetę - profesora pewnego rodzaju obowiązek mówienia o sławnym już poecie, godzi się wszystkich, żądających tego mówienia, zapytać: w jaki sposób Mickiewicz miał, a raczej mógł mówić o Słowackim? Mniemanie, że można-by było coś powiedzieć o „Balladynie“, o „Mazepie“, lub „Anhellim“, a pominąć Beniowskiego z jego wycieczkami, jest

¹⁾ Wyzwanie, które F. Szemioth poniósł Słowackiemu, uczynione było wyraźnie w imieniu Ropelewskiego. Można więc słusznie wnoskować, że gdy na naradach w St. Germain, na które Mickiewicz jeździł z Januskiewiczem, obrazem oktawą o „Młodej Polsce“ nie chcieli, lub w mniemaniu swoim nie mogli odstąpić od żądania satysfakcyi, — to nie ulega chyba wątpliwości, że poeta-profesor zastrzegai się i prosił, aby jego imienia ani osoby nie mieszano do tej niewesołej sprawy; gdyż sam, na skierowane przeciwko niemu napaści, postanowił odpowiedzieć — m i l c z e n i e m.

powierzchowne; bo gdyby poeta-profesor tak uczynił, nie odpierając wymierzonych przeciwko sobie napaści, już tem samem dawał-by powód do mniemania, że pośrednio, to jest mileżąco, uznaje ich słusność. A wiadomo, że z powodu etyki publicznego słowa, a nade wszystko osobistej godności, Mickiewicz nigdy o swojej poezyi z katedry nie mówił, tem bardziej przeto nie mógł odpierać czynionych przeciw niej zarzutów, i to podniesionych do tak wysokiego tonu... Lecz zachodziły o wiele poważniejsze powody przeciwko temu żądanemu przez „wszystkich“ mówieniu: obelgę osobistą Mickiewicz mógł przebaczyć, i przebaczył; „pogodził się“ ze Słowackim jako człowiek, był nawet u niego osobiście ¹⁾, co sam Towiański nazwał „ofiara“; ale jako wielki wieszcz narodowy i wszechludzki, miał najświętszy obowiązek dzierżyć silnie i wysoko niesiony przez siebie sztandar „wiekuistej“ idei. Oto co sam w tym przedmiocie wygłosił na pierwszej lekcji czwartorocznego kursu:

„Ludzie, powiada poeta Jaciński, przechodzą szybko, podając jedni drugim lampę życia, l a m p a d a v i t a e. Podobnie dzieje się z narodami. Człowiek, któremu dano wznieść tę lampę (to jest Mickiewicz), tę czarę życia, powinien trzymać ją czysto i wysoko, żeby się mogła napelnić treścią całej żywotności i mocy narodu. Powinien wtedy zapomnieć o sobie... Zapomnieć, to mało jest powiedzieć: powinien zatrzeć samego siebie wśród swojej publiczności. Do takiej ofiary wezwany jest stojący na tem miejscu“.

Widzimy więc, że Mickiewicz nie tylko nie mógł, lecz i nie miał prawa uwłaczać tej „lampie życia“ (czyli samemu sobie) przez wyzwanie Słowackiego na pojedynek, ani narażać jej na możliwe ponowne wystąpienia przeciwko publicznemu słowu z katedry, w sposób może jeszcze więcej zaprzeczny i obraźliwy, niż w Beniowskim. Bo o poecie takiej miary, a przedewszystkiem takiego kierunku, jak Słowacki, poeta-profesor musiał-by mówić albo wszystko, albo wcale nie mówić. A gdyby obszerniej rozwinął zaznaczonego przez Krasińskie-

¹⁾ Podczas tej wyjątkowej bytności, rozmowa takich ludzi, jak Mickiewicza ze Słowackim, bezwątpienia, nie mogła się ograniczyć do błażej sprawy „medalików“. Poeta-profesor zawsze mówił z serca, chciał Słowackiego „docisnąć“, więc, oczywiście, potrzebował dotknąć i poważniejszych zagadnień poezyi. Skutek tej rozmowy nie ujawnił się na razie: Słowacki nie wrócił do „Koła“ Towiańczyków, ale musiała ona być pojednawczą i utkwic głęboko w sercu Juliusza, kiedy od tego czasu poglądy jego o Mickiewiczu stawały się coraz jaśniejsze, głębsze, a nawet przeszły w uwielbienie.

go, a tak dobitnie potwierdzonego w Beniowskim ducha „odwcielań i zaprzeczań“, panującego w poezyi Słowackiego, i choćby tylko pośrednio, dla niemożności mówienia o swojej poezyi, wykazywał brak etycznej i duchowej konsekwencji w jego wycieczkach, tak radykalnie dowodzących słuszności sądu, że w tym „pięknym, poetyckim Kościele Boga niema“¹⁾, zaraz-by krzyknięto: Mickiewicz „poprzyśiągł w duchu zemstę“ Słowackiemu, „czuje i pamięta urazy“, „zachowuje się nie wzorowo“, nie po „arcychrześcijańsku“ i t. p. insynuacje, Oprócz tego, w utworach Słowackiego, znanych do końca swoich wykładów, poeta-profesor bardzo mało mógł znaleźć treści duchowej, nadającej się do przeciwstawienia charakterowi wycieczek w Beniowskim, a jeszcze mniej do charakterystyki poezyi ludu słowiańskiego. poezyi głębokiej wiary religijnej, co do której Słowacki przed wycieczkami postawił swoje poglądy panteistyczne, nie wspólnego z wiarą ludu nie mające²⁾. Zaś o samych pięknościach języka, formy, lub przedmiotu, Mickiewicz nigdy nie wykladał.

I dla tego, jak to wykazujemy wbrew sądom wszystkich, poeta-profesor, nie mogąc mówić o swoich dziełach, tem samem nie mógł odpierać przeciwko sobie wycieczek Słowackiego, a tem bardziej mówić o jego poezyi. Raz tylko „zająknął się“ (wyrażenie p. Hołsicki) o nim w krótkiej wzmiance na lekcyi dnia 6 maja 1843 roku:

„Mamy nawet jedno dzieło Słowackiego, którego cały przedmiot rozwija się w Syberyi“.

Tem wyjątkowem, bez żadnych komentarzy wskazaniem „Anhellego“, poeta-profesor wyraźnie zaznaczył naprzód: że jest to jedyny znany mu utwór Słowackiego, godny idei, podniesionej w kursie

¹⁾ Mówiliśmy, że Słowacki, wbrew wielu swoim dzisiejszym zwolennikom, był umysłem głęboko religijnym; nikt jednak nie może twierdzić, aby „panteizm oryginalny“ i bezdenna melancholia, górująca w jego poezyi, mogły krzewić, zamkniętą jedynie w subtelnym pięknościach języka i formy, subiektywną wiarę poety. W tem leży słuszność określenia Mickiewiczowskiego.

²⁾ „Jest to rzecz wielkiej wagi, zrobić pewne wyobrażenie, co rozumiemy przez lud—mówił poeta-profesor dnia 9 stycznia 1844 roku.—Można być w siermiędzechłopa słowiańskiego, albo w błuzie wyrobników francuskich, i nie należeć do ludu; a można błyszczeć od złota i mieścić się w ludzcie. Lud, to człowiek cierpiący, człowiek tęskniący, człowiek wolny w duchu, człowiek, który nie przychodzi z zapasem gotowych systemików. Dla tegoż lud, w rzach stanowczych, tak prędko i tak niemylnie chwyta prawdę“.

literatury słowiańskiej; powtóre, iż z powodu złożenia swojej panteistycznej wiary i gwałtownych wycieczek w Beniowskim, jako przeciwnych tej idei, poeta-profesor ani mówić o Słowackim, ani z dobrą wiarą polemiki z nim prowadzić, a tem bardziej, osobistych napaści odpiierać nie może.

W ocenie stosunku Mickiewicza do Słowackiego, krytyka za mało zwracała uwagi na to, że publiczne wycieczki w Beniowskim stały się nieprzebytą przepaścią między duchami obu poetów, gdyż te same, wyżej wykazane, bynajmniej nie osobiste, lecz zasadnicze różnice i powody ogłoszone przez Słowackiego przed całym światem, zmusiły Mickiewicza że nie mógł być nawet na jego pogrzebie; bo bytność taka wobec przyjaciół zmarłego i potomnej krytyki mogła-by wywołać niemalą sensację; wyglądała-by nie jako posługa ostatnia, złożona zmarłemu koledze na Parnasie, lecz raczej jak żal niewczesny, że się do nieboszczyka za życia więcej nie zbliżył, że nie mówił o nim z katedry i t. p. uwłaczające przypuszczenie ludzi, niepojmujących, lub opacznie sądzących rzeczy, przypuszczenia, nieliczące z wysokością zasadniczych postulatów *l a m p a d a v i t a e*, to jest narodowej i wszechludzkiej działalności jego „wiekuistej“ idei. Z tych samych powodów nie mógł Mickiewicz (jak chce p. Hoesick) napisać pośmiertnego o Słowackim wspomnienia, bo gdyby powiedział o nim to, co z punktu widzenia tej idei myślał, była-by to „zemsta“ za wycieczki w Beniowskim. Sam Słowacki głębiej od krytyków rozumiał potomną doniosłość tych wycieczek, kiedy przy ich zakończeniu wyśpiewał te prorocze słowa: „tak się żegnają nie wrogi, lecz dwa na słońcach swych przeciwnych — bogi“; które-to określenie naprzód milczeniem osobistem i z katedry, potem nieobecnością na pogrzebie, a w końcu milczeniem pośmiertnem, Mickiewicz, jako poeta, czuł się być zniewolonym potwierdzić, choć, jako człowiek, urazę osobistą dawno już wybaczył.

Wiadomo, że po wycieczkach przeciwko Mickiewiczowi, niespokojny duch Słowackiego mocno w „Księdzu Marku“ dokuczył Krasieńskiemu, z czego później sam tłumaczył się przed nim, że „bezmyślnie i w szaleństwie pisał“; potem wystąpił ze znaną odezwą: „Do autora Trzech Psalmów“, za którą, niestety, wypadki galicyjskie tak okropną dały mu odprawę! lecz nie dość na tem, naszkicował jeszcze w „Nowej Dejanirze“ złośliwą karykaturę Zygmunta, na co Krasieński w „Niedokończonym poemacie“, w postaci demagoga Julinicza nakreślił nie mniej złośliwą karykaturę Słowackiego, a oprócz tego w nowem wydaniu „Psalmów“ odpowiedział mu psalmem „Żalu“.

Gdy więc Krasieński w swojej poezji dwukrotnie, choć odpornie tylko, występował przeciwko byłemu przyjacielowi z Willi Mills,

który trzykrotnie, ale zawsze pierwszy, i także w poezyi mu dopiekał; gdy obaj wielcy poeci, jakby smutnym wzorem emigracyi, kłócili się z sobą, a z drugiej strony, przed tymi zatargami Słowacki tak gwałtownie napadł na Mickiewicza, — jeden tylko twórca „Pana Tadeusza“ ani w poezyi, ani w pismach prozaicznych, nigdy nie zniżył się do osobistej polemiki. Podczas najgorętszych sporów o Towiańskiego, pisał on do Bohdana Zaleskiego: „Oddasz mi sprawiedliwość, że szanowałem w tobie i w drugich zawsze wolność ducha — jedyną, którą wysoko cenię“. Zaś w ostatniej lekcyi wykładów, tak lapidarnie określił charakter całego czteroletniego kursu: „Postanowiłem sobie za prawo: nie odzywać się nigdy głosem namiętności“.

Wspomnieliśmy wyżej, że od czasu wizyty Mickiewicza, ujemne dotąd usposobienie Słowackiego wielce się na dodatnie względem niego zmieniło. Zmiana ta dokonywała się powoli. przeto stosunki osobiste między poetami były bardzo rzadkie, zwłaszcza, że o tej metamorfozie Słowackiego Mickiewicza prawdopodobnie wcale nie wiedział, a choćby i wiedział, to i tak serdeczniejszego zbliżenia między nimi po publicznych napaściach już być nie mogło. Przeto rzadkie te stosunki nie były powodowane niską, „stronniczą koteryjnością“, jak utrzymuje p. Hoesick, lecz zasadniczą różnicą poglądów, które do częstszego zbliżania się nie dopuszczały. Mimo to, nie osobisty, lecz za to duchowy wpływ Mickiewicza wciąż oddziaływał, kiedy w tem przyjaźniejszym dla niego uwielbieniu Słowacki napisał kilka prześlicznych, nietylko co do języka i formy, lecz i głęboko odczutych w swej prawdzie oktaw o „Panu Tadeuszu“, że w braku miejsca nie możemy się powstrzymać od przytoczenia choć jednej, ale za to najpiękniejszej; a taką mógł wyśpiewać tylko wielki poeta, i wielki, duchowy wielbiciel Mickiewicza:

„Jednak się przed tym poematem wali jakaś ogromna ciemności stolica—Coś pada... Myśmy słyszeli, słuchali: To czas się cofnął i odstąpił lica, By spojrzeć jeszcze raz na piękność w dali, Która takimi tęczami zachwyca, Takim różnym zachodzi obłokiem... Idźmy—znów czasu Bóg postąpił krokiem“.

Z równie pięknem, jednocześnie duchowem, a zarazem lapidarnem określeniem „Pana Tadeusza“ nie spotkaliśmy się dotąd.

Słowacki w ostatnich latach swego życia nie mało rozmyślał nad twórczością Mickiewicza, a zwłaszcza nad jego stosunkiem do Towiańskiego, skoro, oprócz powyższych oktaw, napisał następujące poglądy, które, jak sądzimy, ze wszystkich znanych, najbliżej i najgłębiej trafiają w sam rdzeń prawdy, tej dotąd jeszcze niewyjaśnionej kwestyi. Podajemy je według książki p. Hoesicka:

„Jak wszystkie wielkie duchy dążyły do jedności uwidomionej na ziemi, jak Dante myślał o Gibelinostwie i zcesarzeniu świata; tak Mickiewicz myślał o wszlachteniu idei najwyższej w Towiańskiego“. „Cała potęga Mickiewicza była w objawieniu, w rewelatorstwie słów“. „Uczuć ducha Bożego w sercu ludzi, jak Szekspir, a uczuć go nad ludźmi tak, jak Mickiewicz,—było marzeniem i ideałem Słowackiego“.

Takimi duchami, dążącymi do jedności ziemskiej, byli: Aleksander Macedoński, Cezar, Napoleon. Takim duchem jest Mickiewicz, który w drugiej, apokaliptycznej części „Widzenia“ ks. Piotra wyśpiewał najwyższą ideę jedności, uosobioną na ziemi w „Mężu na imię Czterdzieści i cztery“. Tą ideą jedności, a raczej miłości Chrystusowej, przeniknięte są wszystkie dzieła Mickiewicza, aż do ostatniej lekcji o literaturze słowiańskiej. Nie mogąc mówić o sobie, ani wystąpić w imieniu własnem, myślał poeta-profesor, jak to z głębokiem uczuciem prawdy zauważył nawet największy przedtem jego antagonyista, Słowacki, że zdoła ją „wzlacheić w Towiańskiego“. Niosąc „l a m p a d a v i t a e czysto i wysoko“, Mickiewicz „zapominał o sobie, zacierał samego siebie, spełniał osobistą ofiarę wśród swojej publiczności“, jak to z delikatną i wzruszającą abnegacją sam wypowiedział.

Wiadomo, że Towiański nie odpowiedział tym oczekiwaniom: stawiał siebie wyżej nad Mickiewicza, zepsuł jego ideę niekonsekwencyą poglądów, formułkami, i — pychą — tą straszliwą niszczytelką najpotężniejszych umysłów ludzkich.

„Plastyczna, widzialna i dotykalna w swym stylu“, jasna i płodna idea dzieł Mickiewicza, płynie jednak zawsze — z owej górnej krainy natchnienia, kędy dusza poety „Czuje, że będzie wiecznie się rozżarzać, I wiecznie będzie ognia jej przybywać; Będzie się wiecznie rozwijać, rozpływać, Rosnąć, rozjaśniać, rozlewać się, stwarzać, I coraz więcej kochać swe stworzenie, I tem powiększać coraz swe zbawienie“ ¹⁾.

Tej słonecznej jasności i mocy w duchowych pięknościach dzieł Mickiewicza ulegną w końcu, w niedalekiej może przyszłości, pesymistyczne nastroje sztuki i poezji polskiej, jak jej uległ „zaprzeczny“, lecz głęboko czujący, religijny duch Słowackiego; ulegną, gdy współczesna analiza psychologiczna bliżej doścignie do istoty natchnień poety, gdy głębiej dobierze się do jądra formy arcymistrza, i odczytać w niej zdoła treść nieśmiertelną; gdy Rozum i Wiara bez subiektywnych spychań, lecz z łącznem poznanem wza-

1) Niedokończony wiersz: „Widzenie“.

jemnych obowiązków, a stąd pożytków materialnych i moralnych, zgodniej pójdą ku wywalczanej wspólną pracą przyszłości. A wtedy nie będziemy mówili że Mickiewicz dla naszego pokolenia nie jest już wieszczem, ani, że jego poezya przeczy trzewnemu rozumieniu konieczności życia, bo wtedy dopiero w obu kierunkach: piękna i dobra, poznamy syntetyczną wielkość jego geniuszu, kiedy i sam czas przyjdzie z pomocą: powoli odkrywając tajemnicze osłonki przyszłości, ukaże go w końcu w pełnym majestacie Prawdy.

HENRYK BOGUSKI.

KRONIKA PARYSKA.

Szczególny to naród ci Francuzi, wiecznie z jednej ostateczności przerzucają się w drugą; dość nam na schyłku wieku zwrócić oczy na początek stulecia, aby przekonać się o tem. Odurzeni przewrotem społecznym i politycznym, dokonany w ostatnich latach osiemnastego wieku, podnieceni tryumfami Napoleona, Francuzi urosli w niesłychaną pychę: uwierzyli w panowanie swoje nad światem. Późniejsze klęski nie wytrzeźwiły ich z obłądu. Francya, strącona z piedestału, długo jeszcze przyznawała sobie pierwszeństwo w świecie, tak intelligencyą, jak wytwornym smakiem i tym urokiem, jaki Paryż roztaczał koło siebie.

Ta fantasmagorya trwała aż do ostatnich czasów, kiedy, przed laty trzydziestu, upokorzona Francya, wpadła w rozpaczliwy pesymizm, i zaczęła cynicznie spotwarzać sama siebie. Dzienniki podzielone na stronnictwa rozpoczęły te potwarze. Ich śladem poszli autorowie realistycznych powieści, którzy jęli wydobywać z serc ludzkich ukrytą w nich gangrenę i świat uwierzył im na słowo.

Najgorliwsi apologiści Francyi odwrócili się od niej, widząc w niej miazmat zatrawający społeczeństwo. Francya tymczasem, bez względu na te sądy, szła i postępuje swoją drogą. Pracowita, gotowa do ofiary, oszczędna, istne rojowisko pszczół, zbiera miód do swoich barci, na pożytek przyszłych pokoleń. Chcąc się o tem przekonać, dość przypatrzeć się niezliczonym nagrodom konkursowym za prace literackie, a co ważniejsza, za czyny.

Te dodatnie objawy, charakteryzujące spotwarzoną Francję, znajdujemy w dwóch znakomitych rozprawach akademickich, wygłoszonych w końcu zeszłego roku.

W jednej z nich p. Boissier, dożywotni sekretarz Akademii Francuskiej, wylicza nagrodzone w ciągu roku dzieła, świadczące, że Francya nie upadła tak nisko, jak niektórzy sądzą. Nie wchodzimy tu w pytania społeczne i polityczne, trzymamy się wyłącznie w obrębie literatury.

Inna rozprawa p. Brunetière'a daje nam poznać duszę społeczeństwa francuskiego, budujące czyny i poświęcenia małuczkich, posunięte częstokroć do bohaterstwa. Z tych obu rozpraw przytaczamy w treści szczegóły, które dają nam poznać, czem jest ta Francya, wyleczone dziś z pychy i samochwalstwa.

Zaczynamy od mowy Boissiera o uwiecznionych dziełach w ilości dziewięćdziesięciu siedmiu.

Przebiega on nasamprzód utwory poetyczne. W tym roku przypadł konkurs, datujący się od kardynała Richelieu. Zadano jako temat średniowieczny cykl o rycerzach Okragłego Stołu. Osiemdziesięciu poetów odpowiedziało na wezwanie. Z nadesłanych utworów akademii odznaczyła dwa. Jerzy Chalendon wybrał ustęp „Nowa Świątynia Salomona;“ wytworny styl poematu i wielkie zalety zjednały mu nagrodę. Drugi poeta, Raul Guillard, wziął za przedmiot legendę o Merlinie i Vivianne. Poemat jego odznacza się młodzieńczą werwą. Sąd akademicki, bez względu na drobne usterki, zapowiedział młodemu poecie wielką i świetną przyszłość i nazначzył mu połowę nagrody. Zapowiedziane nadzieje spełnić się nie miały, młody poeta umarł przed ogłoszeniem chlubnego wyroku.

Z innego konkursu, fundacyi Archona Deperouses, nagroda przypadła p. Edmundowi Harancourt, za poemat pod tytułem „Nadzieja świata“. Jest to rodzaj „Legendy wieków“. Te nadzieje przyszłości poeta traktuje w sposób pessimistyczny, przez co zbliża się raczej do poematów barbarzyńskich, wytwornych pod względem formy, Leconte de Lille'a, nie do Wiktora Hugo. Połowę tej nagrody przyznano Filipowi Dufour za legendowe poemata; drugą połowę dwom autorom: pastorowi protestanckiemu, Favrin'owi, za poetyczny opis

gór Ceweńskich, oraz missyonarzowi, Janowi Vandon, za książkę pod tytułem „Deszcze i słońce,” zbiór obrazów z Bretanii i z prowincyi Anjou.

Do wydziału poezyi należą także dwa uwieńczone dramata: „Włóczęga” Jana Richepin, i historyczny dramat „Struensée”, Pawła Meurice, weterana w świecie poetycznym, znanego od lat pięćdziesięciu. Ten wierny przyjaciel Wiktora Hugo, wydawca jego pośmiertnych rękopisów, otrzymał nagrodę za całość prac, wykonanych od młodu.

Inną nakoniec nagrodę fundacyi Villet, przyznano poecie nowej szkoły, Henrykowi Renier, za utwór p. t. „Medytacye i liście jesienne”. Nowa szkoła nie wydała jeszcze pierwszorzędnego geniusza; w Henryku Renier spostrzegła akademia rzeczywiste zalety: śmiałość, wdzięk, harmonię; co więcej, impresjonista zbliży się widocznie do dawniejszych wzorów, pozbywając się właściwych szkole ekcentryczności.

Od poezyi przechodzi sprawozdawca do nagród fundacyi Montyona. Akademia nagrodziła 44 dzieła najrozmaitszej treści; żaden dział nie jest wyłączony, z warunkiem, że nie ubliży prawom moralności. Z prac uwieńczonych wymienimy tu życiorys doktora Recamier, a przy nim wszystkich najznakomitszych lekarzy współczesnych. Autorem dzieła Paweł Friaire. Otrzymał też nagrodę ksiądz Boissonet za wyczerpujący życiorys kardynała Maignan. Inną przyznano ekonomście Malacre, który od lat 40 tak wiele przyczynił się do postępu Instytucyi popularnych. Praca pożyteczna znalazła też uznanie Akademii „Przegląd malowniczy” (Magasin Pittoresque), otrzymał nagrodę za sześćdziesięcioletnią pracę. Założony w r. 1833 przez Chartona, wychodzi obecnie pod kierunkiem publicysty Formentin.

Do najważniejszych dzieł należy tu praca uwieńczona pułkownika Piteux; jest to historia szkoły wojskowej w Saint Cyr; autor porównywa dwa systemata, przyjęte w szkole militarnej w Niemczech i we Francyi. On sam, jeden z najświetniejszych uczniów szkoły St. Cyr, zna i wskazuje wszystkie słabe jej strony. Sąd jego może znaleźć przeciwników w zaciętych rutynistach, nikt jednak nie zaprzeczy mu uczciwych zamiarów i słusznego poglądu na sprawę.

Obszerny dział w konkursie Montyona, zajęły dziś opisy podróży. Francuzi, leniwi do poruszania się z miejsca, od niedawnych dopiero czasów zaczęli zwiedzać obce kraje. Akademia najchętniej nagradza tych podróżników, którzy największe ponieśli trudy, z narażeniem życia w podróżach swoich. Do takich należy Dutreil de Rhins. Przepłynął on już niemal wszystkie morza, zwiedził wszystkie kraje i opisał je z dokładnością. Najważniejszem z jego dzieł obszerna geografia Azji środ-

kowej; zebrał w niej wszystkie opowieści autorów chińskich, bandytów indyjskich i nielicznych europejskich podróżników.

Spostrzegł jednak z żalem, że na mappie, skreślonej przez niego, pozostały liczne białe plamy, postanowił je zapęłnić. Przedsięwziął zatem uciążliwą wyprawę do Azji północnej. Zapisał się więc do Tybetu z młodą towarzyszem, Grenardem, uczniem szkoły języków wschodnich. Ten towarzysz opisał przygody uciążliwej podróży, której Dutreuil de Rhins padł na koniec ofiarą.

W ciągu lat dwóch przebyli Turkestan rosyjski, potem chiński. Następnie udali się w góry Tybetu pod kierunkiem niepewnych przewodników. Tu ciężkie czekały ich próby. Trzeba było posuwać się w cieniu gór pokrytych wiecznym śniegiem, do wysokości 5,000 metrów. Przez dni sześćdziesiąt nie spokali po drodze ani człowieka, ani śladu żywej istoty.

Przybyli wreszcie do kraju zaludnionego, gdzie człowiek dzikszym się okazał od zwierzęcia. Tubylcy, podnieceni przez buddyjskich bonzów, gradem kul przyjęli karawanę. Dutreuil, ugodzony kulą, wrzucony był do rzeki. Grenard zdołał jednakże uciec. Dostał się do Pekinu, tam wydobyl papiery, które mu dopomogły do przedstawienia dramatycznej podróży. W dwóch obszernych tomach opisuje on przebyte kraje, obyczaje mieszkańców, ich usposobienie, wiarę religijną. Akademia nagrodziła pracę tak pożyteczną, tak chlubną dla nauki francuskiej.

Drugim dziełem uwiecznionem czterotomowa historia Missyi w Indyach przez księdza Launey. Wiadomo, jak wielkie zasługi położyły te missye w sprawie cywilizacji chrześcijańskiej i w wykazaniu wpływów Francyi.

Trzecia podróż, nagrodzona przez akademię, przenosi nas w same serce Afryki. Odbył ją komendant Toutée, w celu sprawdzenia, czy spławną jest rzeka Niger, czemu zaprzeczali Anglicy w widokach swoich. Toutée przekonał, że jest spławną, przepływał ją bowiem w ciągu trzech miesięcy od źródła do ujścia. Niełatwa to była żegluga; statek rozbijał się kilkanaście razy. Wobec niebezpieczeństwa Toutée okazywał wielką energię i odwagę, dał się poznać jako biegły inżynier, doświadczony marynarz, jako rolnik i dyplomata, w końcu wystąpił jako dzielny żołnierz w zaciętej walce z przeważającą siłą Tuaregów.

Te ciężkie przygody opisuje Toutée żywo, z humorystyką prawdziwie francuską.

Do działu podróży można zaliczyć dwie wojenne wyprawy: do Madagaskaru i do Chin.

Pierwszą odbył pułkownik Lentonnet. Złożony chorobą skutkiem przebytych trudów, puścił się z powrotem do Europy, zakończył życie w drodze, pozostałe po nim notaty słusznie uwieńczyła akademiamia.

Drugą wyprawę do Chin odbył z admirałem Courbet Emil Dubec i opisał ją.

Sekretarz akademii tłumaczy, dla czego konkurs Montyona, przeznaczony głównie jako nagrodę za dzieło, podnoszące uczucia moralne z pożytkiem dla obyczajów, uwieńczył w tym roku tyle poważnych prac z wydziału podróży i przygód wojennych. Powtarzamy tu jego słowa.

„I cóż może przynieść większy pożytek obyczajom, jak przypomnienie tych podróżników, tych marynarzy i szeregowców, którzy więcej czynili dla Fracyi, niż przez zdobycie jakich nieznanych krajów: dali nam wspaniały przykład odwagi i poświęcenia, okazali nam żywotne soki wielkich cnót, niewyczerpane u nas. Przyniesli nam wsparcie i pociechę, tak bardzo dziś potrzebne“.

Sprawozdawca przechodzi do działu historycznego, wymienia na-przód znakomitą pracę księdza Baudrillard, Oratoryanina, p. t. „Filip V i dwór francuski.“

Sąd akademicki przyznał autorowi najwyższą nagrodę Góbert'a, 10,000 franków. Wielka ta praca objęta dotąd w trzech tomach, postawiła księdza Baudrillard'a w rzędzie najznakomitszych historyków dzisiejszych. Osnuł ją na archiwach, przechowanych w Alcalá de Henares. Znalazł tam 400 nieznanych listów Ludwika XIV i 200 księcia Burgundyi.

„Rok 1700 — mówi we wstępie autor — rozpoczyna w Europie nową i ważną erę zjednoczenia dwóch państw, rozdzielonych długo dynastycznymi wypadkami, sprzecznymi z ich pochodzeniem i historią. Przywrócona ta jedność znalazła groźnych przeciwników w Anglikach, Niemcach, Hollendrach i wogólności w ludach północnych. Wstrętna im była myśl połączenia dwóch potężnych państw łacińskich, pod hegemonią Francyi. Jakkolwiek idea Ludwika XIV nie była całkowicie zrealizowaną, przecież sprawiła, że kilkowiekowe zapasy Fracyi z Hiszpanią ustały i, pomimo chwilowych burz, nie mogły już powrócić.“

*Autor ukazuje w pełnym blasku postać Ludwika XIV, nie w chwilach najwyższych tryumfów, ale w czasie, kiedy, pokonany, żąda pokoju i otrzymuje go kosztem wielkich ofiar.

Z listów znalezionych w Alcalá, daje poznać króla, zajętego żywo losem poddanych i zachowaniem osobistej godności, wśród klęsk, jakie na niego spadły.

Drugą nagrodę Goberta otrzymał Piotr Lehautcourt, za dzieło „Obrona narodo wa“, objęte w ośmiu tomach. Jest to historia ostatnich wypadków, zasłych przed trzydziestu laty. Autor, biegły w zawodzie wojskowym, pokazuje w sposób jasny i umiarkowany, dla czego wypadki obróciły się przeciw Francyi, pomimo niesłychanych wysiłków. Pokazuje on, że osobista dzielność nie zdoła przemódz silnej organizacyi militarnej, która w końcu zawsze odnosi zwycięstwo.

Obok nagrodzonych licznie obrazów społeczeństwa francuskiego, sąd akademicki wyszczególnił dwa dzieła, poświęcone obcym społeczeństwom. W jednym z nich, Maurycy Gandolf, daje dokładny obraz Szwecyi i Norwegii. Mówiliśmy obszernie o tej znakomitej pracy, w jednej z poprzednich kronik, zanim uwieczoną została.

Inną nagrodę otrzymała panna Ménant, za książkę o małym społeczeństwie Parsów. Pokazuje ona tych czcicieli ognia, rozproszonych między Buddystami i wyznawcami Islamu, wiernych zasadom Zoroastra, którzy od 3000 lat wyznają Zenda Vestę.

Sekretarz akademii kończy obszerną rozprawę złożeniem czci najstarszemu z akademików francuskich,—tym nestorem jest Ernest Legouvé.

Kiedy po uczonym ojcu obierano następcę, obecny, młody podówczas chłopiec, zwrócił na siebie uwagę akademików; wzięli go pod opiekę i tak usposobili naukowo, że, czterdzieści cztery lata temu, zasiadł w uczonem gronie. Dziś starzec przeszło dziewięćdziesięcioletni, zachował umysł bystry i świeżość ducha, czego dowodem, że parę miesięcy temu podał do akademii pełne wartości dzieło: konferencye w szkole Sèvres, zapowiadając, że to ostatnia jego praca. W tym roku właśnie akademія rozporządziła fundacyą Jana Reynaud. Kiedy rozprawiali, komu należy ją przysądzić, Legouvé przedstawił kandydatów.

Wspólna myśl jednocześnie przebiegła wśród zgromadzonych członków. Postanowili przysądzić premium 90-letniemu starcowi za całość prac dokonanych. Osądzili akademicy, że jeżeli obowiązkiem ich zachęcać młode, rozwijające się talenta, powinni zarówno oddać hold długoletniej zasłudze nestora swego. Legouvé otrzymał wielką nagrodę, o którą ubiegał się dla innego.

Jeżeli mowa p. Boissier, zadowolniła wszystkich słuchaców, dając poznać utwory inteligencyi, mowa p. Brunetiére'a poruszyła do głębi serca, jako dowód, że Francya nie upadła na duchu, gotowa zawsze do ofiary. Mówca dziękuje naprzód fundatorowi Montyonowi, że powierzył akademii obowiązek nagradzania cnót i poświęceń. „Powierzając nam ten obowiązek—rzekł mówca—fundator postąpił w dziwny i niespodziewany sposób. Na pozór nie mieliśmy do tego najmniejszego prawa.

Przy obiorze do akademii nikt od nas nie wymaga cnoty — dość na tem, byśmy nie byli zbrodniarzami. Znamy się na cnotach błyszczących w świecie, dowodem na to nasze mowy akademickie i nawzajem sypane sobie pochwały. Ależ tu idzie o pochwałę stylu i formy literackiej, o nowe pomysły w dziedzinie intelligencji, co zaś do cnót, spełnionych przez prostaczków, co my wiedzieć o nich możemy?

Montyon tymczasem żądał wyraźnie, byśmy wybierali do nagrody i głosili przed światem imiona całkiem nieznanne z najniższej sfery społecznej.

Można-by sądzić, że Montyon, kładąc na nas ten obowiązek, chciał nam dać przestroagę i zbawienną naukę i uchronić nas od pychy.

Było to w końcu osiemnastego stulecia, kiedy intelligencja utworzyła nową arystokrację i powszechnie odbierała hołdy. Bądźmy wdzięczni za to fundatorowi, że nakazał nam raz na rok oderwać się od ksiąg i papierów, a zajrzeć pilnie w dokumenta, kreślone ręką stwardniałą od pily i młota. Zbliżenie to da nam poznać, że nie na nas opiera się społeczeństwo, ale na cnotach tych prostaczków, którzy mozolną pracą i ofiarą stali się podwaliną społeczeństwa, rzeczywistą siłą, równozważącą ogólną nędzę. Przykład Montyona znalazł licznych naśladowców, do jego fundacji przybyło do trzydziestu innych, ale wzrosła zarówno i liczba zasługujących na nagrody. Napróżno farsy teatralne i dzienniki ukazują nam upadek społeczeństwa, żywe tymczasem przykłady pokazują nam, że wśród maluczkich utrzymują się wielkie cnoty, odradzające społeczeństwo. — Nie będziemy tu powtarzać za sprawozdawcą tysięcznych dowodów, poświęcenia i cnót niemal bohaterskich, powtórzmy za to słowa pana Brunetièrre'a, któremi zakończył piękną rozprawę.

„Ludzkość nie żyje samemi pięknemi frazesami; ani sztuka, ani nauka, nie są bynajmniej cnotą, ale pomimo różnicy, jaką stawia między ludźmi intelligencja, wypada przedewszystkiem zaznaczyć poczucie równości wszystkich wobec nędzy, cierpienia i śmierci. Bądźmy wdzięczni tym biednym laureatom naszym: jeżeli im rozdajemy wieńce, oni nas uczą; błogosławmy pamięć pana Montyona, że od 120 lat dał nam sposobność porównać się z tymi ludźmi ofiary; bo prawdziwą wielkość człowieka i chwałę narodu stanowi poświęcenie dla ludzkości.

Słynny filantrop, Osiris, zapisał instytutowi francuskiemu bardzo znaczną summę, 32,000 renty corocznej, jako nagrodę za wynalazek najpożyteczniejszy dla ludzkości. Nagroda rozdawana będzie co trzy lata w ilości 100,000 franków.

Wszelkie wynalazki z tego przeciągu czasu w dziedzinie nauki, sztuki, przemysłu mają prawo do nagrody. Fundator jednak stawia na czele te, które mają na celu ulżyć cierpieniom ludzkim, albo im zapobiedz.

W teatrze Odeońskim p. t. „Francya przedewszystkiem“ ukazał się cztero-aktowy dramat Henryka Bornier, osnuty na wypadkach trzy-nastego wieku. Bohaterką jego jest Blanka z Kastylii, matka św. Ludwika. Dramat ten odmienny całkiem od komedyi i farsy, zalegających dzisiejsze repertoryum, głęboko poruszył słuchaczy. Przytoczmy treść w kilku słowach.

Rzecz dzieje się w roku 1233 podczas burzliwych zapasów feudalizmu.

Ludwik IX-ty ma lat czternaście, królowa regentka panuje we Francyi wśród niezliczonych trudności, wystawiona na walki z możnowładzcami, jak Teobald, hrabia Szampanii, Hugonel, hrabia Klermont. i inni.

W pierwszym akcie królowa oczekuje Teobolda i Hugonela w Zamku Vicennes, gdzie ma nastąpić zgoda. Młody Ludwik czeka wraz z matką; przybywają nakoniec. Hugonel szorstki i opryskiwy; Teobald milczy. Gdy Hugonel oddalił się na chwilę, królowa pozostaje sama z Teobaldem. „Hrabio—zagadnie,—dla czego mnie nienawidzisz?“

„Bo cię kocham, królowo“ — odpowie Teobald.

— Na pychę w nienawiści ja ulgi szukałem,
 Nienawisć mnie zdradziła, ja zawsze kochałem;
 Pamięci twej w mem sercu nie mi nie zagluszy,
 Twój obraz wciąż odbłyska w mej pochmurnej duszy.
 Kiedy wojna domowa ogniem i pożogą
 Twe kraje napełniła rozpaczą i trwogą,
 Gdy wrócił do namiotu po walce skończonej,
 Bez tehu, z orężem w dłoni, cały krwią zboczony,

Widziałem postać Twoją, uniesiony szalem,
Ty płakałaś królowo i ja też płakałem.

Dla czego—dodaje—gardzisz tą miłością, gdy jesteś wolna.

„Ja wolną nie jestem—odpowie królowa—należę do Francyi i do syna.“

Mój syn w mocy regenta był-by niewolnikiem;
Małżonkowi zmarłemu ja dochowam wiary,
Nie połączę się z tobą, Teobaldzie, z nikim,
Synowi memu oddam dziedziczne obszary.

„Było-by godnem Ciebie, i mnie, i kraju, gdybyś chciał służyć mi bez osobistych widoków, jedynie tylko dla miłości Francyi. Ona tak nieszczęśliwa, tak godna miłości. Ja sama nie od razu ją ukochałam.

„Słuchajcie: gdym stanęła na francuskiej ziemi,
Oczy mi nieraz łzami zabiegły eichemi,
Serce stęsknione drżało tajemniczą trwogą:
Dla nas droga do tronu, jest wygnania drogą;
Lecz to rychło minęło...
Wkrótce wszystko mi z nowej przedstawia się strony:
Kraj francuski w mych oczach to raj wymarzony,
Wszystko to dziwnym blaskiem me oczy uderza,
Owe nad oceanem skaliste wybrzeża,
Te góry granitowe ze stromemi szczyty,
W kłęby mgły upowite sięgając w błękity,
Owe lasy dębowe i kwieciste niwy.
Wszystko to ukochałam, i ten lud poczeiwy,
Zaprawiony do życia w starej chaty cieniu,
Umie walezyć, i kochać, i cierpieć w milczeniu.

Teobald, pokonany temi słowy, poddaje się zupełnie, odtąd należy wyłącznie do Blanki. Hugonel przeciwnie, poprzysięga zemstę królowej i królowi. Na tem kończy się akt I.

Akt II odbywa się w nadmorskiej fortecy Crotoy. Hugonel, obleżony przez królowę, broni się z garścią najemnych awanturników, którymi dowodzi Włoch, Landrini. Pochwycił on Teobalda, trzyma go w uwięzieniu, czeka właściwie na królowę, która ma przybyć w sprawie okupu więźnia.

Niebezpieczeństwo grozi królowej. Hugonel poprzysiągł, że jej nie puści żywą. Znalazła ona jednak obrońcę w Landrinim. Przybywa wreszcie Blanka. Porozumiewa się naprzód z Teodaldem. Ten błaga ją, aby nie narażała się, pozostawiła go smutnemu losowi, i myślała tylko o własnem ocaleniu. Nagle przybywa Sorbon, legat papieski, i imieniem Ojca św. nakazuje wassalom zgodę i uległość królewskiej władzy. Ludwik IX ma być koronowany w Reims. Hugonel nie był-by się poddał, ale, opuszczony przez wszystkich, musiał pochylić głowę, zostawił nawet w zakład Alienorę, odebraną cygankom, niewiadomego rodu, która przysięgła królowej wieczną nienawiść.

Akt III-ci przenosi nas do Reims na uroczystość koronacyjną.

W pierwszej scenie, pełnej ducha religijnego, Blanka przemawia do syna:

Synu mój, wnet korona błysnie na twej głowie,
 Wcześniej posiędzisz berło, niż imi królowie;
 Ja czyniłam, co mogłam, drogie moje dziecko,
 Wróg twój upokorzony już cię nie przygniecie,
 Zjednałam ci szeregi wiernych sług, co mogą
 Poprowadzić cię świętą powianności drogą.
 Powinność nad koronę, nad tron droższa u mnie;
 Gdybym Cię miała widzieć pod całunem w trumnie,
 Lecz bez skazy na czole, wołała-bym raczej,
 Niż zmazanego grzechem; niechże król przebaczy
 Trwożliwej matce swojej te zbyt śmiałe słowa.

Hugonel tymczasem układa z Alienorą, że przed aktem uroczystym ona włoży na czoło Ludwikowi koronę, napauszczoną jadem zabójczym. Ta korona, położona na głowie dziecka, zatruje krew jego.

Hugonel zachęca ją do zbrodni, oznajmując, że pochodzi ona ze krwi Karłowingów, że po śmierci Ludwika IX zapanuje nad Francją, na prawach rodowych. On gotów ją zaślubić. Alienora przystaje na wszystko, rozpoczyna się obrząd. Na głowę dziecka cyganka wło-

żyła koronę, ale usunęła z niej jad zatruty. Czemuż? Bo wiadomość o sławnym rodzie przemieniła całkiem jej myśli. „Jeżeli jestem z rodu Karola Wielkiego nie powinnam być trucicielką,“ —pomyślała w duchu.

W akcie następnym Alienora odkrywa zdradę przed Teobaldem, poczem odbiera sobie życie, kładąc na głowę swą zatrutą koronę. Czwartym akcie jest pośmiertną apoteozą Alienory. Na podwyższeniu leżą zwłoki zmarłej, głowa jej uwieńczona koroną.

Król i królowa, Theobald z Szampanii i Sorbon oddają hołdy wnuczce Karola Wielkiego, pochylając przed nią głowy, śpiewając chórem tren żałobny. Blanka odzywa się temi słowy:

Za króla, za kraj własny, oddała się szecerze,
Dusza jej była wielka, jej umysł wspaniały,
Szczęśliwa, bo odgadła w spełnionej ofercie
Wróżbę jej szczęścia i chwały.

Jaką była jej dusza, niech śmierć jej opowie:
Córa sławnych praojców, ostatnia z ich rodu,
Usunęła się sama, gdy inni królowie,
Byli nadzieją narodu.

Złączmy się wszyscy razem, podążmy w jej ślady,
Przyłożmy pierś do piersi, do ramienia ramię,
Na zwaliskach przeszłości zbudujmy posady
Gmachu, a czas go nie złamie.

Odпочywaj na wieki w porannych dni kwiecie,
Pod promieni słonecznych cudowną zasloną,
Patrz w gwiazdy, one czyn twój rozniosą po świecie,
Na przyszłość nieobliczoną.

Hugonel uwięziony został; następuje narada. Młody król nie chce rozpoczynać rządów swoich od wyroku śmierci —pozwala jednak, aby Teobald wyzwał go do zapasów. Będzie to sąd Boży; Bóg pobłogosławił sprawiedliwemu. Hugonel poległ, Teobald puszcza się na krucyatę. Tym sposobem unika niebezpieczeństwa przy spotkaniu z królową.

Dramat to prawdziwie bohaterski, pełen ducha religijnego i prostoty średniowiecznej, godnie stanąć może obok „Córki Rolanda“

i czyni zaszczyt Henrykowi Bornier, który, mimo wieku, nie utracił młodzieńczej werwy.

Wspaniała wystawa i wytworna gra artystów, godna poetycznego utworu, przyczyniły się do powodzenia sztuki i wróżą jej długo trwałą przyszłość.

Henryk Bornier należy do starszych akademików, urodził się w 1825 roku, ale zachował umysł krzepki i młody, język pełen harmonii i wdzięku. W młodym wieku począł pisać ulubione poezye, czem zwrócił na siebie uwagę ministra Salvandego, za czasów Ludwika-Filipa.

Za staraniem ministra, otrzymał miejsce w bibliotece arsenału, gdzie w tymże czasie konserwatorem był Adam Mickiewicz. Poważna atmosfera biblioteki wpłynęła na rozwój talentu Borniera. Porzucił ulotne zwrotki, a wziął się do dramatu, upodobał sobie trzynastożgłoskowe rymy i wogólności formę, przyjętą przez klasyków; ale wiersz jego, przy wielkiej wytworności, zachował jakiś urok młodzieńczy. Z początku przedstawiał małe okolicznościowe sztuczki w Odeonie, później puścił się na szerokie pole dramatyczne. Z dość licznych jego utworów, jak „Agamemnon“, „Wesele Attyli“, „Mahomet“, „Syn Aretina“ największe powodzenie znalazła „Córka Rolanda“. Piękny ten dramat, napisany zaraz po wojnie pruskiej, pełen uczuć patryotycznych, zjednał mu krzesło w Akademii francuskiej.

Ostatnia praca jego, „Francya przedewszystkiem“, nie ustępuje dawniejszym utworom, ani werwą ani mistrzowską siłą wiersza.

Transwaal i Burowie zajmują dziś uwagę powszechną; niedawno jeszcze mało kto słyszał o tej garstce Hollendrów, zapędzonych trzy wieki temu na krańce Afryki południowej; dziś prasa poświęca im kolumny swoje. Prelegenci wzięli ich za przedmiot konferencyi, a wy-

dawcy drukują mapy krajów i historye mieszkańców. Między innymi pojawiła się poetyczna o nich legenda; ułożył ją Eugeniusz Morel.

Autor podjął Burów w chwili, kiedy, przepędzani z miejsca na miejsce, dotarli do Transwaalu i tam w kraju dzikim założyli siedzibę. Było to w połowie dziewiętnastego wieku. Legenda pokazuje całą rodzinę, przybyłą na step niby Arką Noego, uprzężoną w szesnaście wołów. Przewodniczył im starzec, Maksymilian Dover. Starzec ma jeszcze stuletnią matkę, która przetrwała niezliczone koleje. Znękana życiem, wpadła w dzieciństwo, nie poznaje wnuków własnych, nie wie nawet ich liczby. Milcząca zawsze i nieruchoma, zachowała w duszy jedno tylko uczucie—nienawiści do Anglików. Burowie osiedlili się w Transwaalu, polepili z gliny chaty. Van Dover rozdzielił ziemię pomiędzy dwunastu synów, zaczęto ją uprawiać, liczne woły pasły się po obszarach. Wówczas-to do chaty starca zakolatało dwóch obcych ludzi. Przyjęci gościnnie jęli wchodzić w układy. Ziemię nowych osadników zamienić chcieli na inną, dalej posuniętą na północ. Starcy oparli się temu. Widząc silny ich opór, obcy usunęli się, zabierając z sobą okruchy skał, odcięte toporem. Gdy odeszli, otworzyły się usta milczącej matrony, wybuchnęła jadem długo tłumionej nienawiści, snadź odczuła wstrętne plemię Anglików. Kłątwy jej, wyrzeczone w sposób biblijny, przypominają piorunujące słowa Ezechiela. Przebiega w nich przygody życia swego, przepędzana z miejsca na miejsce z rodziną przez nieużytych zaborców.

Kilka lat przeminęło dość spokojnie; nagle zjawił się wąż kusiciel w osobie Niemca-izraelity. Wślizgnął się do domu Van Dovera. Wielka była radość niewiast i dziewcząt, ilekroć wóz jego zatoczył się przed chatę. Obsypywał je podarunkami, przywoził im nieznane dotąd bławaty, wstęgi, pióra. Chata nową przybrała postać. Ukazały się w niej świeże nabytki cywilizacyi, nieznane dotąd prostym pastuchom hollenderskim; kusiciel opanował Van Dovera podstępem, wydobyl z niego podpis na akcie, którego znaczenia Bur nie rozumiał. Akt ten ustępował niemały obszar jałowej ziemi, na której woły nie znajdowały pożywienia. Czas jakiś rzeczy pozostawały w zawieszeniu, wreszcie Izraelita dopomniał się własności. Van Dover nie rozamiał, o co idzie, ale stuletnia matka, zobaczywszy akt, sypnęła kłątwy przerażona. Van Dover puścił się pieszo do miasta, oddalonego o dwa miesiące drogi, aby sprawdzić znaczenie aktu.

Powraca do domu zasmucony, po dwu miesięcznej niebytności. W miarę jak się zbliżał do chaty, dziwny obraz przedstawił się jego oczom. Tłumy ludu roily się dokoła: jedni kopali ziemię, drudzy budowali domy; rozmaite ich gwary, jakimi przemawiali, przypominały

wieżę babilońską. Stary Van Dover osłupiał na ten widok. Dotarł wreszcie do chaty. Tu nowy grom uderzył w pierś starca: córka wybiega przeciw niemu, oznajmuje, że jest narzeczoną jednego z tych, którzy kiedyś odwiedzili dom starca i chcieli wejść z nim w układy. Młody Anglik ukazał się przy niej. Van Dover chwycił strzelbę, wynierzył przeciw niemu, ale zanim strzał wypadł, porzucił broń, postanowił zgodzić się z wolą Bożą. Umyślił bez krwi rozlewu, zebrać garstkę Burów, puścić się z nimi ku północy, i w nieznannej ziemi założyć nowe Jeruzalem. Córka miała zostać na miejscu, poślubiona Anglikowi. ojciec zgodził się na ten związek.

Zaprzężono woły do wozu, drużyna cała puściła się w drogę, o zmierzchu zatrzymano się pod lasem. Stuletnia babka nie miała, jak Mojżesz, wejść do ziemi obiecanej. Oczy jej zamknęły się na wieki. Syn pogrzebał ją i z drugimi puścił się dalej, ku Północy. Anglicy tymczasem rozgościli się w opaszczonej ziemi, dobywali z niej złoto i klejnoty. Na ten przerywa się legenda.

Autor napisał ją w dziwnie poetyczny sposób i stylem niemal biblijnym. Czy ukaże się kiedy drugi tomik, i co może zawierać, tego nikt dzisiaj nie odgadnie. Wysilenia Burów mogą dodać bodźca poecie, lirę jego nastroić na ton nowy i opowieść exodu zamienić w bohaterską epopeę.

W tych czasach odsłonięto w kościele Serca Jezusowego na Montmartre grobowy pomnik, poświęcony Ludwikowi Veuillot. Wyobraża on popiersie słynnego polemisty. Po jednej stronie wiara w postaci niewieściej, z krzyżem w ręku, stoi rozmodlona, z drugiej strony odwaga chrześcijańska, wsparta na tarczy, z napisem: *Cruce et Calamo* (krzyżem i piórem). Oba te godła, odpowiadają Veuillotowi. Pelen głębokiej wiary, walczył on zawzięcie w imię swych zasad, przez co obudził przeciw sobie niechęć, posuniętą aż do nienawiści.

Kilkanaście lat, ubiegłych od śmierci walczącego pisarza, przywróciło równowagę w umysłach.

Do oddania sprawiedliwości Veuillotowi przyczynił się najdzielniej Juliusz Lemaitre, obszerną rozprawą, w której podnosi wielkie zalety człowieka i niepospolity talent pisarza. Uprzedzony ogół dziś

innem okiem patrzy na Veillota. Niezlomny polemista budzi powszechne uszanowanie.

Wydane korespondencye Veillota w nowym ukazały go blasku: ten, który ostrym biczem karcil wszelkie usterki przeciw Kościołowi, ukazuje się tu człowiekiem pełnym serca. Do końca życia wiedział on, jak wielką ścigany był niechęcią. Podczas ostatniej choroby, nakreślił znaczące słowa: „Uważałem się zawsze za żołnierza i sędziego. Nie chciałem nigdy być przyjemnym i popularnym. Dziś opinia ustalona. Nie myślę zaprzeczać“

Wydane listy same przez się zaprzeczyły ogólnej opinii, dając poznać charakter Veillota. Do pośmiertnych publikacji należy książka pod tytułem „Çà et là“ (To i owo). Znajdujemy tu ciekawe szczegóły bibliograficzne, dane pod lekką osłoną. W początku jest opis małżeństwa Sylwestra i Maryanny; w tej Maryannie łatwo poznać Matyldę, małżonkę Veillota. Dalej ukazuje się postać Elizy, która zasiadła przy braterskiem ognisku domowem, zastępując zmarłą żonę i matkę osieroconej dziewczyny. Słowa, nakreślone do tej siostry, wypłynęły z głębi kochającego serca.

„Ty przez miłość Boga zrzekłaś się służby Bożej, a przez uczucie miłosierdzia pozbawiłaś się radości, jaką przynosi miłosierdzie. Nie zdobyłaś ani spokoju, jaki daje życie zakonne, ani pociechy, jaką przynosi wspieranie nędzy ludzkiej i głoszenie słów Bożych w świecie; zamknęłaś życie swoje w szczupłym obrębie domowych obowiązków. Jako siostra pełna poświęcenia, jako matka osieroconej dziewczyny, poświęciłaś młodość, swobodę, przyszłość, zrzekłaś się sama siebie, zastępując tylko zmarłą małżonkę i matkę pogrzebaną.“ Jeden z ostatnich ustępów książki „Çà et là“, pisany w klasztorze de Solesmes, nosi tytuł „Spowiedź literacka.“

Veillot opowiada tu początki swego literackiego zawodu. W czasach rozbudzonego romantyzmu zachwycał się Gil Blasem; zrażony ekscentrycznością Lelii, porzucił książkę i odtąd utonął cały w klasycyzmie. Odczytał wszystkich pisarzy francuskich. Podnosi ich zalety, nie przebacza usterkom, choćby przedstawionych w najpiękniejszej formie. „Istnieją—mówi on—w tym świecie dwa plemiona: Abla i Kaina, dwa plemiona nienawistne sobie. Pierwsze z nich szanuje wiarę, uczy znosić z poddaniem jarzmoobowiązku. Drugie, bezbożne i nienawistne, głosi bluźnierstwa, szydzi, ulega tylko sile, nie uznając żadnych powinności. Plemię to, zbuntowane przeciw społeczeństwu i Bogu, rozsiewa jadowitą zarazę.“ Przeciw niemu występuje Veillot, bez względu na piękność formy, chłoszcze nielitościwie dzieła tych bezbożników. Sąd jego nieprzeblagany, gdyż zawsze oparty na prawdzie.

W książce „Çà et là“ zamieszczone są i urywki poetyczne; forma w nich częstokroć słaba, co ośmieliło nieprzyjaciół do ostrych niekiedy zarzutów.

Głos powszechny uszanował jednak epilog, nacechowany wzniosłą poezją religijną. Ustęp ten powtarzają dziś różne pisma. Przełożymy go w całości.

„Połóżcie przy mnie pióro, na czole znak drogi,
Znak męki Chrystusowej, jam z niego był dumny,
I tę ostatnią książkę złożcie mi pod nogi,
Potem zamknijcie szczelnie wieko mojej trumny

Po modlitwie zatknijcie krzyż w ziemi grobowej,
A jeśli mi kto kamień położy laskawie,
Nakreście na nim napis pobożnemi słowy:
Za dni życia wierzyłem, dziś widzę na jawie.

Mówcie sobie: on marzy, trudem umęczony,
W spoczynku sennych rojeń pasmo jeszcze mota;
O nim powiedźcie raczej: ze snu rozbudzony,
To widzi, o czem marzył w długie dni żywota.

Nie stajcie w mej obronie, gdy język złośliwy
Zbeszcześci pamięć moją, umilkną szyderce.
Walczyłem, zwyciężyłem, jam dzisiaj szczęśliwy,
Bo życie mi w pobożnej ubiegło szermierce.

Boża rosa dobywa kwiat z ziemi o wiosnie,
Ona wszystko, co zwiędło, do życia poruszy,
Jeśli padnie na kamień, wnet go mech obrośnie,
Jeśli padnie na serec, budzi skrucę w duszy.

Acz porasta kolcami życia mego droga,
Ale słodką mi była w pasmie dni mych całem,
Ja miałem dosyć siły, bom ją czerpał z Boga,
A braci ludzi serdecznie kochałem.

Pod tytułem „Sztuka i Artysci“ zapowiedziano wielką publikację. Główny kierunek objął Paweł Gautier.

Dzieło, z licznych złożone tomów, zawierać będzie wszystko, co dotyczy sztuk pięknych. Najsławniejsi estetycy, powołani do wspólnej pracy, mają w osobnych rozprawach podejmować różne pytania, dotyczące przedmiotu. Jak np.: początki sztuk pięknych w rozmaitych krajach, ich rozwój w pasmie wieków, życiorysy artystów i psychologów. Ma to być dzieło popularne, dostępne dla ogółu. Zaznaczony będzie wpływ sztuki na obyczaje i cywilizację.

Inne dzieło, zarówno poświęcone sztuce, wyszło pod firmą Didot, opracował je słynny malarz, Julian Breton, członek akademii francuskiej. Znajdujemy tu życiorysy współczesnych artystów, kreślone żywo przez poetę, władającego z równą siłą piórem i pędzlem. Tych wszystkich artystów znał Breton osobiście, wiernie też kreśli ich obraz, urozmaicając go drobnymi szczegółami z życia codziennego, stąd dzieło to ma zarówno charakter pamiętnika, jak pracy historycznej; autor dołączył tu jeszcze uwagi krytyczne, bardzo umiarkowane; obejmuje najgłówniejsze prace tego wieku, od Dawida do Puvis de Chavannes. Oddaje wszystkim sprawiedliwość, chłoszcze tylko ostro Maneta, twórcę szkoły impresjonistów.

Autor obiecuje nam nowe dzieło, w którym badać będzie ogólną harmonię, łączącą ściśle objawy zewnętrzne, z najszlachetniejszymi popędami duszy ludzkiej i szukać zamyśla udziału przyrody i sztuki w tworzeniu idealnego piękna. Pomysł to godny wielkiego spirytualisty i poety, jakim jest Juliusz Breton.

Pod tytułem „Joachim Pecci“, wydał świeżo Henryk des Houx szczegółowy życiorys Ojca świętego. Rozpoczyna rzecz w roku 1810, od daty urodzenia, kończy na elekcji Leona XIII w roku 1878. W jednej z dawniejszych rozpraw autor wyraził się nieprzychylnie o osobach, składających dwór papieski; we wstępie do świeżo wydanego tomu odwołał sąd własny w obawie, czy Ojciec św. nie weźmie tego za osobistą obrazę. Po odczytaniu tego ustępu Leon XIII rzekł łagodnie z wyrozumieniem: „Były to drobnostki, dawno już wyszły mi z pamięci, nie odnawiamy tego.“

Drugi tom, dotąd nie wydany, obejmie cały ciąg apostolskich rządów Ojca św., dobiegających ćwierćwiekowego jubileuszu.

Kazimierz Stryjeński, wydawca pamiętników hrabiny Potockiej, wydał obecnie książkę pod tytułem „Ofiary terroryzmu.“ Jedną z tych ofiar była księżna Rozalia z Lubomirskich Chodkiewiczowa.

Ta młoda kobieta przybyła do Paryża w roku 1792 z małą, czteroletnią, córeczką. Dziwna to była myśl przybycia do Paryża w epoce tak burzliwej; ale Paryż, jak mówią współcześni, w przeddzień tych groźnych wypadków, nie stracił jeszcze zwykłej fizygnomii. Wiele rodzin arystokratycznych wyemigrowało już za granicę. Jedne przebywały w Koblencyi, inne w Anglii. Lecz wiele ich pozostało jeszcze w Paryżu. Liczono tu codziennie po sześćdziesiąt balów, w dwudziestu dwóch teatrach przedstawiano komedye i farsy. Niepospolicie piękna księżna przybyła tu dla zabawy. Rzuciła się też w wir świata.

W Chaillot pod Paryżem przyjmowała liczne towarzystwo. Dnia jednego, gdy goście zbrali się w jej rezydencji, przyszła kobieta z ludu, upominając się o jakąś sumkę. Służba dopuścić jej nie chciała do pani, wreszcie, znudzona jej naleganiem, wyrzuciła ją za drzwi. Było to w maju 1793 roku. Obrażona kobieta udała się ze

skargą do trybunału rewolucyjnego. W tych czasach jedna denuncyacya wystarczyła, aby rzucić podejrzenie na oskarżoną. W parę miesięcy potem uwięziono księżną w „Conciergerie“. Wytoczono jej proces. Wezwano obrażoną kobietę na świadectwo; zapytana, kogo widziała w domu księżnej, wymieniła, że pomiędzy gośćmi z arystokratycznego świata spostrzegła dwóch Anglików. Było to dostatecznym do zgubienia obwinionej; co więcej, w papierach uwięzionej również pani du Barry, znaleziono dwa listy ks. Lubomirskiej. W jednym z nich były słowa współczucia dla nieszczęśliwej królowej. Fouquier-Tinville okazał się nieprzebieganym. Jeszcze przed uwięzieniem swoim księżna, ostrzeżona o niebezpieczeństwie, chciała porozumieć się z mężem — nielatwo to było, umyśliła posłać wierną służbę Ukrainkę, do Polski.

„Czyś gotowa spełnić wszystko, co rozkażę? — zagadnęła dziewczynę.

„O tak! jam gotowa życie poświęcić dla pani, — odrzekła Ukrainka.

Księżna podjęła krucyfiks, żądała przysięgi na te słowa.

Dziewczyna przysięgła, zalewając się łzami. Na to księżna rozczesala i zaplotła jej włosy, przykazując, aby ich nie dotnęła przed przybyciem na miejsce, i pożegnała służbę. Dała jej na drogę trochę pieniędzy, upominając, żeby jej to wystarczyło, bo nie może dać więcej. Potem pobłogosławiła ją na drogę ze łzami. Dziewczyna doszła do granicy piechotą. W Niemczech przysiadła się do różnych wózków i tak dostała się na miejsce po dwóch miesiącach drogi. Stała przed księciem, ten rozplótł jej włosy i znalazł w warkoczach bilecik na cienkim papierze. Odczytał go i wypuścił z rąk pomieszany.

„Biedne dziecko“ — rzekł ze łzami.

Zanim ta wieść doszła do księcia, żona została uwięziona, rozpoczęło się śledztwo. Było naówczas w Paryżu kilku Polaków, między nimi Bartz, z poleceniem do Republiki francuskiej, i młody oficer, Hipolit Błęszyński; obaj rozpoczęli starania u ministra spraw zagranicznych. Ten przyrzekł pośrednictwo, ale w te czasy ministrowie mało znaczyli, cała władza spoczywała w trybunale rewolucyjnym.

Fouquier-Tinville badał sam księżną, przekręcał jej wyrazy z zamiarem potępienia. Oskarżona o związki z arystokracją i o korespondencyę z emigrantami, skazaną była na śmierć. Wyrok spełniono w końcu 1794 r.; w dniu, kiedy ją wleczono na plac egzekucyi, sto ofiar podzieliło jej losy. W miesiąc potem głowa Robespiera spadła pod gilotyną.

Pięcioletnią córeczkę księżnej oddano Izabelli Leżyńskiej, która odwiozła ją do ojca. Ta córka zaślubiona była później Rzewuskiemu, słynnemu Emirowi, poległemu w r. 1831. Rozalia Rzewuska dożyła późnego wieku, zmarła przed kilku laty. Po śmierci księżny krążyły o niej rozmaite legendy. Między innymi mówiono, że w rezydencji Lubomirskich na Ukrainie, w rocznicę jej śmierci, ukazuje się zawsze biała postać z uciętą głową. W Opolu na Ukrainie położono w kościele napis pamiątkowy, istniejący dotychczas.

Wydawca, Kazimierz Stryjeński, zebrał w archiwach paryskich wszystkie dokumenty, dotyczące smutnej tej sprawy, i dołączył je do krótkiego życiorysu.

Drugą ofiarą terroryzmu była córka Józefa Vernet'a, słynnego malarza, żona architekta Chalgrin.

W galerii Luvru przechowano portret jej, między pracami malarza Davida. Zaledwie naszkicowany. Kiedy ją oskarżono o związki z arystokratami, brat jej, Karol Vernet, udał się do Davida o protekcję. David, jak wiadomo, ściśle złączony z Robespierrem, mógł ją być ocalić, lecz tego nie uczynił. Domyślają się, że powodem odmowy była obrażona miłość własna. David zalecał się do pani Chalgrin. Odrzucony przez nią, nie zapomniał urazy. Z tego zapewne powodu portret jej pozostał niewykończony, a głowa jej spała pod gilotyną.

Znakomity erudyta, prezes akademii w Aix, w Prowancyi, Karol de Ribbe, zakończył życie w temże mieście, gdzie przebył długie lata. Oddany z zapałem badaniom historycznym i ekonomii społecznej, znalazł obfite źródło do prac swoich w archiwach licznych rodzin. Odkrył mnóstwo tak zwanych „Livres de raison,” inaczey „Silva Rerum”, w których dawni Francuzi zapisywali wypadki z życia publicznego i domowego. Bogate źródło do poznania życia i obyczajów dawnych pokoleń.

Z takich dokumentów wysnuł de Ribbe kilka dzieł wielkiej wagi. Jedną z tych prac pod tytułem „Społeczeństwo Prowensalskie u schyłku wieków średnich” uwieńczył autor szereg innych prac

w tymże rodzaju; ta księga, oparta na zapiskach domowych, rozpoczęta w piętnastym wieku, długie czasy pozostała w ukryciu, zamurowana w starym domu, gdzie przeleżała czasy terroryzmu. Autor wydobyl ją przypadkiem; na czele dzieła pomieścił tekst, a następnie dopełnił je znakomitym komentarzem. Przed dwoma laty akademia francuska przeznaczyła mu nagrodę Goberta za tę pracę sumienną i uczoną.

W końcu życia autor postanowił ułożyć swe własne Sylwa Rerum, zebrał do niego bogate materyały, a nawet utworzył je w całości.

Do cennych pomników, wydobytych z ukrycia i stwierdzonych przez erudyta, należą zapiski rodziny du Laurent, żyjącej w XVI-yim wieku; na ostatnich stronicach księgi autor przytacza wyrazy Joanny de Laurent, „kiedy odczytuję niektórym osobom nakreślone przeze mnie słowa, mówią mi:

„Były to czasy inne, i lepsze od dzisiejszych“. Ja odpowiadam na to: „każdy czas dobry, aby żyć dobrze i cnotliwie; Bóg dziś tak potężny, jak dawniej, do nas należy stać się godnymi jego łaski. Koniec wieńczy dzieło.“

Słowa te można śmiało zastosować do autora.

Związany ściśle przyjaźnią ze znakomitym ekonomistą, Le Play, Karol de Ribbe przed laty kilkunastu wydał o nim książkę p. t. „Le Play d'après sa correspondance“.

Są to wyjątki z jego listów, pokazujące w uczonym mężu człowieka pełnego serca i najszlachetniejszych uczuć. Był to hołd pośmiertny; Le Play umarł w roku 1882. W książce tej de Ribbe wyraził życzenie, aby notaty z podróży po Europie ogłoszone kiedyś zostały. Otóż dowiadujemy się, że w tym czasie chęciom tym zadosyć się stało.

Podróż po Europie według notat Le Play'a wyszła obecnie z druku.

Będzie obowiązkiem naszym zdać z niej sprawę w jednej z następnych kronik.

Powiedzmy nakoniec słówko o pięknych publikacjach, przeznaczonych na upominki noworoczne. Wydawcy rozwinęli w nich niesłychaną wytworność z powodu zbliżającej się wystawy, a bardziej jeszcze z powodu roku kończącego wiek dziewiętnasty, w którym wiele osób widzi początek dwudziestego, zapewne dla dziewiątki zastępującej osemkę.

Wspaniała publikacja, wydana pod firmą Plon: „Paryż od roku 1800 do 1900 roku“, obejmie trzy wielkie tomy in 8'. Będzie to dokładna historia Paryża w ciągu stu lat ubiegłych.

Ozdobią dzieło cztery tysiące rycin. Pięćdziesięciu współpracowników, członków akademii, instytutu itp., składać się będzie na tę pomnikową pracę.

Dotąd wyszły z druku trzy pierwsze zeszyty; siedemnaście dalszych ukaże się wraz z otwarciem wystawy.

Firma Hachette wystąpiła z pysznym woluminem pod tytułem: „Rubens, jego życie i dzieła“. Oprócz 250-u rycin, zamieszczonych w tekście, dodano osiemdziesiąt wielkich reprodukcji z najcelniejszych utworów mistrza.

Wydaniem zajął się Henryk Michel, członek instytutu francuskiego. Pokazuje on w Rubensie wielkiego malarza i dyplomatę.

Do najważniejszych publikacji należy wielka księga, wydana w Tours pod Firmą Mame „Święty Piotr w Rzymie“, napisana przez księdza Mortier, zakonu Świętego Dominika. W pierwszej części autor ukazuje grobowiec Świętego Piotra i zaznacza miejsce, jakie pomnik ten zajmuje w świecie sztuki. W drugiej części mamy przed oczyma holdy chrześcian, składane pierwszemu z apostołów.

Obraz rozwoju przemysłu wielkiego w Królestwie Polskim.¹⁾

III.

Przemysł, przerabiający plody zwierzęce.

Przemysł ten obejmuje garbarnie i białoskórnice, fabryki świec, kleju, strun, sit i t. p.

Rozwój jego przedstawia się następująco:

T a b l i c a X I.

Rok	Wartość produkcji w tys. rubli	Ilość zakła- dów	Ilość robot- ników	Ile rubli na jedną fabrykę	Ile rubli na jednego robotnika	Ilu robotni- ków na jedną fabrykę
1850	788	—	5,053	—	—	—
1855	1,500	1,032	4,500	1,470	333	4.5
1857	1,955	1,372	5,679	1,427	343	4
1866	3,728	770	2,415	4,383	1,405	3
1870	3,824	548	2,079	6,953	1,841	4
1873	7,336	554	2,907	13,338	2,524	5
1880	9,325	637	3,342	14,570	2,790	5
1884	8,378	482	3,347	17,454	2,501	7
1892	7,588	332	4,082	23,000	1,860	12
	(9,485)	—	(5,103)	(28,000)	—	(15)
1895	10,621	129	3,826	81,700	2,766	29
+ ¹ / ₄	13,726	"	4,782	102,123	"	37

¹⁾ Patrz zeszyt lutowy.

W dziale tym, przy blisko dziewięciokrotnym wzroście wartości produkcji za lat czterdzieści, widzimy ciągle zmniejszanie się ilości zakładów (z 1,372 w 1857 roku do 129 w roku 1895. Rozmiary przeciętne pojedynczego przedsiębiorstwa rozrosły się znacznie dopiero po 1884 roku (w 1884 roku na jedną fabrykę wypadało rocznie 17,454 rubli wartości produkcji i 7 robotników, w 1895 roku przeszło 100 tysięcy rubli i 37 robotników. Wydajność pracy robotnika z 332 rubli w 1855 roku podniosła się do 2,766 rubli w 1895 roku ($8\frac{1}{3}$ raza. Płaca zarobna ze 100 rubli w 1867 roku i 104 w 1868 roku wzrosła w 1888 r. do 235 rubli (o 130 %).

Za ognisko tego przemysłu, zwłaszcza garbarskiego i białoskórniczego, uważać należy gubernię Warszawską, właściwie — Warszawę. Z 13 milionów rubli wartości produkcji, w tym dziale na gubernię Warszawską wypada około 10 milionów rubli, przy 60 zakładach i 3 tysiącach robotników, na Suwalską z górą 1 milion rubli 28 zakładów i 650 robotników, Radomską przeszło 900 tysięcy rubli, 16 zakładów i 350 robotników i t. d.

Wyroby tego działu przemysłu znajdują zbyt w Królestwie i Cesarstwie, a częściowo i za granicą (garbarstwo).

IV.

Przemysł chemiczny.

W ostatniem również dwudziestopięcioleciu rozwinął się do większych rozmiarów przemysł chemiczny, choć nie dorównywa świetnemu rozwojowi tej gałęzi przemysłu za granicą (naprzykład w Niemczech). Przyjrzyjmy się jego rozwojowi. W roku 1857 były 4 fabryki chemiczne z produkcją wartość 77.3 tysiące rubli i 67 robotnikami; w 1870 roku — 24 fabryki, wartość produkcji 304 tysiące rubli, 259 robotników; w 1884 roku — 36 fabryk, wartość produkcji 1,516 tysięcy rubli, 653 robotników. Wreszcie w 1895 roku 50 fabryk dało produkcję wartości 7,904 tysięcy rubli (urzędowo 6,323 tysiące rubli) przy 2,500 robotnikach (urzędowo 1,988).

Tak więc już po 1870 roku do 1895 roku wartość produkcji podniosła się 26 razy, ilość zakładów dwa razy, a ilość robotników blisko dziesięć razy.

Na jedną fabrykę wypadło w 1857 roku 19 tysięcy rubli produkcji i 17 robotników, w 1870 — 12.7 tysiąca rubli i 11 robotników, w 1884 roku — 42 tysiące rubli i 18 robotników, wreszcie w 1895 — 158 tysięcy rubli i 50 robotników. Wydajność pracy robotnika z 1,154 rubli wartości produkcji w 1857 roku i 1,170 rubli w 1870 roku, wzrosła do 2,502 rubli w 1884 roku i 3,161 rubli w 1895 roku.

Płaca zarobna ze 175 rubli w 1867 roku wzrosła do 192 rubli w 1888 roku, to jest o 9.7%.

V.

Przemysł, przerabiający plody kruszcowe i ziemne.

Zaliczyć tu należy: górnictwo i hutnictwo, oraz Przemysł przetwórczy, oparty na górnictwie i hutnictwie, a więc: kopalnie węgla kamiennego, rud żelaznych, cynkowych i t. d., fabryki żelaza, odlewów, machin, narzędzi, wyrobów metalowych wogóle; dalej: Fabryki szkła, fajansu, broni, wyrobów blaszanych; kopalnie i szlifiernie marmurów, wapiarnie, cegielnie i t. d.

Rozpocznijemy od zobrazowania naszego przemysłu górniczego i hutniczego.

a) Górnictwo i hutnictwo.

Bogactwa naturalne kraju oddawna sprzyjały u nas rozwojowi przemysłu górniczego, to też kwitnął on od czasów bardzo odległych, wznosząc się, lub upadając w zależności od ogólnych warunków bytu

kraju i społeczeństwa. W wieku bieżącym duże zasługi dla rozwoju górnictwa położyli Staszic i książę Lubecki, później zaś Bank Polski, który upadający po 1830 roku przemysł górniczy wziął pod swe kierownictwo na okres 1833 — 1842 roku. Otaczał on górnictwo bardzo troskliwą opieką, udoskonalił technikę produkcji, wprowadził najnowsze ulepszenia, w kopalni i huty kładł znaczne kapitały, podniósł znacznie wydajność kopalni, zakładał warsztaty mechaniczne, wreszcie powołał do życia szereg zakładów górniczych i hutniczych, między innymi największe do dziś dnia przedsiębiorstwo hutnicze w Królestwie Polskiem—Hutę Bankową. Po dziewięciu latach rozkwitu, górnictwo przeszło z pod opieki Banku w ręce Skarbu, wkrótce jednak znów zaczęło upadać, wobec czego Skarb widział się zmuszonym oddać zakłady górnicze w ręce przedsiębiorców prywatnych, przeważnie cudzoziemców, w których ręku pozostają w większości dotychczas.

Do 1870 roku przemysł górniczy rozwijał się bardzo słabo. Znaczny wpływ na rozwój górnictwa, głównie przemysłu węglowego, miało zbudowanie kolei Warszawsko - Wiedeńskiej, która w 1858 roku przewiozła z zagłębia dąbrowskiego 945 tysięcy pudów węgla, w 1860 roku 3.5 miliona pudów, a w 1870 roku już 17.7 miliona pudów. Jednak po 1870 roku dopiero zaczyna się żywszy, a następnie szybki i szeroki rozwój przemysłu górniczego i metalurgicznego. Oddziaływały w tym kierunku liczne i skombinowane czynniki, jak przeprowadzenie wielu kolei w Królestwie i najbliższych guberniach Cesarstwa, zarządzenia celne (cło złote w 1877 roku i podnoszenie kilkakrotne cła na zagraniczny węgiel, surowiec, żelazo i t. d.), oraz coraz większy rozrost przemysłu fabrycznego w kraju po 1870 roku.

Przejdziemy do rozpatrzenia poszczególnych gałęzi przemysłu górniczego.

a) Przemysł żelazny (metalurgiczny).

Kopalnie i zakłady hutnicze w Królestwie dzielą się na dwa okręgi: wschodni (w guberniach Radomskiej i Kieleckiej), oraz zachodni, dąbrowsko - sosnowicki (w gubernii Piotrkowskiej). Obydwa te okręgi posiadają rudę żelazną: pierwszy w okolicach Kiele, Suchedniowa, Ostrowca, Starachowic, Końskich, Nieklania, Rudy Malenieckiej i t. d., drugi pod Dąbrową Górniczą, Częstochową, Zawier-

ciem i Olkuszem, przytem produkcyja obydwu okręgów jest prawie równa z nieznaczną przewyżką w okręgu zachodnim. O ciągłym wzroście produkcyi rud krajowych świadczą dane, wykazujące, iż w 1865 roku dobyto 3.3 miliona pudów rudy, w roku 1883 9.8 miliona pudów, w 1892 roku 11 i pół miliona pudów, 1895 roku 17 milionów pudów, wreszcie w 1897 roku około 20 milionów pudów. Równoległe ze wzrostem produkcyi, wzrastała ilość kopalni i robotników, oraz wartość produkcyi. W 1865 roku w 79 kopalniach pracowało około 2,000 robotników; wartość produkcyi wynosiła 150 tysięcy rubli. W 1883 roku było 76 kopalni; w 1895 roku — 99 kopalni, a około 6 tysięcy robotników i wartość produkcyi dosięgała półtora miliona rubli; wreszcie w 1897 roku ilość kopalni wzrosła do 110. W roku 1855 na jedną kopalnię wypadało 41,250 pudów rudy, wartości 1875 rubli, oraz 25 robotników, w 1895 roku — 201,000 pudów rudy, wartości 15 tysięcy rubli i 60 robotników. Wydajność pracy robotnika z 1,650 pudów i 75 rubli wartości produkcyi w 1865 roku wzrosła do 3,350 pudów i 250 rubli na jednego robotnika w 1895 roku. W stosunku do Cesarstwa, eksploatacyja rudy żelaznej w Królestwie Polskiem zajmuje miejsce wydatne: w 1892 roku w dwóch głównych okręgach przemysłu żelaznego w Cesarstwie (na Uralu i w Południowej Rosyji) wydobyto 82.6 miliona pudów rudy, w Królestwie 11.4 miliona pudów (blisko $\frac{1}{7}$); w 1893 roku 93.7 miliona pudów i 13.8 miliona pudów — przeszło $\frac{1}{7}$. Pomimo to jednak Królestwo Polskie nietylko zużywa całą swą produkcję rudy na potrzeby swego przemysłu metalurgicznego, lecz nadto sprowadza znaczne ilości rudy z południowych gubernii Cesarstwa — aż z Krzywego Rogu.

Właściwa produkcyja żelaza z rud, a więc wytapianie surowca, oraz wyrób żelaza i stali do roku 1870, a nawet lat późniejszych jeszcze, była nieznaczną, na rozwój jej wpłynęły dopiero czynniki, o których mówiliśmy wyżej. Tak w 1840 roku wyprodukowano 1.2 miliona pudów surowca i 0.6 miliona pudów żelaza; w 1856 roku 1.1 mil. pudów surowca; w 1870 roku 1.6 miliona pudów surowca i 0.76 miliona pudów żelaza. Od roku 1880 do 1885 produkcyja surowca wynosi rocznie około 3 milionów pudów, a żelaza i stali od 5 i pół do 6 i pół miliona pudów; później zaczyna szybko wzrastać, wykazując w ciągu lat trzynastu (1885—1897) wzrost w produkcyi surowca o 460% (z 2.5 mil. pudów do 13.9 mil. pudów), w wyrobie stali o 400% (z 2.4 mil. pudów do 12.2 mil. pudów), podczas gdy wyrób żelaza w tym czasie utrzymywał się na jednym prawie poziomie (4.19 mil. pudów i 4.14 mil. pudów). W 1865 roku istniały 83 zakłady hutnicze (nie licząc 134 fryszerek), dające produkcję wartości 2,412 tysięcy rubli i zatrudniające 4,600 robotników. Dziś hutnictwo żelazne (35

zakładów) zatrudnia, według danych urzędowych, około 12 tysięcy robotników, wartość produkcji sięga 20 milionów rubli.

W stosunku do produkcji żelaznej Cesarstwa, produkcja surowca w Królestwie Polskiem stanowi $\frac{1}{6}$, żelaza $\frac{1}{7}$, a stali $\frac{1}{3}$. W ciągu ostatnich lat kilkunastu widzimy szybszy wzrost produkcji, niż w Cesarstwie. Od 1880 do 1896 roku produkcja surowca w całym państwie wzrosła z 28 i pół miliona pudów do 97 i pół miliona pudów (o 234%), w Królestwie Polskiem z 2.7 mil. pudów do 13.3 mil. pudów (o 392%); produkcja żelaza w całym państwie z 17.8 mil. pudów do 30 i pół miliona pudów (o 71%), w Królestwie Polskiem z 1.3 mil. pudów do 3.5 mil. pudów (o 165%); wyrób stali w państwie z 18.7 do 43.8 mil. pudów (o 136%), w Królestwie Polskiem z 4.3 do 10.4 mil. pudów (o 139%).

W stosunku do przemysłu żelaznego krajów Zachodu, przemysł Królestwa Polskiego przedstawia się, jak następuje (według produkcji surowca): w 1897 roku na kuli ziemskiej wyprodukowano surowca 31 milionów tonn (tonna = 61 pudom). Z tego wypadło: na Stany Zjednoczone, Anglię i Niemcy 24 miliony tonn, na Francję 2 miliony tonn, na Rosyję 1.6 mil. tonn, na Austryę 1.2 mil. tonn, na Belgię 950 tysięcy tonn, na Szwecyę 560 tysięcy tonn, na Hiszpanię 300 tysięcy tonn i t. d. Na Królestwo Polskie przypada 230 tysięcy tonn, czyli nieznaczna $\frac{1}{135}$ część ogólnej produkcji na kuli ziemskiej.

Według gubernii produkcja żelazna w Królestwie Polskiem dzieli się, jak następuje: z ogólnej summy wyprodukowanego w 1895 roku surowca 11 i pół miliona pudów, żelaza walcowanego 3.8 mil. pudów i stali 9.4 mil. pudów, w summie 17 milionów rubli wartości przy 12 tysiącach robotników — na gubernię Piotrkowską przypada 6 milionów pudów surowca, 2.6 mil. pudów żelaza i 7.2 mil. pudów stali (wartość produkcji 13 milionów rub., 5,500 robotników); na Radomską przeszło 5 milionów pudów surowca, 1.2 mil. pudów żelaza i 2.2 mil. pudów stali; na Kielecką 0.33 mil. pudów surowca.

Zsumnujemy wartość i rozmiary produkcji kopalni rud żelaznych i zakładów hutniczych. Według obliczeń minimalnych, 110 kopalni i 35 zakładów hutniczych daje produkcję wartości przeszło 20 milionów rubli i zatrudnia 18 tysięcy robotników. Podnosząc te dane o $\frac{1}{4}$, otrzymamy wartość produkcji 25 milionów rubli, a ilość robotników 22,500. Według okręgów: z ogólnej wartości produkcji 25 milionów rubli przypada na okręg zachodni 13.2 mil. rubli, na wschodni — 11.8 mil. rubli.

b) Przemysł cynkowy.

Prócz rud żelaznych, Królestwo Polskie posiada obfite pokłady galmanu, czyli rud cynkowych, w powiecie Olkuskim i Będzińskim. To też galman dobywano u nas jeszcze w wieku XVI, a następnie za Stanisława Augusta. Dziś jednak ta gałąź przemysłu górniczego znajduje się w zastoju, nie wykazując od lat szeregu dążeń do wzrostu. Za przyczynę podać należy wyczerpanie górnych pokładów rud cynkowych, techniczne trudności eksploatacji, wymagającej kosztownego osuszania kopalni, oraz konkurencyę cynku zagranicznego, głównie szląskiego i belgijskiego. Cło od puda cynku wynosi ledwo 8 kopiejek, stąd przywóz roczny dochodzi 500 tysięcy pudów, przewyższając dwa razy produkcję Królestwa.

Dobywanie galmanu wynosiło: w 1865 roku 915 tysięcy pudów, w 1893 roku 3 miliony pudów, w 1897 roku 2.1 mil. pudów. W kopalniach pracowało 762 robotników.

Cynku wyprodukowano: w 1856 roku 98 tysięcy pudów, w 1865 — 188.6 tysiąca pudów, w 1870 — 201 tysięcy pudów, w 1880 — 268 tysięcy pudów, w 1890 — 230 tysięcy pudów, w 1893 — 276 tysięcy pudów, w 1897 — 369 tysięcy pudów. Wartość wydobytych w 2 hutach 369 tysięcy pudów cynku (1897 roku) wynosi 1.2 mil. rubli; robotników w hutach pracuje 1,500. Ogółem w kopalniach i na hutach 2,262.

Udział Królestwa Polskiego w ogólnie - światowej produkcji cynku jest nieznaczny. Z 418 tysięcy tonn produkcji całej kuli ziemskiej, na Stany Zjednoczone przypada 73 tys. tonn, prowincye nadreńskie, Belgię i Hollandyę 172 tys. tonn, Szląsk 96 tys. tonn, na Francyę i Hiszpanię 28 tysięcy tonn, na Wielką Brytanię 25 tysięcy tonn, na Austryę 9 tysięcy tonn; Królestwo Polskie daje 6 tysięcy tonn, czyli $\frac{1}{60}$ produkcji całej Europy (345 tysięcy tonn), a $\frac{1}{70}$ całej kuli ziemskiej.

W Cesarstwie produkcya cynku nie istnieje, mimo pokładów rudy nad Donem i na Kaukazie.

c) Przemysł węglowy.

Przemysł węglowy u nas powstał daleko później, niż żelazny, gdyż dopiero w końcu XVIII wieku, wraz z przejściem zagłębia dąbrowskiego pod krótkotrwałe panowanie pruskie (nie licząc prób do-

bywania węgla za Stanisława Augusta). Założono tu kopalnię rządową Reden (na cześć pruskiego ministra robót publicznych, hr. Redena; stąd i podział pokładów na podredenowskie, redenowskie i nadredenowskie). Około 1830 roku założono w Dąbrowie kilka nowych kopalni rządowych: pod Będzinem, w Niwce i Niemczech (w 1840 roku dały 6 milionów pudów węgla). Produkcya aż do roku 1870 rozwijała się bardzo powoli. W 1856 roku otrzymano 5 milionów pudów, w 1864 i 1865 roku po 10 milionów pudów, od 1865 do 1870 roku po 15 i pół miliona pudów średnio rocznie. W 1870 roku wydane zostało prawo górnicze, oddzielające częściowo własność powierzchni ziemi od własności wnętrza, i dające prawo wydobywania płodów kopalnictwa na cudzej ziemi, nawet bez zgody jej właściciela, za pewnem tylko odszkodowaniem. Wywołało to znaczny napływ kapitałów, zwłaszcza zagranicznych, do przemysłu węglowego, dając bodziec do szybkiego jego rozwoju i powołując do życia szereg nowych kopalni. W 1873 roku było 13 kopalni, w 1874 roku — 20, w 1875 roku 25. W pięcioleciu 1870—1875, otrzymywano przeciętnie rocznie 21 milionów pudów węgla, a w następnem, 1875 — 1880, już 53 miliony pudów. Pomiędzy 1870—1880 rokiem produkcya wzrasta czterokrotnie.

Podniesienie cła na węgiel szląski w 1897 roku (cło złote), niżka kursu rubla kredytowego i dalsze podniesienie cła w 1882, 1884 i 1886 roku ograniczyły niezmiernie dowóz węgla szląskiego i wpłynęły na szybki rozrost przemysłu węglowego. Jednocześnie działały w tym kierunku: 1) przeprowadzenie kolei w Królestwie Polskiem i w Cesarstwie, zwiększające popyt na węgiel na użytek kolei i obsługiwanych przez nie okolic; 2) rozwój przemysłu fabrycznego w kraju. Pomiędzy 1880 a 1885 rokiem kopalnie dąbrowskie dają rocznie przeciętnie 97 milionów pudów, a w 1885 — 1890 roku 138 milionów pudów. Wreszcie w ostatnich latach wielkość produkcji dosięgła: w 1891 roku — 159 milionów pudów, w 1895 — 225 milionów pudów, 1897 — 230 milionów pudów, 1898 — 246 milionów pudów.

Wartość produkcji węgla, niedochodząca w 1873, 1874 i 1875 roku do 1 miliona rubli, w 1894 roku wynosiła przeszło 9 milionów rubli, w 1897 roku — 11 do 12 milionów rubli, dziś 12 do 14 milionów rubli.

Ilość robotników w 1873 roku wynosiła 3,255, a w 1885 — 7,816, w 1896 roku — 16 do 18 tysięcy, dziś około 20 tysięcy.

Dalsze widoki rozwoju naszego przemysłu węglowego są nader pomyślne. Węgiel szląski wobec wysokich cel nie wytrzymuje konkurencyi. Natomiast zapotrzebowanie i rynki zbytu węgla dąbrowskiego szybko się rozszerzają. Dotychczas głównymi spożywcami węgla polskiego były fabryki i koleje Królestwa, nieznaczna tylko ilość

szyła na potrzeby kolei Cesarstwa, na których węgiel dąbrowski, posuwając się stopniowo w kierunku wschodnim i północnym, wypiera coraz bardziej drzewo i węgiel angielski. Na potrzeby łódzkiego okręgu fabrycznego poszło węgla w 1890 roku 30.6 mil. pudów, w 1893 — 36 milionów pudów, w 1896 — 41 milionów pudów; na okrąg sosnowicki w 1890 roku — 40 milionów pudów, warszawski w 1890 roku — 26 milionów pudów, w 1893 — 35 i pół miliona pudów.

W 1895 roku z ogólnej produkcji 225 milionów pudów na potrzeby okręgu sosnowickiego pozostało 45 — 50 milionów pudów, wywieziono kolejami z zagłębia dąbrowskiego 170 — 180 milionów pudów. Z tej liczby na pas, obsługiwany przez kolej wiedeńską, wypada 83 miliony pudów, łódzką 40 milionów pudów, dąbrowską 18 milionów pudów, nadwiślańską około 10 milionów pudów. Reszta 20 — 30 milionów pudów poszła na koleje Cesarstwa. W 1880 roku wywóz do Cesarstwa wynosił tylko 10.8 miliona pudów, w 1885 — 13.4 mil. pudów, w 1890 — 17 i pół miliona pudów, wreszcie w 1895 — 20 do 30 milionów pudów.

Kopalni czynnych było w 1897 roku 19; należały one do 13 firm, które, stosownie do rozmiarów, dzieliły się na dwie grupy. Pierwszą stanowią firmy wielkie, z produkcją ponad 20 milionów pudów rocznie: 1) Towarzystwo Sosnowickie z 96.5 miliona pudów produkcji w 1895 roku (3 kopalnie i 5,600 robot.), czyli 43% ogólnej produkcji węgla w Królestwie Polskiem, a $\frac{1}{6}$ w całym państwie. 2) Hr. Renarda z 31.3 mil. pudów (2 kop. i 1,750 robotników); 3) Warszawskie z 29.5 mil. pudów (2 kop. i 2,200 robotników); 4) ks. Hohenlohego z 21.9 mil. pudów (1 kop. 1,800 robotników); 5) Francusko-Włoskie z 20 mil. pud. (2 kop. i 1,400 robotników). Ogółem pięć tych firm dało 200 milionów pudów, czyli 89% produkcji. Pozostałe osiem firm dały razem 11% produkcji: „Czeladź“ (10.2 mil. pudów, 1 kop., 1,800 robotników); „Länderbank“ (6.7 mil. pudów, 1 kop., 800 robotników), „Jan“ (3.7 mil. pudów, 1 kop., 360 robotników) i t. d. Wykazuje to stopień centralizacji wielko - przemysłowej w naszym przemyśle węglowym. Widać stąd, iż produkcya węgla jest niemal zmonopolizowana w ręku pięciu wielkich Towarzystw akcyjnych. Nie poprzestając na olbrzymiej przewadze faktycznej, dążą one świadomie do zapanowania nad całym rynkiem Królestwa Polskiego i wyzyskiwania go w celach spekulacyjnych, co znalazło swój wyraz w formie świadomej centralizacji, syndykacie węglowym, i uwydatniło się w drożyźnie węgla w roku 1897 i 1899.

W stosunku do produkcji całego państwa, zagłębie dąbrowskie zajmuje miejsce wydatne, ustępując jednak zagłębiu donieckiemu, które daje 51% ogólnej produkcji, gdy dąbrowskie 42%. Pozostałe 7%

dają okręgi: uralski, kaukaski, moskiewski i t. d. Nadto produkcya zagłębia dąbrowskiego wzrasta wolniej, niż donieckiego, jednak stosunkowo prędzej, niż w całym państwie.

W stosunku do ogółu produkcji węgla na kuli ziemskiej i w poszczególnych, bardziej rozwiniętych, krajach Zachodu, produkcya w Królestwie Polskiem (zarówno jak w całym państwie) zajmuje miejsce dalekie, stanowiąc (w 1892 roku) $\frac{1}{180}$ całej produkcji węgla na ziemi, $\frac{1}{63}$ w stosunku do Anglii, $\frac{1}{32}$ do Niemiec, $\frac{1}{9}$ do Austrii i Francyi, $\frac{1}{7}$ do Belgii i t. d.

Spożycie węgla na jednego mieszkańca Królestwa Polskiego dochodzi 23 pudów rocznie.

Prócz węgla kamiennego dozywany jest nadto węgiel brunatny (pod Częstochową). W 1897 roku dożyto go 3 miliony pudów, przy udziale 200 robotników.

Przy dozywaniu kamieni budowlanych i wapiennych z 35 kamieniołomów większych pracowało w 1896 roku 229 robotników. Przy produkcji soli w Ciechocinku pracuje 50 ludzi.

Zsumowawszy wyżej przytoczone dane, otrzymamy: ilość kopalni i zakładów w całym przemyśle górniczo-hutniczym—201, wartość produkcji 38.2 mil. rubli, ilość robotników 48 tysięcy.

Zestawmy te dane z danymi lat poprzednich:

Tablica XII.

Rok	Wart. prod. w 1000 rb.	Ilość zakł.	Robot- ników	Ile rb. na 1 zakład	Ile rb. na 1 robot.	Ilu rob. na 1 rob.
1857	3,000	301	10,500	10,000	286	34
1870	3,516	182	6,443	13,824	545	35
1873	6,052	124	8,310	48,806	753	67
1897	38,200	201	47,308	190,049	850 ¹⁾	235

¹⁾ Nie licząc kamieniołomów.

Tak pomiędzy 1870—97 r. wartość prod. górniczo-hutniczej wzrosła blisko 11 razy, a ilość robotników przeszło 7 razy.

O postępach centralizacji wielko-przemysłowej w górnictwie sędzić możemy z następujących danych. W 1857 r. na 1 zakład wypadało 10,000 rb. wartości produkcji i 34 robotników, w 1870 r.—13.8 tys. rubli i 35 robotników, a w 1897 r. już 190,000 rubli i 235 robotników.

B) Przemysł metalowy oparty na górnictwie i hutnictwie.

Gałąź ta obejmuje fabryki maszyn, narzędzi i wyrobów metalowych i w rozwoju swym przedstawia się, jak następuje:

T a b l i c a XIII.

Rok	Wart. prod. w 1000 rb.	Fa- bryk	Robot- ników	Ile rb. na 1 fabrykę	Ile rb. na 1 robot.	Ilu rob. na 1 fab.
1857	550	118	2,230	4,583	246	19
1870	2,800	97	3,151	28,866	888	32
1884	14,300	192	10,677	75,260	1,336	56
1895	27,037	230	17,221	117,522	1,569	75
" + 1/4	33,796	"	21,526	146,940	1,569	93

W ciągu lat 25 (1870—95 r.) wartość produkcji wzrosła więc 12 razy, a ilość robotników blisko 7 razy. Na 1 fabrykę w 1870 r. wypadało 28.8 tys. rb. i 32 robotników, w 1895 r.—147,000 rb. i 93 robotników. Wydajność pracy wzrosła w tym czasie blisko dwukrotnie (z 888 rb. do 1,569 rb.).

Ta gałąź produkcji koncentruje się głównie w Warszawie, nadając jej przemysłowemu okręgowi cechy centrum przemysłu mechanicznego. Produkty tego rodzaju mają zbyte nie tylko w kraju, ale w całym państwie.

C) Wapniarnie i cegielnie.

Statystyka odnośna jest bardzo niedostateczna i nieopracowana. Przytaczamy posiadane dane. W 1855 r. 773 zakłady przy 4,107 robotnikach dały produkcję wartości 992,000 rb.; w 1884 r. 537 zakładów przy 5,128 robotnikach dało produkcję wartości 2,700,000 rb.; w 1895 r. zakładów było w przybliżeniu 600, robotników około 6,000, wartość produkcji około 4,000,000 rubli.

Wartość tedy produkcji w ciągu lat blisko 40 wzrosła z górą 4 razy, ilość robotników prawie 1½ raza.

D) Fabryki szkła, fajansu, ceramiki itd.

O tej gałęzi przemysłu mamy dane z lat 1857, 1870, 1884 i 1895, świadczące o znacznym jej rozwoju po 1870 r.

Tak w 1857 było fabryk tego rodzaju 43 z 1,738 robot. i 300,000 rb. wartości prod.; w 1870 95 fabryk, 1,339 robotników, wartość produkcji 500,000 rb.; w 1884 r. — 142 fabryki, 3,278 robotników, wartość produkcji 1,747,000 rb.; w 1895 r. 172 fabryki, 11,620 robotników (urzęd. 9,297), wartość produkcji 7,859,000 rb. (urzęd. 6,287 rb.)

E) Cały przemysł kruszczowy i ziemny.

Cały zaś przemysł kruszczowy i ziemny rozwijał się, jak następuje:

T a b l i c a XIV.

Rok	Wart. prod. w 1000 rb.	Zakła- dów	Robot- ników
1850	2,500	—	8,800
1857	4,850	1,235	18,575
1870	8,500	956	13,767
1873	12,796	894	14,749
1880	32,282	1,127	27,349
1895—7	83,855	1,203	86,454

Jak widzimy, złożona ta gałąź przemysłu, jeszcze w r. 1870 będąca w stadium słabego rozwoju, dziś stanowi potężny odłam produkcji krajowej, zajmując, tak co do swej wartości, jak i ilości zatrudnionych robotników, drugie miejsce po przemyśle tkackim.

Do powyższych działów przemysłu włączyć jeszcze należy fabryki „rozmaite“, obejmujące fabryki wstążek, koronek, tiulów, kwiatów sztucznych itd. Wartość produkcji w 1895 wynosiła 8.2 mil. rb przy 93 zakładach i 6,287 robotnikach.

VI.

C a ł y p r z e m y ś ł .

Wielkość całego naszego przemysłu przedstawia się więc, jak następuje:

Tablica XV.

Gałąź przemysłu	Wart. prod. w 1000 rb	Zakładów	Robotników
Tkactwo	167,146	395	101,000
Przem., przerob. płody krusz. i ziemne	83,855	1,203	86,454
" " " roślinne	69,521	1,038	42,514
" " " zwierzęce	13,276	129	4,782
" chemiczny	7,904	50	2,500
Fabryki rozmaite	8,231	93	6,278
Ogółem	349,933	2,808	243,537

W rozwoju swym całość wytworzenia przemysłowego przechodziła przez następujące fazy:

T a b l i c a X V I.

Rok	Wart. prod. w 1000 rb.	Zakła- dów	Robot- ników
1845	16,966	10,488	46,397
1857	42,501	12,541	56,364
1866	52,721	10,979	69,182
1870	63,943	6,513	63,892
1882	170,000	7,060	119,000
1895—7	349,933	2,802	243,837

Gdy w okresie 1845—70 r. wartość produkcji wzrosła z 17 mil. rb. do 64 mil. rb. (4 razy), a ilość robotników z 40 do 69,000 (1½ raza), w następnym 25-leciu (1870—95 r.) wartość produkcji podniosła się przeszło 5 razy (z 64 do 350 mil. rb.), a ilość robotników prawie 4 razy (z 64 do 244,000).

Jednocześnie ze wzrostem wartości produkcji widzimy przez cały ciąg badanego rozwoju przemysłowego zmniejszanie się ilości zakładów przemysłowych, czyli tak zwane wchłanianie drobnych przedsiębiorstw przez rozrastające się wielkie.

Łość robotników, podana w tablicy na 244,000, zawiera w sobie pracujących w fabrykach i zakładach „większych“. Nie wchodzi tu cała masa ludzi zatrudnionych w dużej liczbie drobniejszych pracowni i zakładów, dająca się określić na 15—25,000. Należy również wziąć pod uwagę t. zw. „zapasową armię przemysłową“, będącą zawsze na usługi przemysłu wielkiego, a wytwarzaną przez kryzysy, wahania przemysłowe itd. W Anglii, między 1886—92 r., nawet w dobrze zorganizowanych związkach zawodowych procent niezajętych na razie robotników wynosił według Hobsona stale 6%; właściwie zaś stanowi on lub przenosi 10%. Stosując rachunek angielski, otrzymamy cyfrę 24,000 osób. Jeśli dodamy pracowników mularskich, kolejowych ¹⁾, i różne kategorie robotników miejskich, jak tramwajow-

¹⁾ Cyfra robotników i oficjalistów kolejowych w całym Państwie, według „Więstnika Finan.“, wynosiła w r. 1892 301,000—w Królestwie Polskiem 27,000.

wych woźniców, dorozkarzy, posłańców, tragarzy, stróżów, szwaczki, praczki, służbę domową, oraz policzymy, że na jednego robotnika przypada 3 — 4 członków rodziny, otrzymamy, iż żyjąca wyłącznie z pracy rąk ludność fabryczna i miejska wyniesie 1—1.200,000 osób. Cyfra ta zwiększyła-by się znacznie przez włączenie do niej wszystkich wogóle czeladników i terminatorów rzemieślniczych, obsługi handlowej itd.').

Ciekawe nader jest porównanie stosunkowe danych o wartości produkcji, ilości robotników i zakładów przemysłowych między sobą oraz z ilością mieszkańców kraju.

T a b l i c a XVII.

Rok	Ile rb. na 1 ta- brykę	Ile rb. na 1 robot- nika	Ile rob. na 1 fabrykę	Ile rb. na 1 mieszk.	1 zakład na ilu mieszk.	1 rob. na ilu mieszk.
1845	1,618	366	4½	3.5	458	104
1857	3,389	754	4½	9	377	84
1866	4,793	762	7	9.8	491	78
1870	9,837	1,001	9½	10.5	933	95
1882	21,500	1,286	15	25	1,047	62
1895	125,000	1,434	87	37	3,357	39

Z jak znaczną szybkością posuwał się proces koncentracji wielko-przemysłowej, widzimy stąd, iż, gdy w r. 1845 na 1 zakład wypadało 1,618 rb. produkcji i 4½ robotników, w 1857 r. 3,389 rb. i 4½ robotników, w 1870 r. 9,837 rb. i 9½ robotników, a 1882 r. 21,400 rb. 15 robotników—w 1895 r. mamy już 125,000 rb. i 87 robotników na 1 zakład.

O wzroście przeciętnej wydajności pracy robotnika świadczą dane: w 1845 r. na 1 robotnika przypadało 366 rb. wartości produkcji, w 1866—762 rb. w 1870—1,001, w 1882—1,286, w 1895—1,434 rb.

') Cyfra ludności bezrolnej wiejskiej, według komitetu statyst., wynosi przeszło 800,000, według innych źródeł 1½—2 mil. Ta ostatnia cyfra zdaje się być przesadzona, pierwsza za małą.

W stosunku do ogółu ludności kraju widzimy, iż wartość produkcji przemysłowej wzrosła w okresie 1845—95 r. przeszło 10 razy więcej, niż ludność, tak w 1845 r. na 1 mieszkańca wypadło $3\frac{1}{2}$ rb. produkcji, gdy w 1895 r. 37 rb. W krótkim czasie 1870—95 r. produkcja przemysłowa wzrosła przeszło 3-kroć prędzej niż ludność (z 10.5 do 37).

Szybciej-również, niż cała ludność Królestwa, wzrastała ilość robotników wielko-przemysłowych. W r. 1845 1 robotnik przypadał na 104 mieszkańców, 1870 na 95, w 1882 na 62, w 1895 już tylko na 39.

Zestawimy wartość produkcji wielko-przemysłowej z produkcją rolną i rzemieślniczą kraju. Wartość produkcji rolnej (zbożowej) wynosiła w 1880 r. 221 mil. rb., a w 1888—92 r. średnio rocznie 233 mil. rb.; wraz z hodowlą bydła, koni, drobiu nabytku itd. — około 300 mil. rb. — Wartość produkcji rzemieślniczej daje się trudno obliczyć. Tak w 1880 r. wartość produkcji przemysłowej wynosiła 172 mil. rb., a rzemieślniczej—60 do 70 mil. rb. W 1888 r. produkcja rzemieślnicza dała około 83 mil. rb. (przy 130,000 rzemieślników), dzieć posiada wartość 80 — 100 mil. rb. Widzimy stąd, iż przemysł wielki u nas, jako czynnik wytwórczy, zajął miejsce dominujące, przewyższając swą wartością zarówno produkcję rzemieślniczą (przeszło 3-krotnie), jak i rolną. Jeśli zaś dodamy wartość produkcji rzemieślniczej do wielko-przemysłowej, przekonamy się, że Królestwo Polskie nie tylko dawno już przestało być krajem wyłącznie rolniczym, lecz wartością swej produkcji nosi cechę kraju przemysłowego.

Wśród poszczególnych gubernii Królestwa Polskiego pierwsze miejsce swym rozwojem przemysłowym zajmuje gub. Piotrkowska, na którą wypada $\frac{3}{5}$ ogólnej wytwórczości przemysłowej kraju, $\frac{1}{3}$ ogólnej ilości fabryk i $\frac{7}{12}$ ogólnej ilości robotników (200 mil. rubli, 700 zakładów, 140,000 robotników). Drugie — gub. Warszawska z $\frac{2}{7}$ wartości produkcji, $\frac{1}{3}$ fabryk i $\frac{1}{4}$ robotników (97 mil. rb., 690 zakładów, 63,000 robotników). Trzecie miejsce — Radomska (10 mil. rb., 60 fabryk, 12,000 robotników). Czwarte — Kaliska ($9\frac{1}{2}$ mil. rb.,

150 fabryk, 7,000 robotników). Piąte—Kielecka (6.3 mil. rb., 93 fabryki, 6,600 robotników). Szóste—Lubelska (6.6 mil. rb., 90 fabryk, 5,000 robotników), a dalej Siedlecka, Płocka, Łomżyńska i Suwalska.

Gubernie Piotrkowska i Warszawska razem wykazują blisko $\frac{8}{9}$ ogólnej prod. przemysłowej, $\frac{2}{3}$ ogólnej ilości fabryk i $\frac{4}{5}$ ogółu robotników.

Porównajmy teraz produkcję przemysłową Królestwa Polskiego z produkcją całego państwa i krajów Zachodu.

W 1892 r., według danych urzędowych, nie licząc górnictwa i hutnictwa, gubernie Cesarstwa miały 19,507 fabryk i zakładów przemysłowych, a Królestwa Polskiego 4,172 ($\frac{1}{5}$ w stosunku do Cesarstwa). Wartość produkcji w Cesarstwie wynosiła 1,350 mil. rubli, a Królestwa Polskiego 230 mil. rb. ($\frac{1}{6}$). Ilość robotników 980,000 w guberniach Cesarstwa i 150,000 w guberniach Królestwa Polskiego ($\frac{2}{13}$).

W 1895—według danych urzędowych i bez górnictwa i hutnictwa—ilość zakładów w Cesarst. wynosiła 18,100, w Królestwie Polskiem 2,242 ($\frac{1}{8}$), co w porównaniu z r. 1892 ($\frac{1}{5}$) świadczy o szybszych postępach koncentracji wielko-przemysłowej w Królestwie Polskiem, niż w Cesarstwie. Wartość produkcji przemysłowej Cesarstwa wynosiła 1,750 mil. rb., w Królestwie Polskiem 250 mil. rb. ($\frac{1}{7}$). Ponieważ ilość zakładów Królestwa Polskiego stanowiła $\frac{1}{8}$ ilości zakładów w Cesarstwie, a wartość produkcji $\frac{1}{7}$, świadczy to o bardziej intensywnej produkcji fabryk Królestwa.

W stosunku do krajów Zachodu wartość produkcji przemysłowej Państwa Rosyjskiego przedstawia się j. n.:

T a b l i c a XVIII.

W milionach rubli.

Nazwa kraju:	1890 ¹⁾	1896 ²⁾
Stany Zjednoczone . . .	8,970	9,333
Anglia	5,080	5,500
Niemcy	4,200	3,890
Francya	3,000	3,000
Austro-Węgry	1,750	2,170
Włochy	750	808
Belgia	632	700
Hiszpania	530	560
Szwajcarya	198	212
Hollandya	217	—
Dania	160	—
Norwegia	120	—
Szwecya	310	—
Portugalia	112	—
Australia	254	—
Gub. Cesarstwa	2,240	2,420
Gub. Królestwa Polskiego	280	350
Ogółem	28,783	—

Jak widzimy, wytwórczość przemysłowa Królestwa Polskiego stanowi $\frac{1}{100}$ wytwórczości wielko-przemysłowej na kuli ziemskiej (280 mil. rb. wobec 28,000 mil. rb. w 1890 r.). Wobec wielkich rozmiarów i ludnością, najbardziej rozwiniętych przemysłowo krajów takich, jak: Stany Zjednoczone, Anglia, Niemcy, Francya — zajmuje miejsce dalekie, 2 lub 2 i pół raza mniej produkuje niż Włochy, Hiszpania, Belgia, przewyższa Hollandyę, Szwajcaryę, Danię, Norwegię, Australię, Portugalię itd. W stosunku do zaludnienia — na 1 mieszkańca wypada w Anglii 141 rb. produkcyi, w Stanach Zjednoczonych 135 rb., w Belgii 108 rb., Niemczech i Francyi po 76 rb.,

¹⁾ Według danych Waszyngtońskiego „Departament of Labor.“

²⁾ Według dyagramy Hobsona („Rozwój kapitalizmu współczesnego“).

w Szwajcaryi 70 rb., w Austro-Węgrzech 49 rb., we Włoszech 26 rubli, w guberniach Cesarstwa 22 rub., w gub. Królestwa Polskiego 37 rubli.

GLÓWNE OKRĘGI PRZEMYSŁOWE.

Przemysł wielki Królestwa Polskiego skupia się głównie w 2 guberniach: Piotrkowskiej i Warszawskiej, które dają $\frac{8}{9}$ ogólnej wartości produkcji. Właściwie jednak skupia się w 3 środowiskach przemysłowych: w okręgach Łódzkim, Sosnowickim i Warszawskim.

Najważniejszy z nich—Łódzki—obejmuje miasta: Łódź, Zgierz, Pabianice, Tomaszów, powiaty: Łódzki, Łaski i Brzeziński. Za centrum okręgu uważać należy Łódź, ku której ciąży cały przemysł okręgu, znajdując w niej zbyt swych wyrobów lub zakupując surowy materiał, dowożony koleją łódzką. Rozwój przemysłu w okręgu łódzkim, oraz historia i wzrost Łodzi — „polskiego Manchesteru“ — znakomicie ilustrują rozwój przemysłu wielkiego w Królestwie, wykazując zarazem siłę centralizacyjnego oddziaływania przemysłu na skupienie się ludności w centrach przemysłowych, rozwój miast i tworzenie się miast wielkich. Nie będziemy się jednak zatrzymywać bliżej nad tą kwestyą, rzucimy parę cyfr ogólnych. Produkcya okręgu, jeszcze w 1870 r. wynosząca kilkanaście mil. rb., w 1885 miała wartość blisko 50 mil. rb., dziś 130 do 140 mil. rb. Jest to olbrzymie siedlisko przemysłu tkackiego, bawełnianego i wełnianego. W 1827 r. mająca 3,000 mieszkańców, w 1860—32,000, dziś Łódź, rosnąca nader szybko po r. 1870, jest miastem o 400,000 mieszkańców, wciąż wzrastającym z gorączkową szybkością. Kolosalne obroty handlowe i przemysłowe, fabryczno-kupiecka jednostronność życia, piętno gorączki spekulacyjnej i zarobkowej, brak szerszych tradycyi i aspiracyi kulturalnych, czynią z Łodzi typowego przedstawiciela wielkich nowoczesnych dorobkiewiczowskich siedlisk przemysłowych. Prócz Łodzi znaczny i szybki jest wzrost innych punktów przemysłowych okręgu: Zgierza, Pabianie, Tomaszowa itd.

Drugi okrąg—Sosnowicki ma już nieco odrębną fizyognomię ze względu na większą swą różnorodność, jakkolwiek szybkim swym rozwojem—po r. 1877—przypomina historię okręgu Łódzkiego. Zajmuje południową część gub. Piotrkowskiej wraz z pasem pogranicznym pruskim, powiaty:—Będziński, Noworadomski i Częstochowski z Częstochową, Będzinem, Zawierciem, Noworadomskiem, Sielcami, Dąbrową Górniczą i Sosnowicami (stolica okręgu). Mamy tu przemysł węglowy, metalurgiczny, mechaniczny i wogóle metalowy przetwórczy, szeroko rozwinięty tkacki, fabryki mebli itd. Wartość producyi da się obliczyć na 70—80 mil. rb.

Wyższym od Sosnowickiego wartością producyi (około 100 mil. rb.), równie jednak niejednolitym, jest trzeci okrąg, Warszawski, z centrum swem Warszawą. Posiada on wielkie fabryki płótna (Żyrardów), wełniane, bawelniane, jedwabne i szereg rozmaitych fabryk, głównie jednak stanowi centrum przemysłu metalowego i mechanicznego, cukrowniczego, garbarskiego.

Wszystkie dane, przedstawione w niniejszym szkicu, wykazują, iż epokę rozwoju przemysłu w Królestwie Polskiem stanowi czas około 1870 r. W tym czasie wyszedł on z powijaków długiego okresu przygotowawczego, zaznaczonego dobruimi chęciami ludzi, chcących kraj podnieść ekonomicznie, i nieudaniem się prób wielu; zasilany napływającymi z za granicy kapitalami, stanął na stopie przemysłu wielkiego, a korzystając z dogodnych ceł ogólnopństwowych i warunków rynkowych, mając wszelkie naturalne dane do swego rozwoju w bogactwie i przyrodzonych zasobach kraju, począł się szybko posuwać w kierunku wytkniętym przez ogólne prawa gospodarki kapitalistycznej.

Na „epokowe“ pod tym względem znaczenie 1870 r. wskazują dane, dotyczące czasu powstawania wielkich fabryk. Ze 132 zbadanych przez Janzullą większych fabryk 38% powstało przed 1870, 62% w okresie 1870—86 r. To samo wykazują dane, zebrane przez Swiatłowskiego (inspektora fabrycznego).

Potwierdzą to samo dane, tyżące się pewnego zjawiska, towarzyszącego szerszemu rozwojowi życia wielko-przemysłowego—rozwoju towarzystw akcyjnych. Zjawiają się one wtedy, gdy życie przemysłowe doszło do pewnego stopnia napięcia i rozwoju, gdy nie wystarczają już będące w rękę jednostek kapitały drobne lub średnie, a na szalę ekonomiczną rzucać trzeba potęgę zrzeszonych zasobów materyalnych. Towarzystwa akcyjne zaczęły powstawać u nas po r. 1870. W r. 1885 było ich już kilkadziesiąt (kilkanaście cukrowni, 2 górnicze, parę tkackich, metalurgicznych, mechanicznych itd.). W r. 1886 było ich 69; w 1896—100 (26 tkackich, 18 cukrowni, 35 górniczo-hutniczych itd.). W ostatnich wreszcie latach liczba towarzystw akcyjnych wzrasta bardzo szybko.

Należało-by jeszcze wspomnieć o wyższej formie centralizacyi wielko-przemysłowej—centralizacyi z udziałem sił świadomości, przybierającej formy czasowych lub stałych zrzeszeń i związków. Mówiąc o odnośnych objawach u nas, wskażemy jedną tylko stronę kwestyi: zrzeszenia przemysłowców w syndykatach i kartelach (przykłady były syndykat cukrowniczy, regulujący produkcję, syndykat węglowy, wymierzony przeciw spożywcom itd.). Nie mogąc szerzej się rozpisywać w tej materyi, odsyłamy ciekawych do rozprawy p. St. A. Kempnera „Syndykaty przemysłowe“ w „Bibliotece Warszawskiej“ z lutego i marca 1898 roku.

Kończąc przedstawienie rozwoju przemysłu wielkiego w Królestwie Polskiem, powołamy się raz jeszcze na te główne cechy i zjawiska, towarzyszące mu, o których mówiliśmy na początku niniejszego szkicu.

Mówiliśmy o wzroście ogólnym wytwórczości przemysłowej kraju i w poszczególnych gałęziach produkcji, o objawach centralizacyi wielko-przemysłowej, rozrastaniu się pojedynczego przedsiębiorstwa, rozwoju wielkich przedsiębiorstw i zaniku małych, wzroście ilościowym i stosunkowym ludności robotniczej, wzroście wydajności pracy pojedynczego robotnika, wzroście płacy zarobnej itd. Cały bieg rozwojowy naszej wytwórczości przemysłowej wykazał nam szereg tych samych typowych objawów, które towarzyszyły rozwojowi współczes-

nych stosunków ekonomicznych we wszystkich krajach, podlegających prawom gospodarki kapitalistycznej, i jeśli gubernie Cesarstwa, również rozwijając się pod względem ekonomicznym analogicznie z rozwojem ekonomicznym Europy Zachodniej, znajdują się w okresie, przez który tamta przechodziła przed laty 40, 50, Królestwo Polskie pod względem rozwoju przemysłowego posunęło się już znacznie więcej naprzód za Europą Zachodnią, a pod wielu względami zupełnie jej dorównywa.

STANISŁAW KOSZUTSKI.

Krół Mistral.

Nad kwieciami łąk świeżych,

Nad dolin wiosną,

Skaliste głowice

W obłoki rosą.

Nad skały, obłoki,

Nad lodnisk szron,

Srebrzy się, iskrzy się,

Królewski tron.

... Biada wam, kwiaty! Biada wam, doliny!

Na tronie szalony
 Król się przewala...
 Widać go, słyhać go,
 Jak huczy zdala.

Widać go, słyhać go,
 Skroś śnieżnych pól,
 Jak rwie się, jak tarza,
 Wichrowy król.

. . . To Mistral! Wstaje zmroczony i siny!

Już wściekle się kłębi
 W przerażeń kształty,
 Śniąc w chmurnem szaleństwie
 Śmiertelne gwałty.

Już gardziel mu ściska
 Łkanie i śmiech
 I z piersi wypiera
 Świszczący dech.

. . . Drżą serca w liliach i polne drżą róże...

Porwą się rozjęki
 Z omglonych cieśni,
 Zawyją, zawiodą
 Rozpaczne pieśni.

Zawyją, zawiodą
 Potworny chór

Bezdenne przepaście,
I czuby gór.

. . . Otchłani, szczytów chór—przeciw naturze!

Leci pieśń okropna
W pomierzchu nocy,
O klątwie bezsiły,
Klątwie przemocy.

I słucha jej zgrzytów
Szalony król,
I wściekłość go dławi,
I dławi ból.

. . . Przekleństwo krańcom niemocy i siły!

Straszno mu, duszno mu
Na skrzącym tronie,
Pędu chce, lotu chce,
W wichrów koronie.

Aż czołem uderzy
W chmur czarny próg,
I zadmie w litaury
Śmiertelnych trwóg.

. . . Już się błądzą oliwy nakryły...

Rozwarły się przed nim
Powietrzne szlaki,

Wzleciały obłoki,
Jak trwożne ptaki.

Już nic go nie wstrzyma,
Skroś mglistych pól,
Już porwał się z tronu
Szalony król!

. . . Cyprysy ziemię zmiatają włosem...

I rzucił się w skoku
Lew on straszliwy,
I rozdarł powietrze
Pochrzęstem grzywy.

I drugim się skokiem
Rzucił na łów,
I smyczę rozpuścił
Wyjących psów...

. . . Okropnym echa zaniósł się głosem...

Sam łowiec, sam zdobycz,
Pędzi, pomyka,
A za nim piekielnych
Gonów muzyka.

Sam łowiec, sam zdobycz,
W poświstach trąb,
Pomyka, dopada,
Stacza się w kłęb.

. . . Ode dna Rodan zaluczał śpieniony.

Toczy się, rozklebia,
Zrywa, szaleje,
Grzmią rykiem, grzmią śmiechem,
Powietrze knieje,
Grzmią rykiem, grzmią śmiechem
Wyjących sfór,
Bezdenne przepaście
I szczyty gór.

. . . To Mistral! To król Sewennów szalony!

MARYA KONOPNICKA.

PIŚMIENNICTWO.

Stanisław Grabski „O Fryderyku Skarbku i o metodologii w ekonomii politycznej“.

Literatura naukowa ekonomii politycznej świeżo została wzbogacona dwiema bardzo cennymi pracami d-ra Stanisława Grabskiego, napisanymi w języku niemieckim. Mam tu na myśli jego studjum o Fryderyku Skarbku, zatytułowane „Der Polnische Nationalökonom Graf Friedrich Skarbek“ (wyd. Braunmüller, Wiedeń—Lipsk), oraz głęboko pomyślaną pracę o metodologii w ekonomii politycznej, której tytuł brzmi „Zur Erkenntnislehre der volkswirtschaftlichen Erscheinungen“ (wyd. Hirschfeld, Lipsk).

Pragnę zwrócić tu uwagę na obiedwie te prace razem, nie tylko ze względu na to, że przez jednego autora zostały napisane: jest pomiędzy nimi jeszcze inny łącznik, pewna spójnia treści wewnętrznej. Studjum o Skarbku jest poniekąd jakby ilustracją do myśli, wysnutych w drugiej pracy autora.

Fryderyk Skarbek należy do tych wybitnych osobistości naszej przeszłości, o których prawie zupełnie zapomniano. Że mało z jego nazwiskiem spotykamy się w dziełach ekonomicznych, pisanych przez cudzoziemców, to wyrozumieć można, ale że u nas powszechnie znajomość Skarbka, jako ekonomisty, ogranicza się prawie wyłącznie do wiadomości, że... Skarbek był ekonomistą, to grzech przeciwko naszej przeszłości.

P. Stanisław Grabski, w studyum swem o Skarbku, nie streszcza nam szeroko prac jego, wychodząc widocznie z tego założenia — słusznego w teorii — że żywot jego i dzieła powinny być znane szerokiemu ogółowi. Poprzestając więc na bardzo zwięzłym szkicu treści dzieł Skarbka, autor zakreśla sobie inne ramy, określa mianowicie stanowisko Skarbka w ogólnym rozwoju szkół nauki ekonomii politycznej.

Tak ograniczając przedmiot badania, autor pomija niektóre szczegóły bardzo ciekawych wywodów Skarbka, a poglądy jego na sprawy bieżące współczesnego społeczeństwa tylko zasadniczo przedstawia. Natomiast znajdujemy w cennej pracy p. Grabskiego uwypuklenie poglądów Skarbka na zadanie nauki ekonomii politycznej, znajdujemy wyczerpujące przedstawienie jego metodologicznych wywodów.

Ta właśnie część pracy o Skarbku, na którą autor największą, jeżeli nie jedyną, zwrócił uwagę, jest niezmiernie ciekawą i godną zatrzymania czytelnika dłużej, a to tem bardziej, że autor widocznie dużo pracował nad historią ewolucji nauki ekonomii politycznej, głęboko się nad sprawą tą zastanowił i wyrobił sobie zdanie samodzielne. P. Grabski jasno zdaje sprawę z doniosłości kierunków w nauce ekonomii, uświadamia sobie dokładnie szkoły, panujące obecnie w Niemczech i, w związku z niemi, wyznacza Skarbkowi bardzo wybitne miejsce w ewolucji wiedzy ekonomicznej.

Tu słów kilka o drugiej pracy autora, w której dokładnie zapoznajemy się z poglądami jego i która, jak to wyżej zaznaczyłem, jest jakby zillustrowaną przez określenie stanowiska Skarbka. Chcąc więc zrozumieć, jakie miejsce wyznacza autor Skarbkowi w rozwoju nauki ekonomicznej, należy choć słów kilka powiedzieć o jego wykładzie metodologii. Ta właśnie praca poświęcona została filozoficznemu rozpatrzeniu metody ekonomii politycznej, biorąc za punkt wyjścia spór metodologiczny, istniejący pomiędzy pruską szkołą historyczną i austriacką ścisłą szkołą (*exacte Schule*) w dziedzinie nauki ekonomii.

Szkoła historyczna ekonomii, jak wiadomo, powstała przed półwiekiem w Niemczech, jako reakcja przeciw szkole angielskiej (absolutnej), która, pod wpływem nauki Smitha, głosiła bezwarunkowe zasady wolnej konkurencji, znoszenia wszelkich cel, opierania się wyłącznie na pierwiastku egoizmu ekonomicznego, uchylania ingerencji państwa w sprawach ekonomicznych. Szkoła historyczna, powstała przez reakcję, odrzuciła wszystkie te bezwzględne teorie, uznając je za przesady, nadając zaś objawom ekonomicznym znaczenie tylko faktów historycznych, których współczynnikiem może być władza państwowa. Rzucono zasadę prowadzenia polityki socyalnej.

Ale w nauce ekonomii, tak samo jak częstokroć w oryentowaniu się kierunków opinii społecznej i politycznej, prądy i kierunki napotykają lub nawet wywołują reakcję. Tak i tu było. Przeciw szkole historycznej, od niedawna, powstała szkoła nowa, w Austrii, znana pod nazwą szkoły ścisłej (die exacte Schule). Twierdzi ona, że w dziedzinie życia ekonomicznego nie należy badać, jak dotychczas, objawów zewnętrznych, ale ich źródło samo: działanie jednostki.

W tem źródle szukać właśnie należy praw ścisłych, według których powstają objawy ogólne. Szkoła ta objęła więc w sferę badań naukowych zakres gospodarki prywatnej, zbyt mało może uwzględniając ogólne tło historyczne i społeczne.

P. Stanisław Grabski, w pracy swej, rozpatrując ze stanowiska filozoficznego, lub właściwie z punktu widzenia socyologicznego, obydwie te kierunki, godzi je na tle psychologicznem. Autor godzi historyczną szkołę ze ścisłą, wykazując dobitnie, że właściwie niepowinny one być we wzajemnym antagonizmie, lecz odwrotnie, powinny się nawzajem uzupełniać. W tym celu należy uwzględniać charakter psychologiczny wszelkich zjawisk społecznych. Prawa ekonomiczne są prawami psychologii zbiorowej, stosowanej do warunków życia ekonomicznego. Nie tylko zatem badania objawów samych mogą wiedzy wystarczyć: należy porównać i określać ich źródło w psychologii zbiorowej; przytem nie jednostka musi być brana pod uwagę, ale jednostki w połączeniu zbiorowem, bo w abstrakcyi jednostka istnieć nie może.

Dążności ekonomiczne jednostki są zależne od jej społecznych przymiotów. Był czas, gdy jednostkom chodziło o utrzymanie bytu rodu, w obecnej dobie dążność się streszcza w zabiegach nad podniesieniem i utrzymaniem rodziny. Zawsze zatem jednostka występuje jako czynnik, ale zarazem i jako wytwór społeczny. Na

tem więc tle społecznem, to jest na tle zbiorowej psychologii, należy badać zjawiska ekonomiczne. Takim jest stanowisko autora.

Jakie są wybitne cechy tego stanowiska? Przedewszystkiem wyraźnie i silnie zaznacza się cecha psychizmu. Ta nuta, odbijająca stan duszy ludzkiej, w ostatnich czasach coraz częściej i silniej się uwydatnia w różnych dziedzinach rozwoju myśli polskiej.

Abramowski w zagadnieniach socyologii, Grabski na polu ekonomii — duszę ludzką biorą za punkt wyjścia na drodze do syntezy. Kto wie, może jest to zapowiedź nowego prądu, któremu danem będzie panować w umysłowości naszej? Kto wie, może po okresie, gdy w umysłach i sercach przewodziły tony szare, bez wyrazu i dźwięku, po szeregu chwil pozbawionych myśli przewodniej i stałego tła, nadającego każdej umysłowości właściwą rację bytu, własną podniętę — może nastąpić okres ożywczego tchnienia? Może jest to zapowiedź nowego kierunku myśli polskiej?

To przyszłość pokaże. Tymczasem starajmy się określić pracę p. Grabskiego nie ze stanowiska myśli filozoficznej w rozwoju naszej umysłowości narodowej, ale ze stanowiska wiedzy ekonomicznej. Trzeba ją uznać za to, czem się mianuje: za przyczynek do metody poznania zjawisk ekonomicznych. Autor, pośród wojujących obozów szkół, toruje drogę stanowisku eklektycznemu. W dziedzinie objawów, niedosyć jeszcze zbadanych, eklektyzm jest jedynie słuszną zasadą, niestety, dotąd mało stosowaną, przez wzgląd na panujący częstokroć wszechwładnie doktryneryzm. Praca p. Grabskiego usuwa ten pierwiastek doktryneryzmu z ekonomii i toruje drogę właściwym obiektywnym badaniom.

Tyle co do określenia stanowiska autora—stanowiska, które objawia się bardzo wyraźnie w pracy o Skarbkcu—i co do jego znaczenia.

Określiwszy pobieżnie warunki, łatwiej zrozumieć punkt wyjścia p. Grabskiego w ocenie działalności Skarbkka. W ocenie ekonomisty tego, który powinien być naszą chlubą narodową, autor słusznie podnosi te zalety, które-by pragnął widzieć w obecnym rozwoju naukowej myśli: brak doktryneryzmu, wpływający z uwzględnienia podkładu psychologicznego w zjawiskach ekonomicznych. Słusznie więc autor wykazuje wyższość Skarbkka nad innymi współczesnymi mu ekonomistami: bo w epoce tej, gdy cała nauka ekonomii politycznej była niejako rozwinięciem zasad Adama Smitha, ekonomiści

współcześni, zapatrzeni w mistrza swego, rozwijali naukę jego wyłącznie w kierunku doktrynerskim, w kierunku absolutyzmu, egoizmu ekonomicznego. Jeden tylko Skarbek, który również nazywa się uczniem Smitha, obdarzony wielką spostrzegawczością i samodzielnością myśli, poszedł drogą własną, wyrozumowaną, właściwą. Nie dziw więc, że i postulaty jego wnikają w potrzeby społeczeństwa: uznaje on, w pewnych warunkach, wpływ dobroczynny cel ochronnych, ale ogranicza równocześnie sferę ingerencji władz państwowych w sferach ekonomicznych; twierdzi, że ekonomia polityczna służyć winna nie osobistym celom jednostek, ale celom dobra narodowego. Z jednej więc strony nie daje się uwieść przesadzie szkoły angielskiej, ale równocześnie, uchylając się od twierdzenia, że praw ekonomicznych być nie może, nie wpada w przesadę szkoły historycznej.

Jednem słowem, Skarbek jest najgodniejszym spadkobiercą Smitha, w którym ścierają się krańcowości poszczególnych szkół, tworząc jeden system, jedno wielkie ogniwo w rozwoju myśli nauki ekonomicznej. Nic więc dziwnego, że tak schakteryzowawszy i oddawszy zasłużony zupełnie hołd naszemu ekonomiście, wyznacza mu p. Grabski poczesne miejsce pomiędzy myślicielami, którzy posunęli naprzód rozwój tej nauki. Pod tym względem, pod wpływem głębokości pojmowania przedmiotu, stawia go autor nawet wyżej od powszechnie znanego, okrytego aureolą sławy, współczesnego mu Lista.

Czy my zdajemy sobie sprawę z tego, że w łonie naszego społeczeństwa posiadaliśmy takiego myśliciela-ekonomistę, który nie tylko był jednym z tych rzadkich, co mistrza-ekonomistę dokładnie pojęli, ale był tym, który ducha budził? Czy uświadamiamy sobie, że go posiadamy, czy go ocenić umiemy, czy z niego potrafimy być dumni?

Tak, dumni powtarzam,—bo o ile duma indywidualna naganną jest i niestosowną, o tyle duma narodowa, poczucie swych sił, jest enotą. Nie, nie wiele o nim wiemy. Co najwyżej wiadomo nam, że Skarbek jest autorem historii Księstwa Warszawskiego, pracy może najslabszej, jaką napisał, chociaż prawie jedynej w naszej literaturze, dotyczącej tej epoki. Poza tem wiemy niewiele, nawet się tem mało interesujemy.

Obie prace p. Grabskiego mogły-by ukształcony ogół oświecić co do znaczenia Skarbkę w dziejach ekonomii politycznej, gdyby autor więcej był się liczył z potrzebą uprzyśtępnienia temu ogółowi swoich poglądów na naszego ekonomistę. Przedmiot swój p. Grab-

ski traktuje w ten sposób, jak gdyby w czytelniku przypuszczał kompetencję, dorównyującą swojej, jak gdyby odzywał się do samych specjalistów. Było-by więc pożądanem, ażeby przy spisaniu rozpraw autor dopełnił je rysami, z których czytelnik, stojący poza sferą fachowych badań, potrafił-by złożyć sobie całkowity obraz naukowej działalności Skarbka.

HENRYK RADZISZEWSKI.

JOZEF KENIG.

(Wspomnienie pośmiertne).

Skromne, żałobne karty na rogach ulic obwieściły Warszawie, że w dniu 13 b. m., po krótkich cierpieniach przeniósł się do wieczności „ś. p. Józef Kenig, dziennikarz“, w osiemdziesiątym roku życia.

Pogrzeb odbył się z kościoła św. Krzyża na Powązki; czarna truma na skromnym, dwukonnym karawanie, zamknęła w sobie zwłoki Nestora prasy warszawskiej.

Orszak żałobny nie był tak liczny, jakby się należało spodziewać, ale składał się z samej intelligencji.

Tłumy nie odprowadzały do grobu człowieka, który przez lat sześćdziesiąt nieustannie i niezmiernie z piórem w ręku pracował cicho a poważnie, gorliwie a gruntownie na ugorze dziennikarstwa polskiego, jeszcze w owych czasach, kiedy nie roilo się u nas od „organów opinii publicznej“ i kiedy zaledwie dwa pisma peryodyczne, „Kuryer“ (Warszawski) i „Gazeta“ (Warszawska), reprezentowa-

ły głównie naszą prasę, dzieląc się wziętością wśród nielicznego koła czytelników miejskich i wiejskich.

Wymarło dawno pokolenie, dla którego młody jeszcze Kenig pisywał i był wyrocznią w rzeczach polityki bieżącej, studnią wiadomości ze świata, bussolą wojny i pokoju europejskiego.

— Zobaczmy, co o tem powie Kenig!— mówiono sobie w ważniejszych wypadkach i wyczekiwano z niecierpliwością numeru „Gazety“, która w dworach i zaściankach przez długie lata używała szacunku, powagi i znaczenia jakiegoś polskiego „Times’a“ lub „Monitora.“

Wierzono jej na ślepo, bo — co ważniejsza—szanowano ją i liczone się z drukowaniem słowem, które nie zawodziło, nie rozdymało się w jaskrawy a pusty frazes, nie zabarwiała żółcią osobistych uprzedzeń i zawiści, ani pąsem stroniczych namiętności.

Szanowano ją dla powagi, talentu, przekonań i charakteru wybranych współpracowników, którzy swem piórem uświetniali łamy pisma, a wśród których Józef Kenig naczelnie zajmował miejsce.

I jeżeli-by trzeba było objaśniać przyczyny, dla których tak głęboko i szeroko rozrastały się poczytność, szacunek i wpływ pisma, to przedewszystkiem należało-by ich szukać w charakterze i szczerości przekonań ludzi, pracujących w niem dla publicznego dobra.

Takim, coraz rzadszym, typem dziennikarza z charakterem i ugruntowanemi zasadami, był właśnie Kenig;—tem się wyróżniał i tem górował wśród towarzyszy zawodu, pojmując go w najszlachetniejszym i najpoważniejszym znaczeniu.

Rozumiał, że ten zawód to służba publiczna, w której trzeba się wyrzec osobistych interesów i ambicji, oddać się jej z poświęceniem tylko przez miłość prawdy i dobra społecznego, tylko z ukochaniem pewnych celów i ideałów ogólnych, tylko z wiarą i dążnością ku pożytkowi szerszemu i trwalszemu.

Kramarzem myśli przy straganie drukowanego słowa — nie chciał być, bo szanował za wysoko godność swego zawodu i powołania, nie szukał nigdy łatwej wziętości, ani osobistych korzyści, pracując ciężko na kawałek powszedniego chleba, aż do ostatnich chwil życia, dopóki jeszcze drżąca ręka sędziwego starca utrzymać mogła pióro i pisać.

Nie cenił się i nie targował dla zarobku, nie kazał sobie płacić za swoją „firmę“ i choć to szczegół drobny, lecz charakterystyczny: do końca życia pobierał za swoje artykuły honorarium mniejsze, aniżeli nie jeden z najmłodszych karyerowiczów pióra, któremu się udało chwilowo nabrać rozgłosu i skorzystać z popytu na rynku literackiej twórczości.

Po sześćdziesięciu latach zmudnej i wyczerpującej pracy niemal bez wytchnienia i wypoczynku, byłby też sierotom swoim oprócz zasłużonego nazwiska nie pozostawił ani grosza w puściźnie, gdyby niewielki spadek po bracie nie był poparł jego materialnych interesów.

A praca Keniga bywała ogromną, zwłaszcza w latach jego najpełniejszej działalności pisarskiej, która przypadła na okres redaktorski, gdy po śmierci Lesznowskiego został z głównego współpracownika w 1859 kierownikiem „Gazety Warszawskiej”.

Publicystyka i krytyka pochłaniały go zupełnie; nie było jednego dnia, którego-by nie spędził przy biurku, jednego numeru, który-by wyszedł bez kilkuset wierszy druku z pod jego pióra, a często nie był do połowy przez niego samego napisany.

Sypały się, jak z rogu obfitości, artykuły wstępne, przeglądy polityczne, felietony literackie, recenzje teatralne, sprawozdania z dziedziny sztuki, i to przez całe dziesiątki lat nieprzerwanie.

Od tego pierwszego artykułu, w którym młodzieniaszek, wstępujący w szranki dziennikarskie, ciętą chłostę sprawił „dandyzmowi” warszawskiemu i zwrócił na siebie uwagę, do ostatniego, o siłach zbrojnych Boerów i Anglików, drukowanego w „Słowie” na dziesięć dni przed zgonem, można-by usypać cały kopiec rękopisów Keniga, obejmujących literalnie miliony wierszy, a z kilkaset tomów, gdyby to wszystko nie było utonęło w rocznikach dziennikarskiej bibuły, lecz pomieściło się w księgach.

Pod względem pisarskiej płodności, Kenig był tem w prasie polskiej, czem Kraszewski w literaturze powieściowej; pióro jego na ilość zwaliło ogrom drukowanego słowa, które niestety ulatywało z wiatrem chwili bieżącej, wietrzało z dniem wczorajszym i rozsypywało się w popiół z dziennikarskiego Znicza.

Taki już los, taka dola tych Syzyfów i Ixjonów prasy, zmuszonych z dnia na dzień toczyć głazy z lawiny wypadków bieżących i obracać koła młyńskie w redakcyjnych deptakach.

Do szpiku kości dziennikarzem był Kenig, tylko nie w tem drobnem, mizernem pojęciu robotników dziennych i najmitów opinii, którzy często chodzą z piórem, jak z pogrzebaczem po ulicach i placach, szukając zdobyczy dla zatkania dziur w łamach pisma;—nie w tym reportersko-informacyjnym charakterze dziennikarza, lecz prawdziwego publicysty, który z wysokiej strażnicy śledzi bieg wypadków na najdalszych horyzontach i w szerokim poglądzie obejmuje je razem, uogólnia, łączy, oświetla w gruntownej analizie i uwypukla w syntezie.

Pod tym względem Kenig po europejsku spełniał zadanie publicysty w wyższym stylu; artykuły jego i przeglądy bywały w swoim rodzaju miniaturami studyami, do których długo mozolnie zbierał materiały, wertował całe stosy ksiąg, przerzucał całe góry gazet, zużytkowywał cały arsenał historycznych i statystycznych danych.

Nie rozumiał pracy lekkiej i płytkiej, nie lubił pustych frazesów, zrywał kłosa ziarniste, a odrzucał słomę, bo uważał, że obowiązkiem pisarza jest karmić pożywną tylko strawą umysł czytelnika, uczyć go i przekonywać, oświecać i objaśniać.

Zdarzało się, nawet często, że chcąc być wyczerpującym, wypowiedzieć się zupełnie, wymotywować wszystko, wpadał w rozwlekłość, przedłużał zanadto swe artykuły, rozwijał za szeroko swe krytyki w nieskończone pasma, i urywał potem, przyrzekając czytelnikowi „powrócić jeszcze do tego samego przedmiotu“.

Ratowała go forma, styl, sposób traktowania rzeczy, temperament pisarski, żywość słowa pełnego treści, dosadność wyrażen, oryginalność porównań, malowniczość okresów, świetną toczonych polszczyzną.

Czytało się każdy artykuł, każdy felieton Keniga, podznaczony tylko jego inicjałami, z ciekawością i zajęciem,—a była w najdłuższym, czy najkrótszym, taka indywidualność wybitna, że się poznawało autora nawet bez podpisu.

Czuło się, że to pisze „ktoś“, co ma prawo przemawiać publicznie, wyrokować, spierać się i podnosić, lub potępiać, chwalić lub ganić; znanstwo i przekonanie biło z tych wierszy, bardzo często budziło podziw, a zawsze szacunek, nawet wtedy, kiedy się czytelnik nie mógł zgodzić z autorem i nie dawał przekonywać.

Ta duchowa siła charakteru, zasad, doświadczenia, wykształconego umysłu i uczciwej zawsze intencji, nadawała wielkiej powagi wszystkiemu, co Kenig napisał, lub co mówił.

A mówić umiał i lubił do tych, którzy go słuchali rozumnie i z uwagą, bo zawsze miał podstatkiem tematów zajmujących, czy to z daną chwilą związanych, czy zaczerpniętych z bogatej skarbnicy wspomnień.

Zwywy, wrażliwy i łaknący ciągle świeżej strawy umysł, posilał się i wzmacniał nieustannie do najpóźniejszej starości bardzo sumienną i gorliwą lekturą, kształcił starannie, i dlatego nie zleniwił, nie zastał się pomimo sędziwego wieku, nie nabral uprzedzeń i nie wyrobił sobie szablonów, do których ludzie starzy tak często przykładają nowe pojęcia.

Szedł naprzód ze swoim wiekiem i nie lekcewał jego zdobyczy, zapatrzony tylko poza siebie, w przeszłość,—więc uznawał i wysoko cenił każdy postęp, o ile w nim dostrzegał rzeczywistą wartość humanitarną lub cywilizacyjną; doświadczone i bystre oko człowieka, który na wiele patrzył i wiele widział, nie dało się jednak ludzi pozorami, olśniewać jaskrawością, lub błyskotliwością pewnych objawów.

Miał też dla ludzi i rzeczy swoją miarę, co prawda, dość wygórowaną, przy której nie jedna chwilowa wielkość wydawała się mierznotą, szczególnie, gdy nie odpowiadała jego wymaganiom estetycznym i moralnym; wtedy gotów był z jakimś wyniosłym i wzgardliwym tonem lekceważenia odezwać się o kimś, lub o czemś, co w danej chwili uchodziło za wielkie, piękne i znakomite.

Prawdy bowiem nie zwykł był obwijać w bawełnę, ani poglądów swoich przykrawywać do okoliczności, zarówno w życiu prywatnym, jak publicznym.

Mówił i pisał, co myślał i w co wierzył, sądził często bezwzględnie, a wyrażał się nawet szorstko, ale czynił to instynktownie przez wielkie zamiłowanie prawdy i wrodzoną szczerłość, która nie pozwalała mu udawać i kłamać.

Posiadał zatem zaletę bardzo rzadką u dziennikarzy, ale dla tego tem cenniejszą w społeczeństwie, któremu tak często trzeba mówić w oczy przykre prawdy, karcić jego błędy, wytykać wady, ale które trzeba kochać zarazem bardzo i litować się nad niem nawet wtedy, kiedy się je najsurowiej osądza...

W pisarskiej działalności Keniga polityka i teatr zajmowały dwa główne działy; publicysta i krytyk poświęcał prawie jedynie swoje pióro ocenie wypadków w dziedzinie rzeczywistej i urojonej tragikomedyi.

Jako recenzent teatralny, był jedną z powag dziennikarskiego Areopagu, znał się na sztuce i talentach, pisał o nich chętnie i z zamiłowaniem, nie schlebiał osobistościom, bo mu chodziło o samą rzecz, pamiętał najświetniejsze czasy sceny warszawskiej, więc był wymagającym, i często nie szczędził ostrych, ale trafnych uwag, chłoscząc rzemieślniczą rutynę i sflistrzenie talentów, domagając się poszanowania pięknej tradycyi, podniesienia szlacheznego nastroju i przestrzegania stylu w dziedzinie sztuki dramatycznej. Nie cierpiał maniery, pospolitości, zastoju, małych rodzajów i miernoty na scenie; ubolewał nad zanikiem prawdy, szczerości, piękna i wdzięku w młodszym pokoleniu aktorów, w którym najbardziej raził go brak rzeczywistego zamiłowania do sztuki i poszanowania swego zawodu.

Kabotyneria była mu wstrętną, i gotów był zawsze z oburzeniem wysmagać ją publicznie.

Dzisiaj, gdy prawie nagle zamknął powieki po kilkudniowej chorobie, zasnąwszy z dziennikiem w ręku cicho i spokojnie, aby się więcej nie obudzić, spostrzega się z największym żalem ubytek nie tylko pierwszorzędnej siły w prasie polskiej, ale niepowetowaną stratę człowieka, który na swoim stanowisku był indywidualnością i charakterem bardzo wybitnym, chlubą swojego zawodu, dostojnikiem dziennikarstwa, noszącym wysoko sztandar zawodowej godności a do głębi serca przejętym poczuciem odpowiedzialnego obowiązku w służbie u opinii publicznej.

I dla tego ubytek jednego z tych, przed którym warto było skłonić głowę z szacunkiem i oddać cześć nie tylko jego poważnej siwiznie, zasługom i pracy, ale i moralnej jego wartości, staje się bolesnym i dotkliwym.

Biograf „starego Keniga“ nie wiele znajdzie materiału do opisu jego publicznego żywota; kilka dat zaledwie zaznaczy ważniejsze momenta jego zawodu.

Kiedy się powie, że sześćdziesiąt lat blisko nie wypuszczał pióra z ręki, że, jako dwudziestoletni młodzieniec, po ukończeniu średnich szkół w Krakowie i Kielcach, rozpoczął zawód dziennikarza w „Gazecie Warszawskiej“, że w niej przepracował prawie żywot cały i dorobił się na tem stanowisku złotych listków wawrzynu w wienku jubilata, jako publicysta i redaktor, że potem rozstał się z „Gazetą“, a ostatni lat dziesiątek spędził w redakcyi „Słowa“, zacząwszy zarazem zasilać swem piórem inne pisma. „Bibliotekę Warszawską“, „Atenium“, „Tygodnik Ilustrowany“ przeważnie, że spełniał kilka obywatelskich urzędów i światłą radą wspierał instytucje miejskie, że wreszcie umarł na stanowisku, — to będzie i wszystko, co wiedzieć można o życiu człowieka publicznego.

Historyk piśmiennictwa będzie musiał poświęcić mu osobną kartę w dziejach prasy polskiej, aby określić jego zasługi i działalność, ale z tej bibulastej góry roczników dziennikarskich nie zechce zapewne wygrzebywać nawet najświetniejszych artykułów politycznych Keniga, które były szkiełkami w kalejdoskopie bieżącej chwili; ta praca nie opłaciła-by się dzisiaj nikomu.

Inna rzecz z artykułami treści społecznej i literackiej.

I one związane były po większej części z aktualnością swojej doby, miały znaczenie i wpływ już miniony, ale znaleźć-by w nich można mnóstwo uwag i myśli rozumnych i głębokich, spostrzeżeń trafnych i bystrych, wskazówek dziś jeszcze cennych, prawd nigdy nie przestarzałych, błysków i promieni światła, oświecających epokę

znamienną w dziejach naszego społeczeństwa,—jednym słowem materiałem ciekawy i zajmujący do chrestomaty pisarza, który pół wieku stał na strażnicy, jako obserwator wypadków, przewrotów, rozwoju i zmian politycznych, społecznych i literackich w Europie i w swoim kraju, pół wieku był jednym z przewodników, idących na czele opinii publicznej, pół wieku przyświecał umysłem swojemu narodowi.

Takiemu po śmierci należy się drugie życie w sercu i pamięci potomnych!..

M. GAWALEWICZ.

Kronika miesięczna.

Bawiła się Warszawa w karnawale ubiegłym nie gorzej, niż lat poprzednich. Tańczono hucznie, wesoło, z temperamentem, rasie naszej właściwym. Nic nie zamąciło uciechy powszechnej — nawet nędza, bo jej sarkania i skargi załagodziła filantropia. Szereg balów, które się odbywały na rozmaite cele, zasiłki, które wpłynęły stąd do rozmaitych Towarzystw dobroczynnych — oto „dorobek społeczny“ minionego karnawału.

Poza tem do zanotowania zostaje jeden objaw znamieny: dążność do wprowadzenia pierwiastku artystycznego do zabaw publicznych. Do niedawna bale bywały zwykłym sobie popisem tualet, i nawet na balach kostiumowych cała zasługa świetności ich zewnętrznej przypadła w udziale tylko modniarkom. Upodobania indywidualne, pomysły świeże i niepowszednie, nie znajdowały ujścia. Od lat paru dopiero na salach balowych ukazywać się zaczęły panie, ubrane nie według żurnalu, ale w strojach efektownych, pomysłanych głębiej,

wykonanych według wskazówek światłych, nie szablonowych, ale artystycznych. Stroje te były albo stylowe, albo allegoryczne i symboliczne, i one pierwsze wprowadziły sztukę do naszych salonów.

W karnawale ubiegłym sztuka święciła już na balach swój tryumf. „Muchomory“, „Łątki“ złociste i zielone, „Toń wodna“, „Rusalki“, „Maki“, „Motyle“, „Lilije“ secesyonistyczne i t. d. przewijały się przed uczestnikami zabaw, wywierając wrażenie czegoś, co jest już świadectwem wyrobionego i wytwornego smaku.

A najwięcej było ich na balu Towarzystwa artystycznego. Bal ten był pierwszym występem publicznym młodej instytucji, i choć nie był jeszcze jednolicie „artystycznym“, bądź co bądź, jednak nie skompromitował tych, którzy mu firmę swoją dali. Rojno było i gwaro w salach Doliny, zamienionej w Las z a c z a r o w a n y, przystrojonej w zieleń i kwiaty. Świerki, trzciny, paprocie, powoje kwitnące i bluszcze, ludzące perspektywy głębi leśnej, mchy, trawy, grzyby o jaskrawych kolorach, słowem, cała strona dekoracyjna była bez zarzutu. A na tem tle barwnem dryady i nimfy, Hiszpanki i damy rokokowe, rycerze zbrojni, Arabi w burnusach, Szwedzi, paź i szlachcic wenecki z XVI wieku, Góral zakopański, Bulgar, a nawet chłopiec w płótniance z Lubelskiego i t. d., i t. d. Wielka obfitość kostiumów i wielkie ich urozmaicenie—tylko, że nie wszystkie o równej wartości, bo niektóre jakby z garderoby teatralnej wzięte, dobre na scenę, a mniej ciekawe na balu.

Towarzystwo, którego prezesem jest profesor Wojciech Gerson, obroną jednak wyszło ręką z tej pierwszej próby, i odrazu zyskało sobie sympatyę publiczności. Następny karnawał zapewne mu prócz tej sympatii jeszcze i uznanie przyniesie, bo zgodnie ze swojemi celami czuwać ono będzie nad tem, ażeby sztuka zawsze i wszędzie była sztuką prawdziwą, tak w pracowni artysty, jak i na balu „artystycznym“, na który nie jeden może przyjdzie po wrażenia artystyczne. Tych wrażeń potrzeba nam bardzo, potrzeba zwłaszcza dzisiaj, kiedy się smak psuje i poczucie piękna słabnie w stosunku odwrotnym do frazesów o sztuce i zamiłowania w niej. Dużo się bowiem u nas o sztuce mówi, mniej się ją rozumie i odczuwa, a tak nie wiele dla niej się robi.

Kiedy mi głowę popiołem posypią, w pokorze odchodzę, i mimo-woli obracam oczy na nędzę ludzką. „Memento mori“ kojarzy się w moim umyśle dziwnie z potrzebą pamiętania o żywych. A tylu ich jest, którzy, nietylko pamięci, ale i pomocy potrzebują, tylu, którzy czekają na wprowadzenie w życie szczytnej zasady miłości bliźniego. Tymczasem bliźniemu podaje się u nas rękę rzadko. Człowiek dzisiejszy wobec cierpienia drugiego człowieka dziwną umie zachować obojętność, i nieraz więcej rozczula się nad dołą zwierzęcia, niż nad złą dołą brata. Każdy wobec tego objaw w kierunku przeciwnym, każdy czyn, który nosi na sobie piętno nauki Chrystusowej, który płynie ze źródła miłości i niesie ukojenie nędzy ludzkiej—na podwójne zasługuje uznanie.

Takie uznanie należy się dzisiaj tym, z których lona wyszedł projekt utworzenia sanatorium dla suchotników niezamożnych, i którzy krzątają się około tej sprawy, znajdującej się obecnie w rękach Towarzystwa higienicznego.

Przed rokiem myśl urządzenia takiego sanatorium podniósł publicznie w pismach naszych dr Teodor Dunin, i spotkał się odrazu z przychylną opinią ogółu. W krótkim stosunkowo czasie wpłynęło na ten cel drogą składek z górą 40,000 rubli, następnie jednak, jak zwykle u nas, gdy pierwszy zapal ostygnie, ofiarność ustala i o sanatorium zapomniano. Zebrana kwota, acz dość znaczna, żadną miarą wystarczyć nie może na urzeczywistnienie projektu w tej skali, jak tego potrzeba wymaga, i dla tego w jednym z ostatnich numerów „Kuryera Warszawskiego“ szanowny projektodawca przypomniał publiczności raz jeszcze tę sprawę pilną, i odwołał się do jej uczuć dobroczynnych, w nadziei, że poprze ona usiłowania inicjatorów.

W odezwie swojej dr Dunin wyjaśnił także niektóre punkty, dotyczące przyszłego sanatorium.

I tak odpowiada on przedewszystkiem na pytanie, dla kogo ma być zakład przeznaczony. Otóż, zdaniem jego, pomieszczenie znaleźć tam powinni wszyscy, którzy nie mają środków na leczenie się w zakładach prywatnych, niedostępnych przez swoją drożyznę dla ogółu, najtańszy z nich bowiem (w Otwocku) kosztuje 100 rubli miesięcznie. Ponieważ prawidłowe i skuteczne leczenie suchot przeprowadzone być może tylko w sanatorium, przeto nowy zakład niewątpliwie odrazu będzie miał liczną klientelę.

Za rzecz najpilniejszą na razie uważa dr Dunin danie możności leczenia się osobom niezamożnym, a należącym przez swoje wykształ-

cenie do klas wyższych i najwyższych, to jest młodej, wybijającej się intelligencji, wśród której, jak praktyka poucza, suchoty wielkie czynią spustoszenie.

— Ci ludzie—czytamy—po długich walkach z nędzą, kiedy narzecie lepsza przyszłość zaczyna im się uśmiechać, często u wrót swego zawodu spotykają suchoty. Najwięksi geniusze naszej sztuki, którzy rozslawili imię polskie po świecie, zmarli na suchoty (Chopin, Grotger, Słowacki, a wśród mniej głośniejszych, młodych a już zasłużonych: Podkowiński, Matlakowski i tylu, tylu innych). Jeżeli nie wszyscy, to przynajmniej część ich mogła-by być zdrową, gdyby mieli gdzie leczyć się prawidłowo. Do tej samej mniej więcej kategorii należą niezamożni urzędnicy, liczni nauczyciele, nauczycielki i inni przedstawiciele intelligencji. Wśród tych-to klas spotykamy właśnie najbardziej rozdzierające obrazy, a jeżeli obowiązkiem społeczeństwa jest opiekować się wszystkimi, którzy tego potrzebują, to pomoc, udzielona tej warstwie społecznej, hojnie nieraz opłacić się może. Tymczasem wszystko, co się robi na polu filantropii, robi się dla ludzi najuboższych, dla tych, którzy niemal rękę wyciągają po jałmużnę. Dla tych, którzy wolą umrzeć, niż prosić o pomoc, nie robi się nic.

Dalej do sanatorium kwalifikować się będą ludzie o jeden stopień niżej stojący co do swej zamożności, a więc subjecki, rzemieślnicy, ubożsi kupcy, szwaczki, a wreszcie ludzie najubożsi, jako to: służący, robotnicy fabryczni i t. d

Pożytek społeczny, jaki instytucya taka przyniesie, jest niewątpliwy, i prawdziwa dobroczynność w tym właśnie kierunku pójść powinna. Zamiast ronić łzy nad losem wdów i sierot po przedwczesnie zmarłych talentach, zamiast rublowe składki posyłać do redakcyi pism „na maszyny do szycia“ dla nieszczęśliwych kobiet, które po śmierci mężów muszą się brać do ciężkiej i mozolnej pracy na chleb powszedni—idźmy lepiej odrazu drogą profilaktyki, i zapobiegajmy nieszczęściu, o ile to zapobieganie jest w mocy ludzkiej. Wzniesmy sanatorium, nie jedno, ale dwa, trzy i więcej, i rozpocznijmy walkę z suchotami, które są jednym z największych wrogów ludzkości współczesnej. Dziś, w miastach wielkich, gdzie powietrze zepsute sprzyja rozwojowi chorób płucnych, niema prawie rodziny, która-by nie poniosła bolesnej straty, której-by gruźlica nie zabrała kogoś z bliższych, lub dalszych. We wszystkich sferach, w pałacu i na poddaszu, zgarnia ona swój plon i w dzwony śmiertelne uderza, jakby na trwożę. A my dzwoniemy to słyszymy, ale robimy tak mało, ażeby złemu zapobiedz, gdy zaraza tymczasem szczepi się i z pokolenia w pokolenie przechodzi.

Bierzmy sobie przykład z tego, co jest gdzieindziej.

Oto w Berlinie drogą składek prywatnych zebrano fundusz znaczny, za który założono sanatorium dla niezamożnych suchotników (w Belzig), uzdrowisko, przeznaczone wyłącznie dla tej inteligencji niezamożnej, o której mówi dr Dunin.

Czyżby u nas tą samą drogą nie mógł zgromadzić się kapitał potrzebny i nie miało powstać sanatorium podobne?

Nie sądzimy.

Znana jest ofiarność społeczeństwa naszego, i znane są jego obywatelskie i chrześcijańskie uczucia.

Składki popłyną obficie, i za rok, lub dwa, gdzieś, w ciszy leśnej, wśród sosen chwiejących się, w słońcu, zdała od kurzu i gwaru miejskiego, staną budynki uzdrowiska, w którym znajdą pomieszczenie i pomoc bezpłatną nawet ci najbiedniejsi, którzy nie będą mogli wnieść najskromniejszej opłaty. Dalsze składki, lub nadwyżka pozostała, pozwolić powinny na utworzenie specjalnego funduszu, zapewniającego im utrzymanie. Tylko wziąć się trzeba do dzieła i wspólnymi siłami budować.

Na wezwanie d-ra Dunina stanąć powinni do apelu wszyscy — więcej i mniej zamożni, a najlepszym świadectwem zrozumienia i odczucia potrzeby sanatorium przez nas będzie przewaga składek drobnych nad ofiarami większemi; nie jednostki bowiem, ale ogół cały interesowany jest w tej sprawie.

W związku z rozwojem chorób płucnych, zwłaszcza pośród ludności ubogiej, pozostaje sprawa higieny miast większych, a przede wszystkim higiena mieszkań.

Wszyscy mieszkamy źle. Mieszkań słonecznych, jasnych, dobrze wentylowanych i posiadających wszelkie wygody, nie wyłączając łazienki, która jest dla zdrowia czynnikiem bardzo ważnym — w Warszawie niema prawie wcale, te zaś nieliczne, które są — dostępne być mogą tylko dla ludzi zupełnie zamożnych. Średnio zamożne rodziny nie znajdują już żadną miarą odpowiedniego dla swych środków a higienicznego i zdrowego mieszkania. Wszystkie 2, 3, a nawet 4-pokojowe mieszkania, bez względu na wysokie komorne, którego cyfra przekracza nieraz granice zdrowego myślenia, są ciasne, niewygodne i w całym urządzeniu swoim sprzeczne z zasadami higieny.

Warszawa unika domów małych, tych domków i will z ogródkami, których jest pełno w miastach niemieckich, które ciągną się całemi szeregami w ulicach Londynu, w które tak obfitują przedmieścia Paryża, gdzie przy wygodnych i łatwych środkach komunikacyjnych chętnie zamieszkuje ludność urzędnicza. Trzy, lub cztery piętra frontu, a potem oficyny, zabudowane w kwadrat, o podwórzu wiecznie ciemnym i ponurem, do którego słońce zagląda tylko w tej jednej chwili, kiedy stoi w zenicie — oto typ przeciętny domu warszawskiego. A przecież i człowiekowi nie jest obcy heliotropizm, i on, jak roślina — obraca się do słońca i szuka słońca, bo mu ono na równi z powietrzem do zdrowia potrzebne.

Tymczasem, całe pokolenie młodsze chowało się i chowa w Warszawie bez słońca. Te dzieci „bezsłoneczne“ mają też cerę bladą, chorobliwą, są słabe i anemiczne, choć nieraz odżywiają się dobrze nawet, bo w domu ich rodziców dobrobyt panuje. Wyglądają one jednak rumiano i czerstwo w porównaniu z dziećmi ludzi uboższych. Te mają jeszcze mniej słońca, bo wychowują się w mieszkaniach, do których światło zagląda rzadko, albo w których wieczny półmrok panuje.

Są w Warszawie domy, nad których bramami powinien widnieć napis dantejski: „Lasciate ogui speranza“.

W domach tych gnieździ się uboga ludność Warszawy, Jakże tam są mieszkania i jaki ich stosunek do wymagań higieny — na to w szeregu artykułów odpowiada w „Głosie“ p. Leon W—w.

W domach tych — mówi on między innymi — wody oraz zlewów w mieszkaniach niema. i mieszkańcy korzystać muszą z wodociągu, lub studni, znajdującej się w podwórzu. Z powodu ciągłego noszenia wody na górę i pomyj na dół, schody są stale pokryte warstwą błota, którego nie sposób usunąć. Lokale, dzięki przepelnieniu i zlej wentylacji, mają swój specyficzny zapach. W suterrenach niskich i ciemnych zaduch jest nie do opisania. prawie we wszystkich izbach wilgoć. Facyatki wcale nie są od zimna zabezpieczone, tak, że tylko ostatnia nędra szuka tam przytulku i t. d., i t. d.

Nie są to rzeczy nowe dla nas. Każdy spis ludności, każda ankieta sanitarna wydobywa na jaw szczegóły z życia biedaków, i jaskrawe opisy ich nędzy wzruszają wtedy ludzi zamożniejszych. Wiemy, że domy w ubogich dzielnicach, to siedliska wszelkich zarazków chorobotwórczych, ale i tutaj, jak na innych polach, bierzemy się do jakiejś roboty dopiero wówczas, gdy ze strażnicy rozlegnie się wołanie: jam ardet proximus Ucalegon! Kiedy w Warszawie groziła epidemia, domy te dezynfekowano na gwałt, czyszczono je, zlewano karbolem i maltretowano niemal mieszkańców wykonywaniem przepisów policyjnych. Skoro jednak obawa minęła i pierw-

sza trwoga odeszła, po dawnemu brud i niechlujstwo rozgościły się w tych siedzibach ludzkich, i zapomniano o nich, zamiast rozpocząć gruntowną pracę w kierunku zmiany na lepsze.

Jedną z najpilniejszych rzeczy w tej sprawie jest pobudowanie domów, przeznaczonych na mieszkania dla ludności uboższej, a zaopatrzonych we wszelkie nowoczesne urządzenia.

Próbę tego dała nam „była spółka budowy domów dla rzemieślników i robotników“, próbę, która jednak wypadła mniej dobrze, niż się spodziewano. Dopiero niedawno wzniesione domy imienia Wawelbergów, zdaje się, że skutecznie zlemu, choć w małej tylko części, zaradzą.

Na jednym z ostatnich posiedzeń Towarzystwa higienicznego, które się gorliwie zajmuje higieną miast i mieszkań, mówiono właśnie o tych domach.

Są one systemu koszarowego, o czterech piętrach i parterze. Dotychczas istnieje ich trzy. Dwa wybudowano już dawniej, trzeci zaczęto budować w roku zeszłym. Znajdują się one przy ulicy Górczewskiej, gdzie zakupiono 30,000 łokci kwadratowych placu pod budowę.

Urządzenie ich jest proste, higiena zadawalająca. Schody są szerokie, dobrze oświetlone i ogrzane. Przy schodach, w osobnych pomieszczeniach widzi się zlewy, krany wodociągowe i rury żelazne z odpowiednimi na każdym piętrze klapami do wpuszczania śmieci pokojowych wprost do piwnicy. Każdy lokal zaopatrzone w szpizarkę pod jednym z okien, jak również we własną piwniczkę. Brak w nich jednak urządzeń takich, jak pralnie, kąpiele, ochrony, sale do zebrania i t. d. Wszystko to ma być uwzględnione przy budowie nowej seryi domów.

Doświadczenie pokazało już, że mieszkania te chętnych znajdują lokatorów. Jedno i dwupokojowe lokale nigdy nie stoją pustkami. Rudery, w których mieszkają biedacy, przynoszą nieraz właścicielom dochodu netto 10% — 12%, domy lepsze, jako z większym budowane nakładem, przyniosą 4 — 5, a może 6%. Budowanie ich zatem jest nawet zyskowne, bo daje najpewniejszą lokację kapitału, a obok tego przynosi jeszcze właścicielowi przeświadczenie pożytku i dobra. Nietylko tedy filantropia powinna się tem zająć, ale i ludzie, mający interes własny na oku. Tyle jeszcze drzemie u nas kapitałów, które-by sfrukturyfikować można na rzecz dobra ogólnego, tylko brak nam energii ekonomicznej, odwagi i inicjatywy. Skoro te lody zostaną raz przelamane, może uboga ludność warszawska doczeka się mieszkań lepszych i zdrowszych, a przede wszystkim tańszych, bo obecnie, jak wykazu-

je statystyka, najubożsi stosunkowo najdroższe opłacają komorne.

Tymczasem do wszystkich, budujących domy, wołamy o więcej słońca dla młodych pokoleń!

W roku bieżącym przypada dwóchsetna rocznica urodzin wielkiego reformatora wychowania, Stanisława Konarskiego.

„Temu, co się mądrym być ośmielił (sapere auso)“, jak głosi napis na medalu, wybitym na cześć Konarskiego z polecenia króla Stanisława Augusta, pierwsza hołd złożyć śpieszy redakcja „Przeglądu pedagogicznego“ i pamięć jego czci konkursem.

Myśl to dobra i pochwały godna. Idzie o napisanie „Pedagogiki“, która obejmować winna „naukowo, na podstawie najnowszych badań, lecz przystępnie wyłożone zasady wychowania we wszystkich jego działach“, a więc wychowanie: fizyczne, moralne i umysłowe, jak również „niezbędne wskazówki praktyczne, dotyczące wychowania i kształcenia młodzieży“ a więc i główne zasady dydaktyki.

Nagroda za pracę bezwzględnie dobrą i najlepszą z nadesłanych wynosi rubli 500, oraz honorarium autorskie w ilości rubli 900, nie wchodząc w to, ile arkuszy wyniesie praca nagrodzona.

Jeżeli wynik konkursu będzie pomyślny, w literaturze pedagogicznej polskiej zapełni się dotkliwa luka. Książek, poświęconych teorii wychowania, mamy mało, lepsze z nich, są to rzeczy, przyswojone z języków obcych, i nie zawsze odpowiednie dla nas, bo niewzględniające rasowych właściwości umysłu. Prace oryginalne odbiegły już nieco wstecz, i nie stoją na poziomie współczesnej wiedzy pedagogicznej, a tem samem nie zaspakajają potrzeb dzisiejszych.

Wśród młodego pokolenia pedagogów znajduje się sporo ludzi z zamiłowaniem, wiedzą głębszą i talentem pisarskim niemalym, a więc przygotowanych w zupełności do spełnienia tej misji, do której powołuje ich redakcja „Przeglądu“. Pedagogikę niewątpliwie będziemy mieli. Podkreślamy tylko raz jeszcze, że istotna wartość książki takiej zależy przedewszystkiem od należytego uwzględnienia

w niej naszego indywidualizmu narodowego, bo niewolnicze trzymanie się wzorów francuskich, niemieckich, lub nawet angielskich, chybi celu.

Jesteśmy jakby w „sezonie konkursów“. Jeden idzie za drugim, łączą się one wzajemnie, zbiegają i tworzą jakby łańcuch nieprzerwany. Niedawno pisaliśmy na tem miejscu o konkursie powieściowym „Biblioteki dzieł wyborowych“. Teraz notujemy podobny konkurs księgarni pod firmą T. Paprockiego, która za pośrednictwem redakcyi „Wędrowca“, obwieściła cały szereg nagród dla zwycięzców na tym nowym turnieju. Doprawdy, że niezadługo wśród literatów naszych zabraknie ludzi do sądenia, albo przynajmniej ludzi, rozporządzających o tyle swoim czasem, ażeby bez uszczerbku dla siebie i rodziny pójść mogli za popędem „dodrej woli“, i przyjąć godność członka jury konkursowego. Pominąwszy to jednak, witamy każdy konkurs przychylnie, jako nowy bodziec do pracy twórczej. Potrzebuje ona u nas zachęty, bo jesteśmy w tyle za innymi ilościowo i jakościowo. Potrzebuje ona u nas przede wszystkim poparcia materyalnego, bo najgorętsze temperamenty artystyczne stygną nieraz, borykając się z losem, a najbardziej uskrzydłona wyobraźnia wlecze się po ziemi bezsilna wobec walki o chleb powszedni, i ujarzmiona tysiącem kłopotów życia codziennego.

Z tego więc względu konkurs Paprockiego, jako mający do rozdania parę tysięcy rubli, na uwagę zasługuje.

Jest jednak inny wzgląd jeszcze, dla którego o konkursie tym mówimy. Oto w warunkach jego postawiono żądanie obok dwóch powieści: historycznej i społeczno-obyczajowej—powieści trzeciej, przeznaczonej dla młodzieży.

Uderza to w strunę najslabszą w całym stroju naszej literatury.

Dobra powieść dla młodzieży, to czynnik niepospolity w rękach wychowawcy. Powieści takich mamy bardzo mało. Wykarmiliśmy się wszyscy na literaturze przeważnie tłómaczonej, a i dzieci nasze ten

sam los spotkał, lub spotka, jeżeli twórczość swojska nie rozwinie się w tym kierunku.

Cała prawie nasza literatura dla młodzieży, ta literatura, z którą się poważnie liczyć można, i która posiada dziełka o istotnej wartości — sprowadza się do książek, przeznaczonych dla „dorastających panienek“. Mamy piękną spuściznę po Klementynie Tańskiej, po Pruszkowej, po Żmichowskiej, mamy obecnie Urbanowską, Prażmowską i t. d., ale nie mamy nic prawie, co by dla dorastających chłopców stanowiło odpowiednią lekturę. Kilka przyrodniczych książek Erazma Majewskiego, kilkanaście powiastek, bo niema wśród nich żadnej powieści większej, chociażby w rodzaju „Księżniczki“ Urbanowskiej — i poza tem pustka. Brak nam pisarza dla młodzieży, pisarza z talentem, który-by umiał do młodych dusz przemawiać, który-by umiał, jak Edmund Amicis, taką serdeczną, braterską dłoń wyciągnąć do młodych chłopców i mówić z nimi, jak równy z równymi, i kształcić ich, i rozwijać, i wpajać w nich te zasady, które hart dają i równowagę, i ostoję moralną w życiu dalszem. Takiego pisarza dla młodzieży nie mamy. A młodość przecież „jest rzeźbiarską, co wykuwa żywot cały“.

Dusza miękka, wrażliwa, podatna jak wosk, a jak gąbka, chłonna w siebie wszystko w młodym wieku, potrzebuje pieczy nad sobą, potrzebuje przewodnictwa. Jedna dobra książka, przeczytana w młodości wczesnej, wywiera czasem decydujący wpływ na całe życie; jedna książka zła — zwichnąć może istotę moralną i spaczyć charakter dziecka, zanim na człowieka wyrośnie. Tych książek dobrych niema u nas, i rodzice są w kłopotcie prawdziwym, co dzieciom dorastającym do czytania dawać, jakiego im pokarmu dostarczać, zanim dojrzeją do trylogii sienkiewiczowskiej, która jedyna dopiero ich pierwotny głód czytania zaspokoić może, i na dalsze życie do książki przywiąże.

Jeżeli przeto konkurs Paprockiego z mętnej wody wydawnictw dla młodzieży, podejmowanych dzisiaj tak chętnie, bo uważanych za „dobry interes“, wyłowi jaką rzecz nową a ponad wartość przeciętną, jeżeli tę rzecz rozpowszechni, a wyda niedrogo, to zaspokoi tem brak dotkliwy i zapisze się dobrze w pamięci ogółu. Chodzi nam tylko o to, ażeby to była powieść dla młodzieży, dla chłopców dorastających, a nie dla dzieci, nie dla panienek, jak te, które w plonie swoim przyniósł rozstrzygnięty niedawno konkurs podobny we Lwowie, którego laureatkami były trzy panie: Felicja Popławska, Wanda Dalecka i M. Bruchnalska. Chodzi nam tylko o to, ażeby

i męskie pióra, a nawet pióra wytrawne stanęły do apelu, bo to nie poniżenie sztuki, ale służba społeczna, która na każdym, jak obowiązek, ciąży. Literatura piękna, to chluba narodu; literatura dla młodzieży, to jego przeszłość.

W kole najbliższych przyjaciół zasłużonego pisarza, Kazimierza Kaszewskiego, odbył się w dniu 4 b. m. improwizowany jubileusz pięćdziesięcioletniej blisko jego działalności pisarskiej.

Kim jest Kazimierz Kaszewski, i jakie są jego zasługi w piśmiennictwie, to mówić zbyteczna. Czytelnicy nasi znają go dobrze.

Wytrwała jego praca w zawodzie literackim rozpoczęła się w roku 1852 od artykułu bezimiennego, wydrukowanego w ówczesnej „Gazecie Codziennej“, zamienionej następnie na „Gazetę Polską“. Pierwszą pracą imienną, przekład Antygony Sofoklesa, umieścił jubilat w „Bibliotece Warszawskiej“ w roku 1853. Dopiero więc za lat dwa, a nawet za trzy, właściwy jubileusz przypada. Tymczasem, ciepłem i serdecznym słowem tylko, w zamkniętym gronie blizkich, uczczono pracę i zasługę dotychczasową pisarza.

Adam Pług, po pięknej przemowie wierszem, jak zawsze z serca dobytym i do serca wprost idącym, wręczył jubilatowi pióro złote, gołdo i symbol jego talentu.

Bo i zaprawdę, Kaszewski ma pióro złote, i mało kto pisze dzisiaj tak nieskażoną polszczyzną, jak on, mało kto tak swobodnie włada językiem i stylem, i tak zna wszystkie ich bogactwa.

W dziejach krytyki polskiej należy mu się miejsce poczesne, przepyszne przekłady tragików greckich długo nie spotkają się ze współzawodnictwem, a jego historia literatury greckiej jest, i zawsze będzie jedyną w swoim rodzaju pracą. Głęboki znawca piśmiennictwa ojczystego i wykształcony na klasycznych wzorach esteta, przyczynił się też niemało Kaszewski swojemi pracami dziennikarskimi do wyrobienia smaku i podniesienia wrażliwości na piękno u czytającej publiczności.

Cześć mu więc i uznanie słusznie przypadły w udziale, a to pióro złote niechaj mu jeszcze długie lata służy, i jedna coraz więcej serc i umysłów w kraju, któremu zawsze niósł chętnie swą pracę ofiarną.

„Towarzystwo przyjaciół sztuk pięknych“, które nie od dzisiaj rozwija pożyteczną działalność swoją, odbyło w dniu 10 marca doroczne walne zgromadzenie.

Sprawozdanie Towarzystwa wykazuje pewien przyrost członków. Podczas, kiedy od roku 1895 liczba ich stale zmniejszała się, w roku ostatnim przybyło ich 745. Ogółem liczy obecnie Towarzystwo 4,458 członków, w tem: artystów-malarzy 75, rzeźbiarzy 18, budowniczych 66, miłośników sztuki 1,553, co stanowi razem członków rzeczywistych 1,712, członków zaś zwyczajnych 2,746.

Na miasto z sześćkroćstotysięczną ludnością jest to bardzo mało, zwłaszcza, jeśli się uwzględni sporą ilość członków zamiejscowych z rozmaitych okolic kraju, dość licznie przez tak zwaną k o r r e s p o n d e n c y ę werbowanych. Warszawa w stosunku do sił swoich za mało popiera sztukę. Znać to i po sprzedaży dzieł sztuki. Towarzystwo, jako pośrednik, sprzedało w ciągu roku tylko 73 obrazy za skromną kwotę rubli 9,630, co wynosi w przecięciu po 132 ruble za obraz, i pozwala przypuszczać, że były to rzeczy mniejsze, przez samych artystów cenione niżej.

Musi to mieć swoją przyczynę.

Pominąwszy najważniejsze zło dla Towarzystwa — obojętność ogółu, przyczyny tej szukać wydatka w braku należytych ułatwień w nabywaniu obrazów. Jest u nas cały zastęp inteligencji, która przed sztuką chyli czoła. Znam ludzi, których marzeniem jest przyjść do posiadania ładnych obrazów, i którzy wolą nic nie mieć na ścianie w salonie, czy w gabinecie, niż powiesić tam oleodruk. Tymczasem nie mają oni środków na kupowanie obrazów. Za dobry pędzel dobrze trzeba płacić, a zdobyć się na jednorazowy wydatek kilkuset rubli nie dla każdego jest łatwe. Tym właśnie „miłośnikom sztuki“ powinno Towarzystwo sprzedawać obrazy n a r a t y. Sprzedaż taka, niechętnie może widziana przez Zarząd Towarzystwa, niewątpliwie od-

biła-by się korzystnie tak na ilości członków, jak i na ruchu sprzedażnym. Sprawę tę należało-by wziąć pod uwagę teraz zwłaszcza, kiedy po przeniesieniu do nowego gmachu salony Towarzystwa zyskają większą frekwencyę i szersze będą budziły zainteresowanie.

Wzmagające się współzawodnictwo innych wystaw powinno być tu bodźcem. Nowy gmach, mamy nadzieję, będzie początkiem nowej ery w rozwoju zasłużonej instytucji.

Gmach ten doprowadzono obecnie pod dach i ukończono na nim roboty szklarskie. Wprawdzie dużo jeszcze pozostaje do zrobienia wewnątrz, jest jednak nadzieja, że w końcu roku bieżącego nastąpi już otwarcie wystawy inauguracyjnej we własnym budynku.

Kościół św. Floryana na Pradze należy do najczystszych stylowo budowli, wzniesionych w ostatnich czasach w Warszawie. Ma plac ładny i ma perspektywę, to jest to, czego brak wszystkim świątyniom po lewym brzegu Wisły. Prócz tego czeka go jeszcze orkiestra dzwonów, rzecz — w Warszawie dotychczas nieznana. Z inicjatywy p. Maszyńskiego sprawę tę wzięto pod rozważę i, zdaje się, że spotka się ona z przychylnem załatwieniem.

Dzwony na wieżach kościelnych, dobrane tonami, mogą wygrywać rozmaite melode. Jest to poważna, nastrojowa, głębokich dostarczająca wrażeń muzyka. Kto słyszał „dzwony grające“ w Salzburgu, nie zapomni ich nigdy. Kiedy się rozkołyszą one w cichy wieczór letni, i z wieżyc strzelistych popłyną tony srebrne, dźwięczące łagodnie w powietrzu cichem i spokojnem, duszę ogarnia jakieś błogie zapomnienie, i przychodzi na nią chwila mistycznego wzniesienia się w niemej modlitwie zachwytu do tych sfer, gdzie konają wszelkie gwary i jest cisza niepojęta. Ale to możliwe chyba w jednym Salzburgu, gdzie jest do tej muzyki tło odpowiednie i warunki, a więc najprzód górzyste położenie, potem mały ruch i spokój niemal zupełny, który z Zachodem słońca splywa na miasto. Warszawa tego warunku nie posiada. Jej ruch nieustanny, to grzmienie kół dniem i nocą po brukach, świstawki fabryk, kolei i statków parowych, młoty skandujące rymicznymi uderzeniami wielki epos przemysłu — to wszystko przeszkoda nie do zwalczenia. W nielepszym położeniu jest i Praga,

a zwłaszcza ta jej dzielnica, w której stanął kościół, jako znajdująca się blisko mostu, głównej arterii komunikacyjnej i drogi, wiodącej do dworców petersburskiego i terespolskiego. Hałas uliczny będzie tam mącił i targał melodyę, a chyba jedynie wczesnym rankiem na wiosnę i w lecie muzyka ta da się uchwycić i jednolitem wrażeniem spłynię w duszę przechodnia.

Nie mniej jednak cieszyć się należy z tej nowej ozdoby świątyni i pragnąć, ażeby wybór melodyi wypadł równie szczęśliwie, jak sama myśl ufundowania dzwonów grających.

Wiadomości bibliograficzne.

— Dnia 22 lutego b. r. odbyło się pod przewodnictwem prof. d-ra Maryana Sokołowskiego posiedzenie Kommissyi historii sztuki Krakowskiej Akademii Umiejętności.

Prof. Władysław Łuszczkiewicz przedstawił wypisy z książki wydatków, odnoszące się do artystycznych prac w kościele świętej Katarzyny w Krakowie w latach 1712 — 1713, sporządzone przez ks. A Sutora.

P. Julian Pagaczewski odczytał pracę o tak zwanych jasełkach, czyli figurkach szopek kościelnych, które odnalazł w klasztorze świętego Andrzeja w Krakowie, ilustrując swój odczyt licznymi fotografiami. Najstarsze są figurki Matki Boskiej i świętego Józefa, jedyna pozostałość obszerniejszego kompletu, i pochodzą z drugiej połowy XIV wieku. Wykonano je jak najstaranniej z drzewa i polichromowano, polichromię ożywiły nadto ornamenty, wyciskane na skórze, i inne, odlane w ołowiu i złożone. Różne okoliczności, a przede wszystkim litera E z koroną, użyta jako ornament szat, uzasadniają przypuszczenie, że jasełka darowała klasztorowi królowa Elżbieta, córka Łokietka,

a żona Karola Roberta d'Anjou, a zatem obie figurki, to królewski dar, i tem tłumaczy się także wysoka ich artystyczna wartość. Z XV wieku dochował się żłobek z pokrewną innym naszym zabytkom ornamentacyą. Dalsze figurki powstały w epoce renesansu i barokka: do pierwszej z tych epok odnieść należy niezwykle pięknie rzeźbione figurki Trzech Królów, pełnych majestatycznej powagi, do drugiej cały szereg realistycznie pojętych postaci, z których przede wszystkim zastanawia figurka garbatego starca, zbliżona do neapolitańskich, a tak wtedy rozpowszechnionych jasełek, i niezawodnie krakowskie figurki kołędujących pasterzy. Jasełka, ustawiane w oratorium na pierwszym piętrze, dostępne są tylko dla klasztornej personelu.

Prof. M. Sokołowski przy tej sposobności zestawił jasełka klasztoru świętego Andrzeja z innymi znanymi, i podnosił fakt, że pozostałe z XIV wieku figurki należą do najstarszych i najcenniejszych zabytków tego rodzaju, a oprócz artystycznego, mają szerszy kulturalny interes.

— Zasłużony badacz na polu statystyki, Witold Załęski, wydał pierwszą część dzieła pod tytułem: „Królestwo polskie pod względem statystycznym“. Praca ta, wydawana z zapomogi Kasy Miauowskiego, jest częścią stosowaną i praktyczną „Teorii statystyki w zarysie“, wydanej przez autora w 1884 roku, nakładem „Biblioteki umiejętności prawnych“. Część I-sza obejmuje: ludność, rolnictwo, górnictwo i finanse.

— „Własność rolna w Galicyi“, studjum statystyczno - społeczne d-ra Zofii Daszyńskiej-Golińskiej, wyszło nakładem autorki w Warszawie.

— R. Dmowski wydał pierwszą część swej pracy pod tytułem: „Wychodźstwo i osadnictwo“. Nakład podjęło lwowskie Towarzystwo wydawnicze.

— Henryk Wernie doprowadził swoją „Historję powszechną“, opowiedzianą i zaopatrzoną pytaniami, do ostatniej doby. Wydana obecnie część III zawiera czasy nowożytne.

— Otrzymaliśmy dwa pierwsze zeszyty (w jednym) nowego „Czasopisma prawniczego i ekonomicznego“, wychodzącego w Krakowie. Jest to organ wydziału prawa i administracyi Uniwersytetu Jagiellońskiego, oraz Towarzystwa prawniczego i ekonomicznego, wydawany pod naczelną redakcyą d-ra Franciszka Ksawerego Fiericha, profesora wszechnicy jagiellońskiej. Rozpoczęty rocznik poświęcony jest Uniwersytetowi Jagiellońskiemu w jego roku jubileuszowym, pierwsze zaś zeszyty zawierają rozprawy Zollów (starszego i młodszego), d-ra Edmunda Krzymuskiego, d-ra Józefa Rosenblatta, d-ra Fiericha, d-ra Juliusza Makarewicza, Józefa Bocheńskiego i d-ra Włodzimierza Czerkawskiego, oraz Krytykę i Sprawozdania z najnowszej literatury prawnieko-nomicznej.

— Bolesław Błazek napisał rozprawę, wydaną we Lwowie, pod tytułem: „Znużenie w szkole“, na podstawie pomiarów aisthesiometrem sprężynowym. W tym przyczynku do psychologii doświadczalnej miał autor na oku dwa cele: stworzyć możliwie prawdziwy obraz obecnego stanu rzeczy, i z wysnutych stałd wniosków przyjsć do świadomości istniejących błędów.

— „Zadanie rodziców, oraz społeczeństwa względem dzieci umysłowo upośledzonych“. Taki ma tytuł broszurka d-ra W. Ołtuszewskiego, którego nazwisko, jako specjalisty w badaniach nad wszelkimi niedorozwojami fizycznymi i psychicznymi, jest rękojmią gruntowności poglądów na rozpatrywaną sprawę.

— Na 29-ciu stronicach broszury, wydanej w Łodzi, zebrane są w sprawie sanatoryów ludowych zdania najrozmaitszych powag „o wartosci klimatu swojskiego przy leczeniu gruźlicy“.

— Dr Stanisław Serkowski wydał w Warszawie rozprawę, pod tytułem: „Mleko i bakterye“.

— Nakładem redakcyi „Gazety Handlowej“ wyszło studyum ekonomiczne St. A. Kempnera, pod tytułem: „Nowe prądy w organizacyi przedsiębiorczej“ (Syndykaty przemysłowe).

— Dla turystów i samouków przetłómaczył p. Zygmunt Weyberg niemiecką rozprawę d-ra Ferdynanda Löwla, profesora uniwersytetu w Czerniowcach, pod tytułem: „Zarys nauki o skalach“.

— Notując nowe nabytki w dziedzinie poezyi, na pierwszym miejscu stawiamy „Książkę zbiorową, poświęconą pamięci Adama Mickiewicza w stuletnią rocznicę jego urodzin. O tem interesującym wydawnictwie, poetycznie zatytułowanem: „Z ziemi pagórków leśnych, z ziemi łąk zielonych“, podamy wkrótce obszerniejsze sprawozdanie. Książka wyszła nakładem Gebethnera i Wolffa.

— „Z pieśni naszych“, wybór poezyi, zebrała i ułożyła C. Niewiadomska. Nakład księgarni Lwowskiej, Warszawa, 1900. Ku uczczeniu 50-letniej rocznicy śmierci Słowackiego. W książce powyższej zyskała młodzież ceną ozdóbę swej biblioteki, a że wybór podanych jej utworów zrobiono dobrze i trafnie, zapewnia nazwisko znanej w literaturze pedagogicznej autorki, p. C. Niewiadomskiej. Dziełko, opatrzone gorącą przedmową p. Chrzanowskiego, zasługuje, by je polecić jak najszerszemu kołu czytelników; chcąc bowiem wzniecać w młodzieży cześć dla ideałów, cóż lepszego podać jej możemy, nad klejnoty rodzinnej myśli?

- Księgarnia polska we Lwowie wydała: „Pieśni Anakreonta“.
- Odznaczona na konkursie dramatycznym Paderewskiego tragedia Maryi Zawiszy, pod tytułem: „Tyberyusz“, wyszła we Lwowie. Utwór ten będzie przedmiotem oddzielnego sprawozdania.
- Firma Gebethnera i Wolffa wydała dalsze dwa tomy „Wyboru pism Kaczkowskiego“, zawierające: „Grób Nieczui“.
- Nakładem księgarni Dubowskiego wyszło w Warszawie opowiadanie S. M. Roguskiego (Es-em-era) pod tytułem: „Mąż i Pan“,
- W Krakowie ukazały się utwory prozą Jana Stena: „Jeden miesiąc życia“ i inne.
- Wobec zaniku typu „łowca starej daty“, firma Gebethnera i Wolffa postanowiła, jak się wyraża w przedmowie, podzielić się z nemrodową drużyną „Gawędami myśliwca“, które wyszły z pod pióra jednego z najlepszych, a obecnie niemal już ostatniego myśliwego starego autoramentu, hr. Leopolda Starzeńskiego. „Gawędy“ są częścią wierszowane, częścią dosadną prozą pisane.
- Adolf Dygasiński wydał „Muchy“, szkic z natury i „Sen“ fantazję.
- Dla teatrów amatorskich napisał p. Bolesław Wędrychowski cztery komedye wierszem. Tytuły ich: „Nowy dziedzic“, „Nie przebieraj, panno“, „Niespodzianka“, „Corpus delicti“.
- Trzy przekłady różnej treści ukazały się w ciągu ubiegłego miesiąca: „O miłości“, studjum biologiczne d-ra A. Roubera, poświęcone literaturze schyłku wieku. „Sen poranku wiosennego“ Gabryela d'Annunzio, przetłomaczony z włoskiego przez Mariona, i „Luter w drodze do narzeczonej“ K. von Bolandena, w przekładzie ks. J. Eckausta.
- Z literatury popularno-ludowej mamy do zanotowania Witolda Kir-kora: „Gawędy Bartłomieja o emigracyi, czyli wędrowaniu“. „Ciekawego Wojtka“ i „Pisarza i Nauczyciela“, oraz powiastkę Józefy Żdzarskiej, pod tytułem: „Lirnik wioskowy“.
- Do „Biblioteki dzieł wyborowych“ przybył słynny romans hr. Toł-stoja: „Zmartwychwstanie“. Nadto ukazał się ostatnio w tem wydawnictwie, prowadzonym zawsze żywo i zajmująco: „Pamiętnik Szymona Konopackiego“ w dwóch tomach. Oba dzieła zaopatrzone są przedmową J. A. Święcickiego.

— Zeszyty IX i X „Albumu biograficznego zasłużonych Polaków i Polek wieku XX-go“ wyszły z druku (w jednym) i zawierają następujące życiorysy: Antoniego Malczeskiego przez Piotra Chmielowskiego (dokończenie); Stanisława Fiszera, — przez Szymona Askenazego; Tomasza Święckiego, — przez Henryka Gallego; Józefa Gołuchowskiego, — przez Lucyana Uziębłę; Stanisława Malachowskiego, — przez Józefa Bojasińskiego; Alojzego Felińskiego, — przez Bronisława Chlebowskiego; Augusta Cieszkowskiego, — przez Wł. M. Kozłowskiego; Elżbiety z Krasieńskich Jaraczewskiej, — przez J. Nitowskiego; Jana Nepomucena Kurowskiego, — przez Zygmunta Glogera; Kajetana Koźmiana, — przez Ignacego Chrzanowskiego; Jana Działyńskiego, — przez Benzelstjerna-Engeströma; Dominika Moniuszki, — przez Aleksandra Jelskiego; Kazimierza Bujnickiego, — przez Al. Jelskiego; Tymona Zaborowskiego, — przez Henryka Gallego; Aleksandra Kokulara, — przez Wojciecha Gersona; Samuela Bogumiła Lindego, — przez Gabryela Korbuta; Konstantego Gaszyńskiego, — przez K. Glińskiego; d-rów medycyny: Gagatkiewicza i Filipeckiego, — przez d-ra J. Peszkego.

— „Monografii ilustrowanej kościołów rzymsko - katolickich w Królestwie Polskiem“ wyszły zeszyty 6 i 7, zawierając: Domaniewice, kościół parafialny pod wezwaniem świętego Bartłomieja i kaplica pod wezwaniem Narodzenia Najświętszej Maryi Panny; Krotoszyn, kościół pod wezwaniem świętego Mateusza Apostoła i św. Katarzyny M. P.; Bochońca, kościół parafialny pod wezwaniem świętego Jana Chrzciciela; Borów, kościół pod wezwaniem świętego Andrzeja; Modliborzyce, kościół parafialny pod wezwaniem świętego Stanisława Męczennika; Prawno, kościół pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny; Wąwolnica, kościół parafialny pod wezwaniem świętego Wojciecha; Rybitwy, — kościół parafialny pod wezwaniem Wszystkich Świętych; Piotrków, kościół pod wezwaniem świętego Franciszka Ksawerego; Lublin, kościół parafialny pod wezwaniem świętego Mikołaja biskupa (na „Czwartku“); Borska, kościół parafialny pod wezwaniem Zwiastowania Najświętszej Maryi Panny.

— Piękne wydawnictwo: „Dzieje powszechne ilustrowane“, wychodzące w Wiedniu nakładem Fr. Bondy, doprowadzone zostało do zeszytu 300. W najnowszych zeszytach (od 291) mieszczą się wojny napoleońskie.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca

Michał książę Radziwiłł.

SPIS RZECZY

zawartych w tomie pierwszym

z roku 1900.

Historya.

	Str.
MATERYAŁY I NOTATKI, „1793“, — przez Szymona Askenazego	155
SŁOWIANIE I NIEMCY, — przez A. Brücknera	197
RZUT OKA NA USTAWĘ Z ROKU 1897, — przez Henryka Konica	395

Szkice polityczne.

POLACY-MINISTROWIE W AUSTRYI. (Od Gołuchowskiego do Gołuchowskiego), — przez E. Lipnickiego	321
WALKA W AFRYCE POŁUDNIOWEJ. Uwagi i wnioski teoretyczne, — przez Jana Blocha	417

Sprawy społeczne, prawne i ekonomiczne.

	Str.
W SPRAWIE EMIGRACJI WŁOŚCIAŃSKIEJ W BRAZYLII, — przez d-ra Józefa Siemiradzkiego	137
OBRAZ ROZWOJU PRZEMYSŁU WIELKIEGO W KRÓLESTWIE POLSKIM, — przez Stanisława Koszutu- skiego	137 i 528

Nauki przyrodnicze.

WYRAZ TWARZY I MOWA OCZU, — przez dra Józefa Nuss- bauma	84
BEZ WĘGLA, — przez S. Kramsztyka	469

L i t e r a t u r a .

WESELE WIESIOŁKA, Bajka, — przez Elizę Orzeszkową	1
RICK I ROCK, powieść, — przez Wincentego Kosiakie- wicza	102, 287 i 436
KRÓL MISTRAL (poezja), — przez Maryę Konopnicką	550

Studia i szkice literackie i artystyczne.

SZUJSKI JAKO POETA — przez St. Tarnowskiego	18 i 232
PRZEGLĄD ARTYSTYCZNY. I. Obrazy na Wystawie Sztuk Pię- nych. II. Panorama: „Męczeństwo chrześcian za Nerona“ Jana Styki, — przez Stefana Popow- skiego	166
WRAŻENIA LITERACKIE. O „czującym wiedzeniu“ Żeromskiego, — przez Antoniego Potockiego	357
SŁOWACKI I PRELEKCYE MICKIEWICZA, — przez Henryka Boguskiego	477
JÓZEF KENIG. Wspomnienie pośmiertne, — przez Maryana Ga- walewicza	561

K r y t y k a .

	Str.
Wacław Sieroszewski: „Risztan“, powieść, 1899, — przez Annę Krzymuską	177
B. Czyczeryn: „Wykład nauki państwowej: „Polityka“. 8-o, str. 556, (Moskwa, 1898),—przez Szymona Askęnaze go	373
„Sami sobie“. Książka zbiorowa na rzecz Warszawskiej Kasy Literackiej. Warszawa. Nakładem Warszawskiej Kasy Literackiej. Druk pp. Laskauera i Babickiego, 1900. — przez A. P.	379
Stanisław Grabski: „O Fryderyku Skarbku i o metodologii w ekonomii politycznej“, — przez Henryka Radziszewskiego	555

Kronika zagraniczna.**KRONIKA RZYMSKA, — przez A. Darowskiego.**

Rok jubileuszowy. — Dwie polskie kaplice. — Z dziedziny sztuki. — Kongres orientalistów. — Malaria. — Vox urbis. — La Madonna A. Venturego. — Dwie podróże do Palestyny. — Beatrice Cenci. — Galeria Borgheze. — Polska wyprawa naukowa. — Wyprawa księcia Abruźów. — Ostatnie wykopaliska na Forum 57

KRONIKA PARYSKA, — przez Sewerynę Duchieńską.

Przemówienia w Akademii pp. Boissier'a i Brunetière'a.—„Francya przedewszystkiem“ Borniera. — Legenda o Buraeh. — Pomnik Veuillota. — „Sztuka i artyści“ Gautiera. — „Ofiary terroryzmu“ K. Stryjeńskiego. — Nowe wydawnictwa 505

Kronika miesięczna.

	Str.
STYCZEŃ.	
Spór o początek XX-go wieku. — Opieka nad bezdomnymi dziećmi. — Kwestyonaryusz Towarzystwa higienicznego w sprawie czystości ciała. — Nowy konkurs powieściowy. — Podręcznik do rozróżniania stylów w architekturze. — Wystawa sztuki kościelnej. — Zjazd górniczy	182
LUTY.	
Konkurs poetycki „Prawdy“ i jego wynik. — Odezwa „Wisły“. — Ruch wydawniczy i estetyka wydawnictw. — Kursa farbiarskie i kilimki krajowe	382
MARZEC.	
Echa karnawału. — Sanatorium dla suchotników niezamożnych. — Jak mieszka ludność uboga w Warszawie? — Konkurs i jeszcze konkurs. — Literatura dla młodzieży. — Jubileusz Kazimierza Kaszewskiego. — Towarzystwo przyjaciół sztuk pięknych. — Muzyka dzwonów	578

Wiadomości bibliograficzne.

STYCZEŃ	195
LUTY	361
MARZEC	582